

N DOYLE



3

PIES BASKERVILLE'ÓW

WYDAWNICTWO POLSKIE
POZNAŃ

A. CONAN DOYLE

PIES BASKERVILLE'ÓW

POWIEŚĆ



75

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
BRONISŁAWY NEUFELDÓWNY



DRUKARNIA CONCORDIA

I.

SHERLOCK HOLMES.

Sherlock Holmes, który wstawał zazwyczaj późno, chyba, że spędzał bezsennie noc całą, co zdarzało się dosyć często, siedział rano przy stole w jadalni. Ja stałem przy kominku, oglądając laskę, zostawioną przez naszego gościa poprzedniego wieczora. Był to kij ładny, mocny, z dużą gałką, okoloną u spodu złotą, na cal blisko szeroką obrączką, z napisem:

JAKÓBOWI MORTIMEROWI
M. R. C. S.
od przyjaciół z C. C. H.
1884.

Laska ta, pełna godności, poważna, budząca zaufanie, była z rodzaju tych, jakie nosili lekarze domowi dawnej daty.

— I cóż, Watsonie — odezwał się do mnie Holmes — jakie wysnuwasz wnioski z tego kija?

Holmes siedział obrócony do mnie plecami, ja zaś nie zdradziłem się najlżejszą oznaką czem byłem zajęty.

— Zkądże ty wiesz, co ja robię? Gotów jestem uwierzyć, że masz oczy na tyle głowy.

— Nie, ale mam przed sobą imbryk srebrny, wypolerowany jak zwierciadło — odparł.

— Powiedz mi, cóż za refleksje poddaje ci laska naszego gościa? Skoro nie zastał nas wczoraj, a nie mamy pojęcia jaki mógł być cel jego odwiedzin, ta przypadkowa pamiątka nabiera znaczenia. Niechże się dowiem, co wnosisz z tego kawałka drzewa o jego właścicielu?

— Sądzę — odpowiedziałem, stosując, o ile umiałem, metodę swego towarzysza — że doktór Mortimer jest starym, bardzo wziętym i bardzo poważanym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go takim dowodem uznania.

— Dobrze — rzekł Holmes. — Wyśmienicie.

— Sądzę także, iż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doktór Mortimer jest lekarzem wiejskim, odwiedzającym chorych swoich przeważnie pieszo.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ta laska, bardzo ładna, gdy była nowa, wydaje mi się taka zniszczona, iż nie wyobrażam jej sobie w rękach lekarza miejskiego. Okucie żelazne na końcu jest tak ścięte, iż świadczy, że kij służy doktorowi do częstych przechadzek.

— Doskonale, zupełnie słusznie! — przytakiwał Holmes.

— A wreszcie są tu jeszcze wyrazy: „Od przyjaciół z C. C. H.“ Odgaduję — że chodzi tu o jakieś miejscowe stowarzyszenie łowieckie... Doktór leczył pewnie członków tego stowa-

rzyszenia, a oni, w dowód wdzięczności, ofiarowali mu ten drobny upominek.

— Watsonie, dalibóg, przechodzisz samego siebie — rzekł Holmes, odsuwając krzesło i zapalając papierosa. — Muszę przyznać, że we wszystkich raportach, jakie zdawałeś łaskawie z moich skromnych prac, nie doceniałeś własnych zdolności. Nie jesteś może sam przez się jaśniejącą pochodnią, ale doskonały z ciebie przewodnik w poszukiwaniu światła. Są ludzie, którzy, sami nie mając genjuszu, posiadają talent pobudzania go u innych. Wyznaję, mój drogi chłopcze, że jestem twoim dłużnikiem.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób i muszę przyznać, że słowa jego sprawiły mi wielką przyjemność, gdyż bywałem często dotknięty jego obojętnością, zarówno dla mego podziwu jak i dla moich usiłowań, zmierzających do rozpowszechniania jego metody. Nadto dumny byłem z tego, że przyswoiłem sobie system jego tak dalece, iż, stosując go, zdobywałem uznanie Holmesa.

Po chwili wziął mi z rąk laskę i zaczął ją pilnie oglądać. Poczem, z nagłem zajęciem, rzucił papierosa, podszedł do okna i zabrał się do badania laski przez lupę.

— Ciekawe, chociaż proste — rzekł, powracając na kanapę, gdzie usiadł w ulubionym kątku. — Dostrzegam na tej lasce parę wskazówek, które doprowadzą nas do wniosków.

— Czyżby uszło co mojej uwadze? — spytałem z pewną zarozumiałością w tonie. — Nie sądzę, żebym ominął jaki ważny szczegół.

1*

— Obawiam się mój drogi, że większość twoich wniosków jest mylna. Gdy mówiłem, że jesteś mi podnietą, znaczyło to, iż stwierdzenie twoich pomyłek doprowadza mnie przypadkowo do odkrywania prawdy. W danym wypadku nie mylisz się bynajmniej co do istoty rzeczy. Właściciel laski jest niewątpliwie lekarzem wiejskim i chodzi bardzo dużo.

— Miałem zatem słuszność.

— Tak jest, pod tym względem.

— I to wszystko?

— Nie, nie, mój drogi, nie wszystko... bynajmniej. Tylko, widzisz, mnie się zdaje naprzykład, że prawdopodobniejszem jest, iż ofiarowany doktorowi podarunek pochodzi od szpitala, niż od stowarzyszenia łowieckiego. To też, gdy litery „C. C." umieszczone są przed literą. określającą ów szpital, wyrazy „*Charing Cross*" nasuwają się same przez się.

— Może masz słuszność.

— Moje wyjaśnienie ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo i, jeśli przyjmiemy tę hypotezę mamy nową podstawę, która nam pozwala odtworzyć osobistość naszego nieznajomego gościa.

— Dobrze, przypuszczając zatem, że C. C. H. znaczy „*Charing Cross Hospital*," jakież inne wnioski stąd wysnujemy?

— Czyż nie nasuwa ci się żaden? Znasz moją metodę. Zastosuj ją!

— Jedynym wnioskiem oczywistym jest fakt, że nasz nieznajomy praktykował w mieście, zanim przeniósł się na wieś.

— Posuńmy się dalej w naszych przypuszczeniach i idźmy ciągle tym śladem. Co nastręczyło najprawdopodobniej sposobność do ofiarowania tego podarunku? Kiedy przyjaciele Mortimera zebrali składkę, by mu dać upominek? Niewątpliwie w chwili, gdy doktór opuszczał szpital, żeby rozpocząć praktykę na własną rękę. Wiemy już, że był to podarunek. Przypuszczamy, że nastąpiło przejście ze szpitala miejskiego do praktyki wiejskiej. Czy zatem zbyt śmiałe byłoby nasze twierdzenie, że podarunek ofiarowano z powodu tej zmiany warunków bytu?

— Jest to bardzo prawdopodobne.

— A teraz zechciej zauważyć, że doktór Mortimer nie mógł należeć do składu stałych lekarzy szpitalnych. Na te posady wzywani są tylko pierwszorzędni lekarze londyńscy, a ci nie przenoszą się nigdy na wieś. Czemże był zatem? Lekarzem-asystentem, zajmował stanowisko niewiele wyższe niż starsi studenci. Opuścił zaś szpital przed pięciu laty... masz datę na lasce. Tak więc, twój poważny doktór w średnim wieku znika, jak widmo, mój drogi, a na jego miejsce ukazuje się nam trzydziestoletni młodzieniec, miły, skromny, roztargniony i posiadający psa, którego określiłbym mniej więcej jako większego od jamnika a mniejszego od brytana.

Uśmiechałem się z niedowierzaniem, gdy Sherlock Holmes przechylił się w tył, puszczając pod sufit kółka dymu.

— Nie mam sposobu zbicia tego ostatniego wywodu, — rzekłem — ale nic łatwiejszego niż

dowiedzieć się szczegółów, dotyczących wieku i karjery zawodowej doktora.

Zbliżyłem się do bibjoteki, wziąłem z pólki „Przewodnik lekarski“ i odszukałem literę M. Znalazłem kilku Mortimerów, a z tych jeden mógł być naszym gościem. Przeczytałem głośno odpowiednią notatkę:

„Mortimer Jakób, M. R. C. S.[1]), 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. Asystent-chirurg w szpitalu Charing Cross od 1882 do 1884. Laureat nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patalogji porównawczej p. t. „Czy dziedziczność jest chorobą?“ Członek-korespondent szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor „Kilku kaprysów atawizmu“ (*The Lancet*, 1882) „Czy postępujemy?“ (*Journal of Psychology*, marzec 1883). Lekarz rządowy gmin: Grimpen, Thornsley i High-Barrow.“

— No, a o stowarzyszeniu łowieckiem ani wzmianki, — rzekł Holmes z drwiącym uśmiechem — ale jest lekarz wiejski, jak sprytnie wywnioskowałeś. Zdaje mi się, że moje wywody się potwierdzą. Co do przymiotników, powiedziałem, jeśli się nie mylę, miły, skromny, roztargniony. Otóż doświadczenie nauczyło mnie, że podarunki otrzymuje na tym świecie tylko człowiek miły, skromny jedynie opuszcza Londyn dla osiedlenia się na wsi a tylko roztargniony zostawi ci laskę, zamiast karty wizytowej, po godzinnem czekaniu w twoim salonie.

— A pies?

---

1) *Medical royal college surgeons* — Królewska medyczna szkoła chirurgów. (Przyp. tłum.)

— Pies nosi zazwyczaj laskę swego pana. Ponieważ jest ciężka, przeto pies trzyma ją mocno w środku, a ślady jego kłów są wyraźnie widoczne. Wskazują ci one, mojem zdaniem, że szczęka jest zaduża na jamnika, a zamała na brytana. To może... tak do licha, to jest wyżeł!

Mówiąc to Holmes wstał i chodził po pokoju, naraz zatrzymał się przed oknem, a w głosie jego dźwięczała taka stanowczość, że spojrzałem na niego zdumiony.

— Mój drogi, skąd ta pewność?

— Stąd poprostu, że widzę tego psa u naszych drzwi, a oto i głos dzwonka jego pana. Nie odchodź, proszę cię, Watsonie. To przecież twój kolega zawodowy, a obecność twoja może być użyteczna. Oto dramatyczna chwila losu: słyszysz na schodach kroki człowieka, wchodzącego w twoje życie i nie wiesz co ci przyniesie, złą czy dobrą dolę. Czego może chcieć dr. Jakób Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka Holmesa, specjalisty w kryminalistyce?... Proszę!

Postać naszego gościa przejęła mnie zdumieniem, gdyż spodziewałem się ujrzeć typowego lekarza wiejskiego. Dr. Mortimer zaś był bardzo wysoki, chudy, nos miał długi, zakrzywiony jak haczyk, wystający między parą oczu szarych, przenikliwych, bardzo do siebie zbliżonych i iskrzących się za okularami w złotej oprawie. Ubrany był w tradycyjny choć nieco zaniedbany strój, przyjęty przez lekarzy; surdut miał wytarty, spodnie w dole obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, głowę pochyloną naprzód, a na twarzy jego malowała się wielka dobroduszność.

Wchodząc spostrzegł laskę w ręku Holmesa i rzucił się ku niemu z radosnym okrzykiem.

— Co za szczęście! — rzekł. — Nie byłem pewien, gdzie ją zostawiłem, tutaj, czy w biurze żeglugi. Za nic w świecie nie chciałbym zgubić tej laski.

— Podarunek, nieprawda? — pytał Holmes.

— Tak jest.

— Od szpitala Charing Cross?

— Od kilku przyjaciół stamtąd... z okazji mego ślubu.

— Tam do licha! to niedobrze — odezwał się Holmes, potrząsając głową.

Dr. Mortimer przymrużył oczy i spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

— Niedobrze? co? dlaczego?

— Pokrzyżował pan nasze wnioski. Mówi pan zatem, że to podarunek z okazji ślubu?

— Tak jest. Ożeniłem się i porzuciłem szpital, a wraz z nim wszelką nadzieję praktyki konsultacyjnej. Trzeba było stworzyć ognisko domowe.

— Co prawda, — rzekł Holmes — nie pomyliliśmy się znów tak bardzo. A teraz, doktorze Jakóbie Mortimerze...

— Przepraszam, panie, poprostu... jestem skromnym M. R. C. S.

— I widocznie człowiekiem naukowym.

— Partaczem w nauce, panie Holmes; zbieraczem muszelek na wybrzeżach wielkiego nieznanego oceanu. Przypuszczam, że mówię do pana Sherlocka Holmesa, nie zaś...

— Nie, oto mój przyjaciel, dr. Watson.

— Bardzo mi przyjemnie. Słyszałem często nazwisko pana, wymieniane wespół z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Panie Holmes, zajmuje mnie pan niesłychanie. Rzadko zdarzyło mi się widzieć czaszkę tak szerokogłową jak pańska i do tego stopnia rozwinięte guzy nadoczodołowe. Czy pozwoli mi pan przesunąć palec po szwie ciemieniowym? Odlew czaszki pańskiej, w czasowem zastępstwie oryginału, byłby ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie pragnę bynajmniej pańskiej śmierci, ale przyznaję, że na czaszkę pańską mam wielką chętkę.

Holmes wskazał krzesło osobliwemu gościowi.

— Jesteś pan entuzjastą swojego zawodu, podobnie jak ja mojego — rzekł. — Odgaduję z pańskiego palca wskazującego, że zwija pan sam swoje papierosy. Proszę, niech się pan nie krępuje.

Nasz gość wyjął z kieszeni bibułkę i tytoń i ze zdumiewającą sprawnością zwinął papierosa. Palce miał długie, zwinne i ruchliwe, jak macki owadu.

Holmes milczał, ale wzrok jego, utkwiony uparcie w naszego gościa, mówił mi dowodnie, do jakiego stopnia przybysz ten budził jego zajęcie.

— Przypuszczam, — odezwał się wreszcie — że nietylko dla zbadania mojej czaszki zaszczycił mnie pan swojemi odwiedzinami wczoraj i powrócił pan dzisiaj.

— Nie, panie, nie, jakkolwiek rad jestem niezmiernie, że nastręczyła mi się sposobność po temu. Przyszedłem do pana, panie Holmes,

bo wyznaję, że nie jestem człowiekiem praktycznym, a nadto dlatego, że znalazłem się wobec zagadki zarówno poważnej jak i tajemniczej. Ponieważ uważam pana za drugiego wśród najwytrawniejszych biegłych w Europie...

— Doprawdy! A czy wolno wiedzieć, kto ma zaszczyt być pierwszym? — spytał Holmes z odcieniem goryczy.

— Prace pana Bertillona muszą zawsze oddziaływać na umysł człowieka, lubującego się w ścisłości naukowej.

— A więc dlaczego nie udaje się pan do niego po radę?

— Mówiłem o ścisłości naukowej, ale co do praktycznej strony sprawy pan jest jedyny. Spodziewam się, że mimowoli nie...

— Cokolwiek — przerwał Holmes. — Sądzę, doktorze, że dobrze będzie, gdy damy temu wszystkiemu pokój i wyjaśnisz mi dokładnie naturę zagadki, której bez mojej pomocy nie możesz rozwiązać.

II.

PRZEKLĘTY RÓD.

Mam w kieszeni rękopis — zaczął doktór.

— Spostrzegłem to, gdy pan wszedł — odparł Holmes.

— Rękopis ten jest bardzo stary.

— Z pierwszej połowy XVIII wieku, jeśli nie jest podrobiony.

— Skąd pan wie?

— Papiery wystają z pańskiej kieszeni, a przez ten czas, jak pan mówił, widziałem ze dwa cale rękopisu. Nieświetny byłby to biegły, któryby, z tego sądząc, nie mógł określić daty dokumentu, myląc się co najwyżej o jakie lat dziesięć. Może pan czytał moją monografję o tym przedmiocie? Rękopis pański jest mniej więcej z r. 1730.

— Z 1742, według daty ścisłej, — odparł Mortimer, wydobywając go z kieszeni. — Papiery te powierzył mi sir Karol Baskerville, którego tragiczna śmierć wywołała trzy miesiące temu takie wzburzenie w Devonshire. Byłem jednocześnie jego lekarzem i przyjacielem. Człowiek umysłu wyższego, przenikliwy, praktyczny, miał równie trzeźwą wyobraźnię jak ja. Niemniej jednak wierzył w ten dokument, a ta wiara przysposobiła go do takiej śmierci, jaką zginął.

Holmes wyciągnął rękę po rękopis i rozłożył go na kolanach.

— Spójrzyjno Watsonie, — rzekł, zwracając się do mnie, — na te *s*, raz długie, to znów krótkie. Jestto jedna ze wskazówek, które mi pozwoliły określić datę.

Spojrzałem przez jego ramię na pożółkły papier i zamazane prawie pismo. Jako nagłówek widniał napis: „*Baskerville Hall.*“ a poniżej wielkiemi niekształtnemi cyframi: „*1742.*“

— Widzę, że to jakby jakieś sprawozdanie.

— Tak, to opis pewnej legendy, obiegającej o rodzinie Baskerville'ów.

— Sądziłem, że pan chce zasięgnąć mojej rady w sprawie nowszej i mającej zastosowanie praktyczne.

— Wierzaj mi pan, że to sprawa bardzo nowa i nagląca, którą trzeba koniecznie wyjaśnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rękopis, który przyniosłem ze sobą, jest krótki i ściśle ze sprawą związany. Pan pozwoli zatem, że go przeczytam.

Holmes wsunął się w głąb fotelu, splótł dłonie i zamknął oczy, przybrawszy postawę pełną rezygnacji. Dr. Mortimer rozłożył rękopis pod światło i głosem donośnym, suchym, czytał następującą ciekawą starodawną opowieść:

„O pochodzeniu psa Baskerville'ów obiegały różne pogłoski. Ponieważ jednak jestem potomkiem Hugona Baskerville'a w prostej linji, a historję niniejszą słyszałem z ust swego ojca, któremu znów przekazał ją ojciec jego, przeto spisałem ją, przekonany szczerze o jej prawdziwości. I chciałbym, potomkowie moi, abyście

wierzyli, że ta sama Sprawiedliwość, która karze za grzechy, umie również przebaczać miłosiernie i że niema tak strasznego przekleństwa na świecie, któregoby niemożna okupić skruchą i modlitwą. Z opowieści niniejszej zatem wyciągnijcie tę naukę, że nie należy obawiać się skutków przeszłości, lecz trzeba stać się baczniejszym w przyszłości i unikać tych okropnych nałogów, które ściągnęły na naszą rodzinę takie wielkie nieszczęścia.

„Wiedzcie tedy, że w czasach wielkiej rewolucji (której historję, napisaną przez wielce uczonego lorda Charendona polecam gorąco waszej uwadze), zamek Baskerville był własnością Hugona tegoż nazwiska, człowieka dzikich namiętności, bezbożnego i rozpustnika. Sąsiedzi byliby mu wybaczyli te błędy, wiedząc, iż zamek nie był nigdy siedliskiem świętych, ale okrucieństwa, jakie popełniał podczas hulaszczych zabaw, stały się przysłowiowe w całej okolicy. Zdarzyło się, że ów Hugon zapałał miłością (jeżeli określenie to, użyte w danym wypadku, nie będzie profanacją) do córki ziemianina, którego grunty sąsiadowały z posiadłościami Baskerville'ów. Ale panna, skromnie i pobożnie wychowana, unikała wielbiciela, znając jego złą sławę.

Pewnego dnia, w wigilję Ś-go Michała, ów Hugon z pięciu czy sześciu towarzyszami pohulanek, wtargnęli do folwarku i porwali pannę, podczas nieobecności jej ojca i braci. Przyniósłszy brankę do zamku, osadzili ją w wieży, a sami udali się do jadalni, by, jak zwykle, spędzić noc na pijatyce. Nieszczęśliwa dziew-

czyna była bliska obłędu, słysząc w więzieniu swojem śpiewy, wrzaski i bluźnierstwa ucztujących, które dobiegały jej uszu, aż wreszcie, zdjęta śmiertelną trwogą, zdobyła się na czyn, przed którym zawahałby się najodważniejszy mężczyzna. Wyszła przez okno i, przy pomocy gałęzi bluszczu, który okrywał (i okrywa jeszcze) mur, zsunęła się po rynnie i uciekła przez łąki do folwarku rodzicielskiego, oddalonego o trzy mile[1]).

Wkrótce potem Hugon opuścił gości, aby zanieść trochę jadła i picia swej brance, — a może żywił i jakie gorsze zamiary, — ale zastał klatkę pustą. Na ten widok, jak opętany przez szatana, zbiegł w szalonym pędzie ze schodów, wpadł do jadalni, wskoczył na stół, tłukąc talerze i kryształy, wobec przerażonych, nawpół pijanych biesiadników i przysiągł, że jeśli tej nocy jeszcze zdoła schwytać zbiegłą dziewczynę, zaprzeda czartu ciało i duszę. Przez chwilę obecni w osłupieniu patrzyli na niego, gdy naraz jeden, podlejszy, a może bardziej pijany od innych, krzyknął, żeby puścić psy gończe śladem dziewczyny. Propozycja przypadła do smaku Hugonowi, wyleciał z zamku, wrzeszcząc na stajennych, by mu klacz osiodłali, na dojeżdżaczy, by wypuścili psy z psiarni, poczem cisnął psom chustkę dziewczęcia i uszykował je do biegu. Człowiek klnąc a zwierzęta wyjąc popędzili śród bladego blasku księżyca ku łąkom.

Wszystko to dokonało się z taką błyskawiczną szybkością, że biesiadnicy zrazu nie zrozumieli

1) Angielskie.

co zaszło. Niebawem jednak zaświtało w ich zamroczonych umysłach, uprzytomnili sobie o co chodzi i powstał piekielny hałas. Jedni wołali o pistolety, inni o konie, inni znów o świeże butelki wina. W końcu oprzytomnieli do reszty i wszyscy, w liczbie trzynastu, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Księżyc rzucał na ziemię srebrzyste blaski, a konie pędziły wyciągniętym galopem tą drogą, którą podążać musiała nieszczęśliwa dziewczyna, chcąc się dostać do domu.

Ujechali tak ze dwie mile, gdy spotkali nocnego pastucha, pilnującego trzody na łące, a mijając go krzyknęli, czy nie widział ściganej zwierzyny. Opowieść niesie, że nieborak taki był wystraszony, iż nie mógł na razie odpowiedzieć, dopiero w końcu objaśnił, że widział młodą dziewczynę i psy pędzące za nią.

— Ale widziałem więcej jeszcze, — dodał — widziałem dziedzica z Baskerville'u na czarnej klaczy, a za nim leciał milczkiem pies taki potworny, że niechaj mnie Bóg uchowa, abym go spotkał na swej drodze.

Opoje posłali pastucha do wszystkich djabłów i popędzili dalej.

Ale niebawem krew ścięła się mrozem w ich żyłach. Na równinie rozległ się tętent kopyt końskich i czarna klacz, okryta pianą, minęła ich w piekielnym galopie, bez pana, wlokąc cugle za sobą.

Zdjęci trwogą, jeźdźcy zbliżyli się do siebie, lecz pogoni nie zaniechali, jakkolwiek każdy z nich, gdyby był sam, chętnie zawróciłby konia.

Jadąc wolnym już biegiem, spotkali nareszcie sforę psów, które, jakkolwiek znane z odwagi i wszelkich przymiotów dobrej rasy, stały, wyjąc ponuro, dokoła krzaku nad krawędzią głębokiego wąwozu. Niektóre zaczynały się już cofać, inne, z najeżoną sierścią, ze ślepiami krwią nabiegłemi, patrzyły w wąwóz.

Grono mężczyzn, już zupełnie otrzeźwionych, jak się łatwo domyśleć, zatrzymało się. Większość nie miała odwagi zapuszczać się dalej, lecz trzej najśmielsi zjechali do wąwozu. Rozszerzał się w tem miejscu znacznie i tu, na dość obszernej polance, wznosiły się dwa z owych wielkich kamieni, jakiemi niektóre zapomniane ludy znaczyły w dawnych czasach miejsca swego pobytu. Księżyc oświetlał jasno płaszczyznę, a na środku leżała biedna dziewczyna bez życia. Tutaj widocznie upadła i skonała ze znużenia i z trwogi. Ale nie na jej widok ani na widok wyciągniętych o parę kroków dalej martwych zwłok Hugona Baskerville'a skamienieli trzej śmiałkowie. Nad trupem Hugona stał potwór, — czarne, wielkie zwierzę, kształtu psa, ale psa rozmiarów dotąd niewidzianych.

Potwór miał kły zapuszczone w gardło Hugona, a w chwili gdy trzej mężczyźni się zbliżyli, wyrwał szmat ciała z szyi trupa i zwrócił ku przybyłym swe ogniste ślepie i paszczę krwią broczącą... Śmiała trójka wrzasnęła przeraźliwie i, krzycząc ciągle, popędziła w cwał zpowrotem przez równinę.

Utrzymują, że jeden z tych trzech umarł jeszcze tej samej nocy, a dwaj pozostali obłąkani do końca życia.

Tak brzmi, synowie moi, opowieść o pierwszem ukazaniu się psa, który od owego czasu stał się okrutną plagą dla naszego rodu. Spisałem tę opowieść, bo wzmianki i domysły wzbudzają zawsze więcej trwogi niż rzeczy dokładnie wiadome.

Nie można zaprzeczyć, że kilku członków naszej rodziny zginęło śmiercią gwałtowną, nagłą i tajemniczą. Powinniśmy jednak ufać w nieskończoną dobroć Opatrzności, która rzadko kiedy karze niewinnych po za trzeciem lub czwartem pokoleniem, jak powiedziano w Piśmie Świętem.

Polecam was, synowie moi, opiece tej Opatrzności i radzę unikać, przez ostrożność, chodzenia w pobliżu owego wąwozu, w godzinach nocy, kiedy panuje moc złego ducha.

Spisał Hugon Baskerville dla synów swoich Rogera i Jana, zalecając wszakże, aby pod żadnym pozorem nie powtarzali opowieści powyższej siostrze swojej Elżbiecie.“

. . . .

Dr. Mortimer, ukończywszy czytanie, wsunął okulary na czoło i zwrócił spojrzenie na p. Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął, cisnął resztkę papierosa w ogień i spytał lakonicznie:

— I cóż?

— Czy ta historja nie wydaje się panu zajmująca?

— Owszem; dla amatora bajek o żelaznym wilku.

Dr. Mortimer wyjął z kieszeni starannie złożony dziennik.

— Teraz panie Holmes, poczęstujemy pana czemś świeższem. Oto numer pisma *Devon County Chronicle*, z dnia 15 maja r. b., zawierający szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a, który zmarł na kilka dni przedtem.

Mój przyjaciel pochylił się nieco naprzód, a wyraz jego twarzy wykazywał pewne zajęcie. Nasz gość poprawił okulary i zaczął:

. . . .

„Nagła śmierć sir Karola Baskerville'a, którego wymieniano jako kandydata stronnictwa wolnomyślnego z Mid-Devon na zbliżających się wyborach, pogrążyła w smutku całe hrabstwo. Jakkolwiek sir Karól krótki czas mieszkał w Baskerville Hall, niemniej ujmującem obejściem i wielką szczodrobliwością zdobył przywiązanie, oraz szacunek wszystkich tych, którzy go znali.

W tych czasach „świeżych bogaczy“ pocieszający jest widok potomka starego rodu który miał ciężkie przejścia, zdołał dobić się majątku i przywrócić dawną świetność gniazda rodzinnego.

Sir Karol, jak wiadomo, zarobił znaczne sumy w Afryce południowej. Roztropniejszy od tych, którzy spekulują dopóty, dopóki koło fortuny nie odwróci się, zrealizował wszystkie swoje zarobki i powrócił do Anglji. Dwa lata minęło zaledwie od chwili, kiedy zamieszkał w Baskerville Hall, a wiadomo jest wszystkim, że nosił się z zamiarem odbudowy zamku i zaprowadzenia różnych ulepszeń w gospodarstwie rolnem. Śmierć nie pozwoliła urzeczywistnić

tych planów, powziętych na wielką skalę. Będąc bezdzietnym, pragnął, żeby cała okolica korzystała z jego majątku, a liczni są ci, którzy opłakują przedwczesny zgon jego. Niejednokrotnie na szpaltach niniejszych zdawaliśmy sprawę z jego szczodrych darów na różne cele dobroczynne w hrabstwie.

Śledztwo nie mogło wyjaśnić dokładnie okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Karola Baskerville'a, ale rozproszyło przynajmniej pewne pogłoski zrodzone z zabobonu.

Sir Karol był wdowcem i uchodził za dziwaka pod pewnemi względami. Pomimo znacznej fortuny, żył bardzo skromnie, a domowa jego służba składała się z małżeństwa, nazwiskiem Barrymore, — mąż był lokajem, żona gospodynią.

Zeznania ich, potwierdzone przez kilku przyjaciół, wskazują, że od pewnego czasu sir Karol silnie niedomagał. Trapiło go cierpienie sercowe, objawiające się nagłem blednięciem, napadami duszności i rozstroju nerwowego. Dr. Mortimer, przyjaciel i lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Fakty w tym razie są bardzo proste. Co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, sir Karol przechadzał się po słynnej alei cisowej w Baskerville Hall. Małżonkowie Barrymore stwierdzili w zeznaniach swoich, że taki był zwyczaj ich pana

Dnia 4-go maja sir Karol oznajmił, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i polecił Barrymore'owi aby mu zapakował rzeczy. Wieczorem wyszedł na zwykłą przechadzkę, podczas której palił zawsze cygaro.

Z przechadzki tej już nie powrócił.

O północy, Barrymore, widząc, że drzwi przedsionka zamku jeszcze otwarte, zaniepokoił się i, zapaliwszy latarkę, poszedł szukać pana. Dzień był dżdżysty, odnaleziono więc z łatwością na rozmiękłej ziemi w alei ślady nóg sir Karola. W połowie tej alei znajduje się furtka, która wychodzi na moczary. Głębsze w tem miejscu ślady wskazywały, że sir Karol zatrzymał się tutaj. Następnie podjął znów widocznie przechadzkę, bo zwłoki jego znaleziono znacznie dalej.

Pewien szczegół zeznania Barrymore'a pozostaje jeszcze niewyjaśniony; kształt śladów zmienił się z chwilą, kiedy sir Karol Baskerville minął furtkę; zdało się, że szedł dalej na palcach.

Niejaki Murphy, cygan, handlarz koni, znajdował się naówczas blisko, na moczarach; lecz, jak sam zeznał, był zupełnie pijany. Oświadczył wszakże, iż słyszał krzyki, nie mogąc wskazać skąd pochodzą. Na zwłokach sir Karola nie stwierdzono żadnych śladów gwałtu, jakkolwiek raport lekarza wspomina o niezwykłem wykrzywieniu konwulsyjnem twarzy, — wykrzywieniu takiem strasznem, że zrazu. dr. Mortimer nie chciał wierzyć, iż to istotnie jego przyjaciel i pacjent leży przed nim. Wyjaśniono jednak, że jestto objaw zdarzający się często w wypadkach duszności i śmierci spowodowanej atakiem sercowym. Oględziny zwłok taką właśnie wykazały djagnozę, a sędzia śledczy potwierdził wyjaśnienie lekarskie.

Radzi jesteśmy z takiego wyniku śledztwa. Spadkobierca sir Karola powinien jaknajrychlej

osiąść na zamku i prowadzić dalej, przerwane w taki tragiczny sposób, dzieło swego poprzednika. Gdyby prozaiczny raport sędziego nie zniweczył ostatecznie romantycznych opowieści, obiegających śród publiczności o tej śmierci, nie możnaby wcale wydzierżawić Baskerville Hallu.

Spadkobiercą nieboszczyka jest — jeżeli żyje jeszcze — p. Henryk Baskerville, syn najmłodszego brata sir Karola. Ostatnie listy młodzieńca datowane były z Ameryki. Zarządzono odpowiednie środki, celem odnalezienia go i zawiadomienia o dziedzictwie, jakie nań spadło."

. . . .

Dr. Mortimer złożył dziennik i wsunął go do kieszeni.

— Takie są, panie Holmes, wiadome publicznie szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a — rzekł.

— Dziękuję panu — odparł Holmes — za zwrócenie uwagi mojej na ten wypadek, zajmujący pod niejednym względem. Zauważyłem wówczas niektóre wzmianki w dziennikach, ale byłem niesłychanie zajęty sprawą drogich kamieni, które zginęły w Watykanie, tak, że zobojętniałem narazie na wszystko, co się działo w Anglji. Powiada pan tedy, że artykuł ten zawiera wszystko, o czem wie publiczność?

— Tak jest.

— Powiedzże mi pan teraz to, czego nie wie.

Holmes wsunął się znów w fotel, splótł dłonie, a twarz jego przybrała wyraz powagi i obojętności.

— Czyniąc zadość żądaniu pańskiemu — mówił dr. Mortimer, który zaczął już okazywać gwałtowne wzruszenie — opowiem panu to, czego nie mówiłem nikomu. Milczałem wobec sędziego, bo człowiek nauki zawaha się nieraz, zanim przyzna się publicznie, że podziela powszechny zabobon. Nadto kierował mną też i ten wzgląd, że, jak słusznie pisze dziennik, niepodobna byłoby wydzierżawić Baskerville Hallu, gdyby jeszcze cokolwiek wzmogło straszną sławę tej siedziby. Dla tych dwóch przyczyn uważałem za stosowne powiedzieć mniej, niż wiedziałem; ale z panem nie mam najmniejszego powodu nie być zupełnie szczerym.

I Mortimer opowiedział nam, co następuje:

„Równina jest prawie niezamieszkana, a tych, którzy sąsiadują z sobą, łączą ścisłe stosunki. Oto przyczyna mojej zażyłości z sir Karolem Baskerville'm. Z wyjątkiem pana Frankland'a w Lafter Hall i pana Stapleton'a, przyrodnika, niema w promieniu kilkomilowym dokoła, ludzi wykształconych.

Sir Karol lubił samotność, ale choroba jego zbliżyła nas wzajemnie, a wspólne zamiłowanie do nauki utrwaliło to zbliżenie. Sir Karol przywiózł z Afryki południowej dużo obserwacji naukowych i spędziliśmy razem niejeden miły wieczór, rozprawiając o anatomji Bushmana i Hotentota.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dostrzegłem u sir Karola wzmagające się coraz bardziej rozdrażnienie nerwowe. Legenda, którą przeczytałem przed chwilą, prześladowała go do tego stopnia, że nic na świecie nie byłoby go zniewoliło do wyjścia w nocy poza kratę parkową.

Jakkolwiek wyda się to panu nieprawdopodobne, niemniej jednak sir Karol był szczerze przeświadczony, iż okrutna fatalność ciąży nad jego rodem, a kroniki familijne nie mogły istotnie dodać mu otuchy.

Myśl o ciągłej obecności jakiegoś ducha ścigała go nieustannie. Często zapytywał mnie, czy podczas nocnych wycieczek nie dostrzegłem nigdy jakiej postaci fantastycznej, czy nie słyszałem szczekania psa. Ostatnie pytanie zadawał mi niejednokrotnie, a zawsze drżącym ze wzruszenia głosem.

Przypominam sobie doskonale drobne zajście, które się zdarzyło na kilka tygodni przed jego śmiercią. Zajechałem pewnego wieczora przed zamek i zastałem sir Karola w drzwiach przedsionka. Zeskoczyłem z amerykana i stanąłem wprost swego przyjaciela, gdy naraz zauważyłem, że oczy jego skierowały się po za moje ramię i patrzyły z wyrazem najokropniejszej trwogi. Odwróciłem się i dostrzegłem jeszcze na skręcie drogi coś nieokreślonego; zdawało się, że to wielkie czarne cielę.

Sir Karol był tem zjawiskiem taki wzburzony i zaniepokojony, że musiałem pójść na miejsce, gdzie zwierzę się ukazało i szukać go. Ale zniknęło bez śladu. Zdarzenie to wywarło na nim straszne wrażenie. Spędziłem z nim cały wieczór i wówczas to dla wytłómaczenia wzruszenia, powierzył pieczy mojej rękopis, który panu przeczytałem. Wspominam o tem drobnem zajściu dlatego tylko, że nabiera pewnego znaczenia ze względu na późniejszą tragedję; narazie nie przywiązywałem do niego żadnej wagi

uważałem, że wzburzenie mojego przyjaciela nie jest niczem usprawiedliwione.

Na skutek moich nalegań sir Karol postanowił jechać do Londynu. Wiedziałem, że ma serce chore, a nieustająca trwoga, w jakiej żył — choćby jej powód był urojony — oddziaływała jaknajgorzej na jego zdrowie. Sądziłem że rozrywki miejskie wpłyną na niego dobroczynnie, a pan Stapleton, wspólny przyjaciel, wezwany do rady, był tego samego zdania. W ostatniej chwili nastąpiła straszna katastrofa.

W nocy zgonu sir Karola, Barrymore, lokaj, przysłał po mnie chłopca stajennego Perkinsa, a ponieważ nie spałem jeszcze, w godzinę po wypadku byłem w Baskerville Hall.

Stwierdziłem osobiście wszystkie fakty wspomniane w śledztwie: śledziłem ślady kroków w alei cisowej, widziałem przy furtce miejsce, gdzie nieboszczyk się zatrzymał; zauważyłem zmianę kształtu śladów, począwszy od tego miejsca, widziałem, że na piasku niema innych śladów prócz pochodzących od butów Barrymore'a, poczem zbadałem uważnie trupa, którego jeszcze nikt nie dotknął.

Sir Karol leżał wyciągnięty, twarzą do ziemi, ręce miał rozkrzyżowane, palce zaciśnięte kurczowo i zagłębione w ziemi, a rysy takie wykrzywione, pod wpływem gwałtownego wzruszenia, że nie odważyłbym się stwierdzić pod przysięgą jego tożsamości.

Na ciele nie znalazłem obrażenia fizycznego. Wszelako zeznania Barrymore'a nie były dokładne. Powiedział, że przy trupie nie było żadnego śladu kroków. Nie widział ich. Ja jednak

dostrzegłem... świeże, wyraźne, niedaleko od widowni wypadku...

— Ślady kroków?

— Tak jest, ślady kroków.

— Mężczyzny, czy kobiety?

Dr. Mortimer spoglądał na nas przez chwilę szczególnym wzrokiem, poczem, szeptem niemal, odpowiedział:

— Panie Holmes, to były ślady łap olbrzymiego psa!

III.

ZAGADKA.

Wyznaję, że słowa te przejęły mnie dreszczem. Głos doktora Mortimera drżał także, znać było, że wzruszyło go jego własne opowiadanie. Nieco pochylony naprzód, Holmes słuchał go z błyskiem w oczach, który był dowodem żywego zainteresowania się.

— Czyś pan je widział? — zapytał.

— Tak dokładnie, jak widzę pana w tej chwili.

— I nic o tem nie mówiłeś?

— Dlaczegóż miałbym o tem mówić?

— W jaki sposób wytłómaczy nam pan to, że sam jeden tylko dostrzegłeś te ślady?

— Były one widoczne dopiero o dwadzieścia metrów odległości od trupa... nikt na to nie zwrócił uwagi. Gdybym nie znał tej legendy, tego dziwnego podania, pewnobym tego nie dostrzegł, jak wszyscy.

— Czy na moczarach znajduje się dużo psów pasterskich?

— O, bardzo dużo!... Ale to nie był pies pasterski.

— Mówi pan, że pies był wielkiego wzrostu?

— Olbrzymiego!...

— I że nie przybliżył się do trupa?
— Nie.
— A jaka noc była wtedy?
— Wilgotna i zimna.
— Czy padał deszcz?
— Nie.
— Opisz mi pan, jak wygląda ta aleja cisowa?
— Tworzą ją dwa rzędy starych cisów wysokich na dwanaście stóp, wierzchołki ich stanowią nieprzejrzaną kopułę zieleni. Przestrzeń wolna pomiędzy drzewami ma szerokości osiem stóp.
— A pomiędzy drzewami i aleją nic niema?
— Owszem, po obu stronach dróżki rozciąga się trawnik, mający szerokości ze sześć stóp.
— Mówił pan, że na końcu alei cisowej znajduje się furtka?
— Tak, prowadzi na moczary.
— A niema innego wyjścia?
— Żadnego.
— Tym sposobem do szpaleru cisowego można wejść tylko z domu lub przez tę furtkę?
— Można wejść jeszcze przez cieplarnię, zbudowaną przy końcu szpaleru.
— Czy sir Karol doszedł aż do tego miejsca?
— Nie, jeszcze z pięćdziesiąt metrów oddalony był od cieplarni.
— A teraz, czy zechcesz mi powiedzieć doktorze, a jest to szczegół wielkiej wagi, czy ślady, jakie dostrzegłeś, znajdowały się na piasku, czy na trawie?
— Na trawie nie dostrzegłem żadnych śladów...

— A zatem były one tylko od strony furtki... Zaciekawiasz mnie niezmiernie. A czy ta furtka była zamknięta?

— Zamknięta na klucz i na kłódkę.

— Jak wysoka jest ta furtka?

— Ma cztery stopy wysokości.

— Mógłby więc ktoś przez nią się przedostać?

— Z łatwością.

— Czy przy drzwiach były jakie ślady szczególne?

— Nie.

— Czy w tej stronie czyniono poszukiwania?

— Tylko ja sam szukałem.

— I nic pan nie odkrył?

— Sir Karol stał w jednem i tem samem miejscu pięć albo dziesięć minut.

— Skąd pan to wnosi?

— Stąd, że na ziemi w dwóch miejscach zobaczyłem popiół otrząśnięty z cygara.

— Ma pan słuszność — potwierdził Holmes. Watsonie — dodał — znaleźliśmy sympatycznego kolegę... Ale jakie to były ślady?

— Poruszanie się w miejscu sprawiło, że stały się niewyraźne. Jedynie tylko wyraźny był ślad stóp sir Karola.

Sherlock Holmes uderzył się niecierpliwie ręką w kolano.

— Ach! gdybym ja tam był! — zawołał. — Wypadek przedstawia się niezmiernie zaciekawiająco! Te ślady na piasku, na którym mógłbym tyle rzeczy wyczytać, zatarł deszcz i sandały ciekawych wieśniaków! Ach! doktorze, dlaczego mnie nie wezwałeś? Zawiniłeś bardzo!

— Nie mogłem wezwać pana, nie wyjawiając tych wszystkich faktów, a powiedziałem już powody, dla których chciałem milczeć. Zresztą... zresztą...

— Dlaczego się pan waha?

— Są okoliczności, wśród których policjant angielski najbieglejszy i najbardziej doświadczony, nic poradzić nie może.

— Czy pan przypuszcza, że te wypadki mają styczność ze światem nadprzyrodzonym?

— Nie twierdzę tego stanowczo.

— Ale takie jest przekonanie pańskie?

— Po tej tragedji opowiadano mi o rozmaitych wypadkach, których niepodobna podciągnąć pod zdarzenia zwykłe, pospolite i naturalne.

— Naprzykład?

— Dowiedziałem się, że przed tą straszną nocą wiele osób widziało na wybrzeżu zwierzę, którego opis zgadzał się zupełnie z powierzchownością złego ducha z Baskerville'u. Zwierzę to nie da się zaliczyć do żadnego znanego gatunku. Wszyscy przyznają, że miało pozór straszny, fantastyczny, nieziemski. Wypytywałem się tych ludzi: wieśniaka, kowala i dzierżawcy. Wszyscy jednakowo odmalowali złowrogie zjawisko. Było to najdokładniejsze wcielenie psa piekielnego, podług opisu legendy. Trwoga panuje w całej okolicy i mógłby się chełpić ze swojej odwagi ten, ktoby w nocy zapuścił się na moczary.

— A pan, jako człowiek nauki, czy wierzy w istnienie jakichś nadprzyrodzonych faktów?

— Ja sam nie wiem, co mam o tem sądzić.

Holmes wzruszył ramionami.

— Dotychczas — rzekł — ograniczałem swoje badania obrębem kwestji tego świata. Walczyłem ze złem o tyle, o ile mi na to pozwalały słabe moje środki; ale byłoby to zbyt trudne i niedościgłe zadanie chcieć walczyć ze złym duchem. Jednakże, uznaje pan, że ślady były widoczne.

— Ten dziwny pies o tyle był stworzeniem materjalnem, że zdołał rozerwać szyję człowiekowi, a jednak pochodzenie jego jest piekielne.

— Widzę, że zaliczył się pan w poczet ludzi wierzących w zjawiska nadprzyrodzone... Teraz odpowiedz mi pan jeszcze na jedno pytanie: jeśli pan w to wierzysz, dlaczego przyszedłeś mnie się radzić? Jednocześnie prosisz mnie, abym nie dochodził przyczyn, które spowodowały śmierć sir Karola Baskerville'a i żądasz, abym się zajął poszukiwaniami.

— Nie, ja pana o to nie prosiłem.

— Czemże więc mogę panu dopomódz?

— Chciałem prosić, aby mi pan poradził, jak się mam zachować wobec sir Henryka Baskerville'a, który przybywa na stację Waterloo — tu doktór Mortimer wyjął zegarek — za godzinę i kwadrans.

— Czy to on jest spadkobiercą majątku?

— Tak. Po śmierci sir Karola dowiadywaliśmy się szczegółowo o wszystko, co dotyczy tego młodego człowieka i zawiadomiono nas, że poświęca się rolnictwu w Kanadzie. Wiadomości zaczerpnięte o nim są najzupełniej zadawalające... W tej chwili nie mówię jako doktór, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola Baskerville'a.

— Czy niema innych pretendentów do majątku, pozostałego po nieboszczyku?

— Nie, panie, jedyny krewny, którego ślad odnaleziono, nazywa się, a raczej nazywał się, Roger Baskerville; był on trzecim bratem sir Karola. Drugi brat, który umarł młodo, pozostawił tylko jedynego syna, Henryka. Rogera, trzeciego brata, uważano zawsze w rodzinie za parszywą owcę. Był uosobieniem dawnego typu Baskerville'ów i, jak mnie zapewniano, błąkał się po świecie, jak stary Hugo. Pobyt w Anglji nie przypadał mu do gustu, przesiedlił się więc do Ameryki środkowej, gdzie umarł na żółtą febrę w 1876 r., Henryk więc jest ostatnim potomkiem rodu Baskerville'ów. Za godzinę i minut pięć mam się z nim spotkać na stacji Waterloo... Telegrafował do mnie z Southamptonu, że przyjedzie dziś rano... Cóż więc mam czynić, panie Holmes?

— Dlaczegóż nowy spadkobierca nie mógłby zamieszkać w siedzibie swoich przodków?

— Wydaje się to rzeczą zupełnie naturalną, nieprawdaż? Jednakże trzeba sobie przypomnieć, że członkowie rodziny Baskerville'ów, którzy mieszkali w tym zamku, zginęli wszyscy śmiercią gwałtowną. Mam to przekonanie, że, gdyby sir Karol mógł był mówić ze mną przed zgonem, byłby mi usilnie polecił, aby nie wprowadzać do tego domu ostatniego potomka jego rodu i spadkobiercy olbrzymiego majątku. Lecz z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dobrobyt tego nędznego zakątka kraju zależy głównie od obecności sir Henryka; wszystkie ulepszenia, jakie wprowadził sir Karol, byłyby stracone

bezpowrotnie, gdyby zamek stał pustką. Przyszedłem więc prosić pana o zdanie i radę, gdyż lękam się, czy nie zanadto będę miał na względzie własny interes, własne dobro, o które mi chodzi.

Holmes siedział zamyślony długą chwilę, wreszcie rzekł:

— Wyrażając w innych słowach pańskie przekonanie, należy powiedzieć, że uważa pan pobyt w Dartmoor za niebezpieczny dla członków rodziny Baskerville'ów, z powodu jakichś piekielnych wpływów.

— Czy nie mam powodu tak twierdzić?

— Nie przeczę. Ale, jeżeli pańska teorja o faktach nadprzyrodzonych jest prawdziwa, ten młodzieniec może podlegać tym wpływom tak samo w Londynie jak w Devonshire. Trudno mi wierzyć w djabła, którego potęga sięgałaby tylko do granic jednej parafji, jak naprzykład zarząd jakiej fabryki.

— Panie Holmes, zapatrywałbyś się na tę kwestję poważniej, gdybyś żył w większem zbliżeniu z temi rzeczami. Podług pana ten młodzieniec nie jest narażony na większe niebezpieczeństwo w Devonshire niż w Londynie... Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Cóż mi pan radzisz uczynić?

— Radzę panu wziąć powóz, zawołać swego psa, który drapie do moich drzwi, i podążyć na spotkanie sir Henryka Baskerville'a do stacji Waterloo.

— No, a potem?

— Potem nie powie mu pan nic, dopóki ja się nie zastanowię nad tem wszystkiem.

— Czy pan będzie się długo namyślał?

— Dwadzieścia cztery godziny. Doktorze, będę ci szczerze wdzięczny, jeżeli przyjdziesz tu jutro o dziesiątej. Proszę również, abyś pan przyprowadził ze sobą sir Henryka.

— Najchętniej, panie Holmes.

Doktór Mortimer zapisał na mankiecie godzinę spotkania i wyszedł.

Holmes zatrzymał go na schodach.

— Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Mówiłeś mi pan, że przed śmiercią sir Karola Baskerville'a kilka osób widziało na moczarach dziwne zjawisko.

— Tak, trzy osoby.

— A czy widziano je i później?

— Nie słyszałem o tem.

— Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił do swego fotelu, a zadowolenie, malujące się na twarzy mego przyjaciela dowodziło, że myśli o jakiemś miłem zajęciu.

— Czy wychodzisz Watsonie? — zapytał mnie.

— Tak, a może jestem ci potrzebny?

— Nie, kochany przyjacielu; pomoc twoja będzie mi potrzebna dopiero w chwili działania. Wiesz że to wspaniała sprawa i jedyna w swoim rodzaju, pod niektóremi względami. Jak będziesz przechodził koło sklepu Bradley'a, powiedz, żeby mi przysłał funt mego zwykłego tytoniu. A teraz pozostaw mnie samego aż do wieczora. Jak wrócisz, opowiemy sobie nasze wnioski co do tej ciekawej zagadki, którą nam dał do rozwiązania doktór Mortimer.

Holmes lubił rozważać w samotności każdą sprawę. Zbijał wtedy lub popierał swoje własne dowodzenia i przychodził do pewnych wniosków.

Przepędziłem południe w klubie i dopiero wieczorem wróciłem na ulicę Baker.

Była godzina może dziewiąta, gdy znalazłem się znów w salonie Sherlocka Holmesa. Gdy otworzyłem drzwi, zdawało mi się, że się pali; gęsty dym napełniał cały pokój, a płomień lampy migotał w tym dymie niepewnym blaskiem.

Postąpiłem kilka kroków i ochłonąłem z przestrachu; był to bowiem tylko dym tytuniowy, który zaczął mnie drapać w gardle, wywołując nieprzyjemny kaszel.

Po chwili dopiero, śród tej gęstej chmury dostrzegłem Holmesa, otulonego w szlafrok i zagłębionego w ulubionym fotelu. W zębach trzymał fajkę.

Naokoło niego, na dywanie, leżały różne ćwiartki papieru.

— Zaziębiłeś się, Watsonie? — zapytał.

— Nie, to ten dym szkaradny.

— A tak, dym jest gęsty...

— Ależ tu nie można oddychać!

— No, to otwórz okno. Założyłbym się, że cały ten czas przesiedziałeś w klubie.

— Mój kochany...

— No, czy zgadłem?

— Nieinaczej, ale jakim sposobem...

Holmes roześmiał się, widząc moje zdumienie.

— Jakiś ty naiwny — rzekł. — Miło mi, że mogę się zabawić twoim kosztem, zużywając tak mało wrodzonej przenikliwości. Pomyśl tylko, taki pan, jak ty, który ma niewielu serdecznych przyjaciół, wychodzi podczas deszczu i błota i wraca wieczorem wcale nie zabłocony, w błyszczących butach... No, cobyś z tego wnio-

skował? To, że jegomość ów przesiedział gdzieś dzień cały... Nie jest że to oczywiste i jasne?

— Na świecie jest dużo rzeczy jasnych, na które jednak nie zwraca się uwagi.

— A jak ci się zdaje, gdzie ja byłem?

— Zdaje mi się, że także siedziałeś na tem samem miejscu.

— Mylisz się... byłem w Devonshire.

— Ale tylko w myśli?

— Naturalnie, ciało moje nie ruszało się z tego fotelu i spożyło, bez współudziału mojej myśli, o czem przekonywam się z żalem, dwa duże kubki kawy i niezliczoną ilość tytoniu. Po twojem odejściu posłałem do Stamforda po mapę równiny Dartmoor i przebiegałem ją myślą w rozmaitych kierunkach. Pochlebiam sobie, że mógłbym już teraz po tej równinie wędrować bez przewodnika.

— Czy ta mapa wyobraża dużą przestrzeń?

— Bardzo dużą.

Holmes rozwinął część mapy i rozłożył ją na kolanach.

— Oto obszar, o który nam chodzi — rzekł. Tu w pośrodku znajduje się posiadłość Baskerville Hall.

— Okolona lasem?

— Tak... Jakkolwiek szpaler cisowy nie jest określony żadną nazwą, przysiągłbym, że oznacza go ta linia, mająca po prawej stronie równinę. Tu, ten szereg domów, to wioska Grimpen, gdzie nasz przyjaciel, doktór Mortimer, ma główne miejsce zamieszkania. Widzisz, że w promieniu trzech mil siedziby ludzkie są rzadko rozrzucone. Tu jest posiadłość Lafter

Hall, o której wspomina stary rękopis. Budynek, oznaczony nieco dalej, to mieszkanie przyrodnika Stapletona, jeżeli dobrze pamiętam jego nazwisko. Wreszcie dostrzegam dwa folwarki: High Tor i Foulmire. O czternaście mil stamtąd wznosi się więzienie Princetown. Dokoła i pomiędzy temi domami ciągnie się równina ponura i pusta. Tu właśnie rozegrał się dramat, tu więc będziemy się starali rozwikłać osłaniającą go tajemnicę.

— To miejsce jest dzikie i puste?

— Tak jest. Gdyby djabeł chciał się mieszać w sprawy ludzkie...

— A więc i ty przypuszczasz, że istnieją jakieś potęgi nadprzyrodzone?

— A czyż djabeł nie może się posługiwać pomocnikami, posiadającymi ciało i kości? Od początku, dwa pytania nasuwają mi się na myśl: pierwsze, czy spełniono tu zbrodnię? Drugie, jakiego to rodzaju zbrodnia i w jaki sposób ją spełniono? Jeżeli przypuszczenia doktora Mortimera są uzasadnione, i jeżeli znajdujemy się wobec potęgi, która wyłamuje się z pod zwykłych praw natury, najlepiej byłoby zaniechać dalszych badań. Ale musimy wyczerpać wszystkie inne hipotezy, zanim zatrzymamy się na tej ostatniej. Zamknij teraz okno. Może być, że mam dziwne uprzedzenie, ale zdaje mi się, że skoncentrowana atmosfera dopomaga do zebrania myśli; nie zamykam się jednak w pudełku, dlatego, bym lepiej mógł myśleć; a byłby to logiczny wynik mego dowodzenia... No, a ty, czy zastanawiałeś się nad tą sprawą?

— Myślałem o niej wiele w ciągu dnia.
— I jakież twoje zdanie?
— Jestem istotnie w wielkim kłopocie...
— Rzeczywiście, to sprawa niezwykła, zupełnie odmienna od innych... Naprzykład ta zmiana w kształcie śladów stóp. Jakże ją sobie tłómaczysz?
— Mortimer twierdzi, że sir Karol Baskerville przebiegł część alei na palcach.
— Powtarza tylko wniosek jakiegoś idjoty, który prowadził śledztwo. Dlaczegóżby Baskerville miał się przechadzać po szpalerze na palcach?
— A więc?
— Sądzę, że biegł!... sir Karol biegł z rozpaczliwym wysiłkiem!... Biegł, aby się ocalić, dopóki nagły atak anewryzmu serca nie powalił go na ziemię.
— A dlaczegóżby uciekał?
— W tem właśnie tkwi zagadka. Z niektórych oznak wnoszę, że był już przerażony do najwyższego stopnia, zanim zaczął uciekać.
— Na czem opierasz ten wniosek?
— Przypuszczam, że powód jego przestrachu znajdował się na moczarach, i to wydaje mi się prawdopodobnem, gdyż tylko człowiek oszalały ze strachu, może się cofać tyłem do swego domu, zamiast iść, jak zwykle, w stronę domu. Jeżeli możemy wierzyć opowiadaniu cygana, sir Karol biegł, wołając o pomoc, w kierunku, skąd najmniej mógł się spodziewać pomocy... Zresztą na co on czekał tej nocy?... Dlaczego oczekiwał w szpalerze cisowym a nie w zamku?
— Czy mniemasz, że czekał na kogoś?

— Doktór Mortimer odmalował nam sir Karola Baskerville'a jako człowieka starego i niedołężnego. Przypuśćmy nawet, że w tych przechadzkach było coś nienaturalnego... no, ale tego wieczora ziemia była wilgotna i noc zimna; czyż to zatem rzecz możliwa, ażeby sir Karol stał na jednem miejscu z dziesięć minut, jak dowodzi doktór Mortimer, wnosząc z popiołu otrząśniętego z cygara?

— Przecież sir Karol wychodził podobno co dzień wieczorem.

— Nie wydaje mi się to prawdopodobne, aby co wieczór przechadzał się w pobliżu furtki prowadzącej na moczary. Zeznania wszystkich dowodzą przeciwnie: wszyscy mówią, że sir Karol unikał tego miejsca, a tej nocy znalazł się tam właśnie. Nazajutrz miał jechać do Londynu... Kwestja przedstawia się teraz jaśniej... Watsonie, daj mi moje skrzypce... Nie myślmy już o tej sprawie i czekajmy na odwiedziny doktora Mortimera i sir Henryka Baskerville'a.

IV.

SIR HENRYK BASKERVILLE.

Tego rana zjedliśmy śniadanie bardzo wcześnie. Sherlock Holmes czekał w szlafroku na przybycie gości. Stawili się punktualnie; o godzinie dziesiątej ukazał się w pokoju doktór Mortimer i młody baronet.

Miał on około lat trzydziestu. Był niskiego wzrostu, żywego widocznie usposobienia, czarne jego oczy spoglądały bystro z pod krzaczastych brwi, co nadawało jego twarzy wyraz energji i silnej woli. Postawę miał kształtną i proporcjonalną. Ogorzała jego cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżem powietrzu. Spokój w spojrzeniu i powaga w ruchach wykazywały człowieka dobrze wychowanego.

— Przedstawiam panom sir Henryka Baskerville'a — rzekł doktór Mortimer.

— Tak, to ja we własnej osobie — dodał młody człowiek. — Ale, co dziwniejsze, panie Holmes, to fakt, że, gdyby mój przyjaciel, tu oto obecny, nie był mi zaproponował, że mnie panu przedstawi, byłbym przyszedł do pana z własnego popędu. Pan lubi zagadki. A więc od

dzisiejszego ranka jestem w posiadaniu zagadki, na której rozwiązanie trzeba poświęcić więcej czasu niż mam do rozporządzenia.

Holmes złożył ukłon.

— Racz usiąść, sir Henryku — rzekł. — Przypuszczam, że podczas krótkiego pobytu w Londynie padłeś ofiarą jakiejś przygody?

— O! nic ważnego, panie. Zdaje mi się, że to żart, tem mianem bowiem określić można list, jaki odebrałem dzisiaj rano.

I sir Henryk położył kopertę na stole.

Zbliżyliśmy się wszyscy, by ją lepiej zobaczyć; zrobiona była z szarego papieru i wyglądała pospolicie. Niewprawna ręka nakreśliła na niej następujący adres:

„Sir Henryk Baskerville w hotelu Northumberland".

Na liście była marka pocztowa z Charing-Cross i data dnia poprzedniego.

— Czy kto wiedział, że pan się zatrzyma w hotelu Northumberland? — zapytał Holmes, patrząc uważnie na gościa.

— Nie, nikt nie wiedział, gdyż nie zdecydowałem się, gdzie stanę, dopiero po spotkaniu się z doktorem Mortimerem.

— Zapewnie doktór Mortimer tam zamieszkał?

— Nie, ja zamieszkałem u przyjaciela, — odpowiedział doktór — niemożliwe więc było przewidzieć, że udamy się do tego hotelu.

— Hm! — mruknął Sherlock. — Zdaje mi się, że jest ktoś doskonale powiadomiony o pańskich zamiarach.

Holmes wyjął z koperty pół arkusza papieru wydartego z kajetu i złożonego we czworo.

Rozłożył papier na stole; zawierał on tylko jedno zdanie, składające się z liter drukowanych, naklejonych na papierze. Zdanie to brzmiało:

„Jeżeli przywiązujecie wartość do swego rozumu lub swojego życia, unikajcie wąwozu".

Jeden tylko wyraz: „wąwóz" był napisany.

— Może mnie pan objaśni, panie Holmes, — zapytał sir Henryk Baskerville — co to wszystko znaczy, i co za człowiek może się mną tak żywo zajmować?

— Co doktór myśli o tem? Musi pan przyznać, że niema w tem nic nadzwyczajnego.

— Nie przeczę, panie. Ale czy ta przestroga nie może być przysłana przez osobę, pewną tego, że znajdujemy się wobec faktów nadprzyrodzonych?

— Jakich faktów? — zapytał żywo sir Henryk. — Zdaje mi się, że panowie znacie lepiej moje interesy i sprawy aniżeli ja sam.

— Zanim pan wyjdzie z tego pokoju — odpowiedział Sherlock Holmes — będzie pan wiedział to wszystko co i my: przyrzekam to panu. W tej chwili, jeżeli się pan na to zgadza, musimy się bacznie przypatrzyć temu ciekawemu dokumentowi. Został on niewątpliwie zredagowany wczoraj wieczorem i oddany natychmiast na pocztę. Czy masz, Watsonie, wczorajszego *Times'a?*

— Leży tam na stole.

— Podaj mi go, proszę cię, chcę przejrzeć kolumnę zawierającą artykuły wstępne.

Holmes przebiegał szybko wzrokiem gazetę.

— Najważniejszy artykuł mówi o wolnym handlu — rzekł. — Pozwólcie, bym wam z niego przeczytał wyjątek: „Mylne jest mniemanie, że taryfy ochronne podnoszą przemysł i handel narodowy. Jeżeli przywiązujecie dużą wartość do waszych stosunków handlowych, unikajcie tego prawa, które obniży ogólne warunki bytu. Rozsądek wskaże wam grożące niebezpieczeństwo“.

— Jakie twoje zdanie o tym artykule, Watsonie? — zawołał wesoło Holmes, zacierając ręce z widocznem zadowoleniem.

Doktór Mortimer patrzył ciekawie na Holmesa, a sir Henryk spoglądał na mnie ze zdumieniem.

— Nie mam dokładnego pojęcia o taryfach i ekonomji politycznej — rzekł sir Henryk. — Zresztą zdaje się, że ten list odwrócił naszą uwagę od głównego przedmiotu.

— Przeciwnie, sir Henryku, zdaje mi się, że sprawa się wyjaśnia. Watson jest więcej wtajemniczony w moją metodę, a jednak widzę, że nie zrozumiał dokładnie ważności tej cytaty.

— W istocie — odparłem — nie mogę pojąć co za związek...

— Jest związek i to bardzo wielkiej wagi... *„Jeżeli... swoje... życie... rozum... przywiązujecie... wartość... unikajcie...“* Czy pan rozumie skąd wzięto te wyrazy?

— Ma się rozumieć! — zawołał sir Henryk. — Bardzo zręcznie zrobione.

— Gdybym nawet miał jakąkolwiek pod tym względem wątpliwość, — ciągnął dalej Holmes —

to wyrazy „unikajcie“ lub „przywiązujecie wartość“, które są żywcem wycięte nożyczkami, rozproszyłyby ją natychmiast.

— W istocie, panie Holmes, to przechodzi ludzkie pojęcie — rzekł Mortimer, spoglądając ze zdumieniem na mego przyjaciela. — Domyśleć się, że zdanie jest wycięte z gazety, nietrudno, ale z jakiej gazety, a nawet z jakiego artykułu, to w istocie zdumiewające! Jakim sposobem pan to odgadł?

— Przypuszczam, doktorze, że potrafisz odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

— Naturalnie, że potrafię.

— A jakim sposobem odgadniesz różnicę?

— Przecież to mój fach, uczyłem się tego. Różnice są tak wielkie, że same rzucają się w oczy. Kość czołowa, kąt twarzy, rysunek szczęk i...

— A to, co ja mówię, dotyczy znów mojego fachu; różnice również biją w oczy. Ja widzę taką samą różnicę pomiędzy drukiem *Times'a* a jakiejś marnej gazety, jak pan pomiędzy Murzynami a Eskimosami. Rozpoznawać czcionki drukarskie to najłatwiejsza umiejętność dla człowieka, poświęcającego się sprawom kryminalnym. Przyznaję, że, będąc młodym, nie odróżniałem nieraz *Leeds Mercury* od *Western Morning News*. Druk *Times'a* poznać bardzo łatwo i te wyrazy nie mogły być wzięte z innego dziennika. List datowany jest wczoraj, szukałem zatem w numerze wczorajszym.

— Więc ktoś wyciął te wyrazy nożyczkami? — zapytał sir Henryk Baskerville.

— Naturalnie; i to nożyczkami takiemi, jakich używa się do obcinania paznokci — dodał Holmes. — Ostrze ich musiało być krótkie, gdyż znać dwa cięcia w wyrazach: „unikajcie“ i „przywiązujecie wartość“.

— Rzeczywiście, ktoś wycinał wyrazy małemi nożyczkami i następnie przylepiał je klejem.

— Nie, gumą — poprawił Holmes.

— No, niech będzie gumą — powtórzył sir Henryk. — Ale niech mi pan wytłómaczy, dlaczego wyraz „wąwóz“ jest napisany?

— Dlatego, że tego wyrazu niema w artykule. Inne wyrazy spotkać można wszędzie, we wszystkich gazetach, ale wąwozu nie łatwo znaleźć.

— Przyjmuję pańskie wyjaśnienie, panie Holmes, ale czy pan w tem ostrzeżeniu doczytał się jeszcze czego innego?

— Zaczerpnąłem z niego parę wskazówek, choć znać w tem piśmie staranie o zatarcie takich, któreby mogły naprowadzić na domysły. Naprzykład adres napisany niekształtnie i niedbale, a przecież wiemy, że *Times'a* prenumerują tylko ludzie wykształceni. Z tego możemy wnosić, że list układał człowiek wykształcony, który pragnął uchodzić za nieuka. Następnie, usiłowanie zmiany pisma nasuwa myśl, że pan zna charakter tego pisma, lub może go poznać wkrótce. Potem, zwróć pan uwagę na to, że wyrazy nie są naklejone w linji prostej, lecz jedne wyżej drugie niżej, i tak: „życie“ jest zupełnie ponad linją. Czy ten brak staranności należy przypisać niedbalstwu tego, który wycinał te słowa, lub też wzruszeniu albo pośpiechowi? Dajmy na to, że pośpiechowi. Prze-

stroga jest wielkiej wagi i ten, który ją układał, czynił to z uwagą i natężeniem. Gdybyśmy przypuścili, że niedbalstwo pochodziło z pośpiechu, trzebaby szukać jaka była tego przyczyna, gdyż ten list, czy byłby wrzucony wczoraj wieczorem, czy dziś rano, powinien był dojść do rąk sir Henryka, zanim tenże wyszedłby z hotelu. Piszący więc lękał się, aby mu nie przerwano. Ale kogo się obawiał?

— Wchodzimy teraz w dziedzinę przypuszczeń — odezwał się doktór Mortimer.

— Tak jest, — potwierdził Holmes — i z tych przypuszczeń musimy wybrać to, które wydaje nam się najprawdopodobniejsze. To się nazywa naginać wyobraźnię do nauki. Czyż nie mamy zawsze do naszego rozporządzenia jakiego rzeczywistego zdarzenia, na którem możemy opierać nasze domysły? Może mnie pan jeszcze raz oskarżyć o stawianie hipotezy, ale jestem pewien, że ten list był pisany w hotelu.

— Z czego pan to wnosi? — zawołał Mortimer.

— Jeśli pan się uważnie przypatrzy tej korespondencji, przekona się pan, że pióro i atrament pozostawiały wiele do życzenia. Pióro bryzgnęło dwukrotnie w tym samym wyrazie, a w adresie nie chciało znowu wypuścić atramentu, chociaż adres jest krótki... Zatem pióro było zużyte, a w kałamarzu brak atramentu. Pióro zaś i kałamarz w mieszkaniu prywatnem rzadko znajdują się w takiem zaniedbaniu. A pióra i kałamarze w hotelach zna pan zapewne dobrze... To też nie waham się powiedzieć, że powinniśmy przetrząsnąć kosze

do papierów w hotelach sąsiadujących z Charing Cross, a ręczę, że znajdziemy pocięty numer *Times'a.* Idąc za tą wskazówką sądzę, że schwytalibyśmy autora tej dziwnej przestrogi... No, no...

Holmes przysunął papier bliżej oczu i przypatrywał się pilnie naklejonym wyrazom.

— Cóż więcej? — zapytałem go.

— Nic — odparł, kładąc ćwiartkę papieru na stole. — Papier jest biały, bez żadnego znaku. Zdaje mi się, że wysnuliśmy z tego listu wszystko, czegośmy się mogli z niego dowiedzieć. Teraz sir Henryku, powiedz nam, czy ci się nie przytrafiło nic innego od chwili, gdy wysiadłeś z pociągu?

— Nie, panie Holmes... Nie pamiętam.

— Nie uważałeś, czy się kto nie przypatrywał lub nie szedł za tobą?

— Zdaje mi się, że jestem bohaterem zawiłego romansu — odpowiedział sir Henryk. — Dlaczego, do licha, miałby mnie kto śledzić lub iść za mną?

— Jednakże zdaje mi się, że tak było. Czy nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia, zanim zaczniemy dochodzić, jaki to jest rodzaj opieki, którą pana otoczono?

— Nie wiem, co pan uważa za godne powtórzenia?

— Wszystko, co tylko wychodzi poza zakres pospolitych zdarzeń życia.

Sir Henryk uśmiechnął się.

— Nie znam zwyczajów życia angielskiego, — powiedział — gdyż większą część życia spędzi-

łem w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie. Nie sądzę jednak, aby strata buta wychodziła poza granice pospolitych zdarzeń w życiu.

— Zgubił pan jeden but?

— Ech, pewnie się gdzie zarzucił — odezwał się Mortimer. — Znajdzie go pan po powrocie do hotelu. Czy to warto nudzić pana Holmesa takiemi drobnostkami?

— Pan Holmes pytał mnie, więc mu odpowiadam — odparł sir Henryk.

— Bardzo słusznie pan czyni — rzekł Holmes. — Opowiedz mi pan wszystko, nawet to, co uważasz za zdarzenie błahe. A więc utraciłeś but?

— Jeżeli go nie zgubiłem, to w każdym razie zarzucił się. Wczoraj wieczorem postawiłem buty przed drzwiami swego pokoju, a dziś rano znalazłem tylko jeden but. Pytałem chłopca hotelowego, lecz nie umiał mi dać żadnego wyjaśnienia. A były to buty nowiuteńkie, kupiłem je wczoraj na Strandzie i nie miałem ich jeszcze na nogach.

— Jeśli pan w nich nie chodziłeś, dlaczego kazałeś je czyścić?

— Żółta skóra nie miała połysku, chciałem żeby go nabrała.

— Wczoraj więc, przyjechawszy do Londynu, wyszedłeś pan natychmiast na miasto i kupiłeś obuwie?

— Kupowałem jeszcze inne rzeczy... Doktór Mortimer towarzyszył mi. Do licha! Jeżeli mam grać rolę wielkiego pana, muszę być odpowiednio ubrany... Na Dalekim Zachodzie nie dbałem tak o swoją powierzchowność...

Robiąc inne sprawunki kupiłem też i żółte obuwie, zapłaciłem za nie sześć dolarów i skradziono mi je, zanim je włożyłem na nogi.

— Nie pojmuję w jakim celu popełnionoby tę kradzież — rzekł Holmes. — Podzielam zdanie doktora Mortimera, że but znajdzie się wkrótce.

— Zdaje mi się, panowie, — rzekł baronet — że mówiliśmy już dosyć o mnie. Nadeszła chwila, żebyście mi powiedzieli to, co wiecie.

— Życzenie pańskie jest słuszne — odpowiedział Sherlock Holmes. — Doktorze, powtórz sir Henrykowi opowieść, z którą zapoznałeś nas wczoraj rano.

Nasz przyjaciel, zachęcony w ten sposób, wyjął z kieszeni papiery i opowiedział historję, znaną już czytelnikom. Sir Henryk Baskerville słuchał go z najgłębszą uwagą. Od czasu do czasu mimowolny okrzyk zdumienia wyrywał mu się z piersi. Gdy doktór Mortimer zamilkł, baronet zawołał:

— Odziedziczyłem zatem przeklętą spuściznę. Tak jest, od dzieciństwa słyszałem o tym psie. Jest to podanie, znane dobrze w naszej rodzinie, ale nie myślałem, aby to była rzecz poważna. Co zaś do śmierci mojego stryja... Zdaje mi się, że wszystko przewraca mi się w głowie... Nie mogę powiązać ze sobą dwóch myśli... Pytam, czy to, co mi pan powiedział wymaga śledztwa sądowego, czy też egzorcyzmu?

— Rzeczywiście, trudno o tem zawyrokować.

— Następnie ten list, przysłany do hotelu... Trzeba przyznać, że list przyszedł w porę.

— Jest on zarazem dowodem, że ktoś wie lepiej niż my, co się dzieje na moczarach — rzekł Mortimer.

— I że ten ktoś jest panu życzliwy, ponieważ ostrzega pana o niebezpieczeństwie — dodał Holmes.

— Moja obecność krzyżuje tam może pewne plany.

— To możliwe... Dziękuję ci, doktorze, że dałeś mi do rozwiązania zagadkę, która zawiera tyle ciekawych szczegółów. Teraz, sir Henryku Baskerville'u, pozostaje nam tylko jedna kwestja do rozstrzygnięcia: czy masz jechać lub nie jechać do zamku?

— Dlaczegóż miałbym nie jechać?

— Bo tam może grozić panu jakie niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo, pochodzące od złego ducha, prześladującego rodzinę, czy też ze strony ludzi?

— Należałoby to wyjaśnić.

— Jakiekolwiek jest zdanie panów, ja już wiem jak postąpić. Panie Holmes, nie istnieje w piekle taki djabeł, ani na ziemi taki człowiek, któryby mi mógł przeszkodzić udać się do siedziby moich przodków. Oto jest moje ostatnie słowo.

Podczas tej przemowy brwi sir Henryka zbiegły się, a twarz przybrała barwę purpurową. Ostatni potomek Baskerville'ów odziedziczył widocznie gwałtowny temperament swoich przodków.

— Muszę zastanowić się nieco dłużej nad tem wszystkiem, co mi pan powiedział — rzekł po

chwili. — Niepodobna tak odrazu objąć wszystkiego i powziąć postanowienie. Chciałbym spędzić godzinę w samotnem skupieniu... Panie Holmes, teraz jest pół do jedenastej; powracam prosto do hotelu; może pan zechce wraz z doktorem Watsonem przyjść do mnie o drugiej i zjeść z nami śniadanie? Sądzę, że wytworzę sobie do tego czasu jaśniejsze pojęcie o tej całej sprawie.

— Czy zgadzasz się Watsonie?

— Najzupełniej.

— W takim razie niech pan czeka na nas. Czy posłać po dorożkę?

— Wolę pójść pieszo, jestem bardzo wzburzony.

— Będę panu towarzyszył z przyjemnością — odezwał się doktór Mortimer.

— A więc, do widzenia o drugiej!

Usłyszeliśmy odgłos kroków naszych gości na schodach i stuk zamykanych drzwi wchodowych. W tejże chwili Holmes wyrwał się z zadumy i zamienił w człowieka czynu.

— Kapelusz i buty, Watsonie, szybko! Nie ma chwili czasu do stracenia!

Wpadł w szlafroku do garderoby i w kilka sekund później powrócił w surducie. Zbiegliśmy ze schodów i wypadliśmy na ulicę. Dr. Mortimer i Baskerville szli o jakie dwieście metrów przed nami, w kierunku ulicy Oxford.

— Czy mam ich dogonić i zatrzymać? spytałem.

— Ani mi się waż! Twoje towarzystwo wystarczy mi najzupełniej, jeśli ty zadowolisz się mojem. Ci panowie mieli słuszność, ranek dzisiejszy wyśmienity na przechadzkę.

Przyśpieszył kroku, tak, że niebawem odległość dzieląca nas od tamtych panów, zmniej-

szyła się o połowę, poczem, pozostając już o jakie sto metrów w tyle, szliśmy za nimi przez ulicę Oxford a później Regenta. Raz jeden dr. Mortimer i Baskerville zatrzymali się przed jakąś wystawą sklepową, a Holmes uczynił to samo. W chwilę później wydał stłumiony okrzyk radości; śledząc kierunek jego badawczego wzroku, spostrzegłem karetkę dorożkarską z jakimś pasażerem, która stała po przeciwnej stronie ulicy i teraz ruszyła znów wolno w drogę.

— Mamy go, Watsonie! Pójdź prędko. Przyjrzyjmy mu się przynajmniej, jeżeli nam się nic innego nie uda.

W przelocie dostrzegłem gęstą czarną brodę i dwie przenikliwe źrenice, spoglądające na nas przez boczne okna dorożki. W tejże chwili otworzyło się z impetem okienko, przez które pasażer porozumiewa się z woźnicą, jadący krzyknął coś powożącemu i dorożka potoczyła się galopem ulicą Regenta. Holmes obejrzał się bacznie dokoła, szukając innej, lecz nie znalazł pustej; puścił się tedy pędem za dorożką śród wiru ulicznego; zbyt wielka dzieliła ją już odległość i niebawem zupełnie znikła nam z oczu.

— Do licha! — zaklął Holmes ze złością, gdy wydostał się zadyszany z pomiędzy szeregu pojazdów. — Czy widział kto kiedy taki fatalizm i takie niedołęstwo? Watsonie, Watsonie, jeżeli jesteś człowiekiem sprawiedliwym, zapamiętasz to i zapiszesz na rachunek moich niepowodzeń.

— Kto to był?

— Nie mam pojęcia.

— Szpieg?

4*

— Sądząc z tego, cośmy słyszeli, nie ulega wątpliwości, że od chwili przyjazdu Baskerville'a ktoś śledzi go bardzo pilnie i chodzi za nim jak cień. Inaczej, skąd wiedzianoby odrazu, że zamieszkał w hotelu Northumberland? Jeśli śledzili go pierwszego dnia, wywnioskowałem, że będą go szpiegowali i następnego. Zauważyłeś pewnie, że, gdy dr. Mortimer czytał swoją opowieść, zbliżyłem się dwukrotnie do okna.

— Tak, przypominam sobie.

— Patrzyłem, czy kto nie chodzi przed domem, ale nie spostrzegłem nikogo. Słuchaj, mamy do czynienia z bardzo wytrawnym człowiekiem. Sprawa się wikła, a jakkolwiek nie jestem pewien, jakie czynniki wchodzą tu w grę, przyjazne czy wrogie, niemniej przyznaję działanie jakiejś ukrytej siły. Gdy przyjaciele nasi wyszli od nas, udałem się za nimi, chcąc wykryć ich niewidzialnego opiekuna. Człowiek ten jest taki przebiegły, że nie chciał puścić się pieszo, lecz wsiadł w dorożkę, tak, by mógł śledzić ich z tyłu lub wyprzedzić i w ten sposób ujść ich uwadze. Metoda ta zapewniała mu nadto i tę korzyść, że, gdyby zechcieli jechać dorożką, mógł ich śledzić bez straty czasu. Z tem wszystkiem wszakże taki sposób postępowania ma jedną bardzo złą stronę.

— Zdaje tego jegomościa na łaskę i niełaskę dorożkarza.

— Właśnie.

— Co za szkoda, że nie zauważyliśmy jego numeru.

— Mój drogi, jakkolwiek zgapiłem się porządnie, nie przypuszczasz chyba na serjo, że

nie wiem numeru dorożki? 2704... zapamiętałem go dobrze. Ale na razie mało nas to obchodzi.

— Nie wiem, dalibóg, co mógłbyś więcej uczynić.

— Gdybym był wcześniej zauważył dorożkę, zawróciłbym niezwłocznie, poszedł w przeciwnym kierunku i znalazł z pewnością wolną dorożkę; a wówczas mógłbym jechać za nim w przyzwoitem oddaleniu, lub też, co byłoby lepiej, podążyłbym naprzód do hotelu Northumberland i zaczekałbym. Jeżeli okazałoby się, że nasz nieznajomy śledzi Baskerville'a, to my, wzajem, śledzilibyśmy jego. Tymczasem, skutkiem nierozważnego pospiechu, z którego przeciwnik nasz umiał skorzystać z rzadką szybkością i energją, zdradziliśmy się i straciliśmy jego ślady.

Rozmawiając, szliśmy wolno ulicą Regenta i oddawna już straciliśmy z oczu dra Mortimera i jego towarzysza.

— Dalsze śledzenie ich nie ma celu — rzekł Holmes. — Cień znikł i już nie powróci, Pozostały nam jednak jeszcze inne karty w ręku i z tych skorzystamy. Czy poznałbyś człowieka, który siedział w dorożce?

— Poznałbym tylko jego brodę.

— I ja również... z czego wnoszę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, była fałszywa. Człowiek sprytny, spełniający zadanie takiej drażliwej natury, nosi brodę jedynie w celu ukrycia rysów twarzy. Wejdźmy tutaj.

Holmes wszedł do biura posłańców tej dzielnicy miasta, gdzie dyrektor powitał go z wielką uprzejmością.

— A! pan Wilson... Widzę, żeś nie zapomniał drobnej przysługi, jaką ci wyświadczyłem.

— Nie, panie, i nie zapomnę. Ocalił mi pan honor a może i życie.

— Przesadzasz, mój drogi. Przypominam sobie, panie Wilson, że miałeś między swymi chłopcami malca, nazwiskiem Cartwright, który w toku śledztwa złożył dowody niemałego sprytu.

— Tak, panie, jest jeszcze u nas.

— Możesz zadzwonić na niego, żeby tu przyszedł? Dziękuję! A teraz radbym, żebyś mi pan zmienił banknot pięciofuntowy.

Chłopiec czternastoletni, o twarzy inteligentnej i sprytnych oczach, przybył na odgłos dzwonka dyrektorskiego, stanął przed Holmesem i wpatrywał się z wielkim szacunkiem w głośnego agenta tajnej policji.

— Daj mi przewodnik hotelowy, — rzekł Holmes. — Dziękuję! Słuchaj, Cartwright, masz tutaj nazwy dwudziestu trzech hoteli, położonych w bezpośredniem sąsiedztwie Charing Cross. Widzisz?

— Widzę, panie.

— Zwiedzisz je wszystkie, kolejno.

— Dobrze, panie.

— Zaczniesz od tego, że odźwiernemu każdego z nich dasz szylinga. Masz tu dwadzieścia trzy szylingi.

— Dobrze, panie.

— Zażądasz od każdego z nich, żeby ci dał do przejrzenia kosz z papierami z dnia poprze-

dniego. Powiesz, że zaniesiono ważny telegram pod niewłaściwy adres i że musisz go odnaleźć. Rozumiesz.

— Rozumiem, panie.

— W istocie zaś będziesz szukał środkowej strony *Times'a*, powycinanej nożyczkami. Masz tu ten sam numer *Times'a*, a oto stronica, o którą mi chodzi. Poznasz ją z łatwością, co?

— Poznam, panie.

— W każdym hotelu odźwierny odeśle cię do posługacza, któremu również dasz szylinga. Masz tu znów dwadzieścia trzy szylingi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w dwudziestu hotelach na dwadzieścia trzy powiedzą ci, że papiery z kosza zostały spalone albo wyrzucone. W trzech zaprowadzą cię do stosu papierów i tam będziesz szukał stronicy *Times'a*. Małe jest bardzo prawdopodobieństwo, żebyś ją znalazł. Masz jeszcze dziesięć szylingów na wydatki nieprzewidziane. Doniesiesz mi telegraficznie przed wieczorem na ulicę Baker coś zrobił. A teraz, Watsonie, musimy również telegraficznie, stwierdzić tożsamość dorożkarza nr. 2704, poczem wstąpimy do którejkolwiek galerji obrazów na ulicy Bond, dla zabicia czasu, dopóki nie nadejdzie godzina spotkania w hotelu.

V.

TRZY ZERWANE NICI.

Sherlock Holmes posiadał w wysokim stopniu możność odrywania umysłu swego od spraw pochłaniających na razie jego uwagę. Przez dwie godziny szczególna sprawa, w którą zostaliśmy wplątani, poszła w zapomnienie, a Holmes utonął w podziwie dzieł współczesnych mistrzów belgijskich. Nie chciał mówić o niczem, tylko o sztuce, o której zresztą miał bardzo słabe pojęcie, nawet podczas drogi z galerji do hotelu Northumberland.

— Sir Henryk Baskerville czeka na panów u siebie — rzekł urzędnik biura hotelowego. — Polecił mi, abym panów niezwłocznie poprosił na górę.

— Czy pan pozwoli mi zajrzeć do księgi przyjezdnych? — spytał Holmes.

— Owszem, proszę.

Księga wykazała, że po Baskerville'u zapisane zostały jeszcze trzy nazwiska: Teofila Johnsona z rodziną z Newcastle, i pani Oldmore z pokojówką z High Lodge, Alton.

— To niewątpliwie ten sam Johnson, którego ja znam — zwrócił się Holmes do portjera. — Adwokat, nieprawda? siwy, utyka chodząc?

— Nie, panie, ten pan Johnson jest właścicielem składu węgli, bardzo rzeźki jegomość, nie starszy od pana.

— Mylisz się pan niechybnie co do jego zawodu.

— Nie, panie; od szeregu lat staje w tym hotelu, znamy go wszyscy bardzo dobrze.

— Ha, to rzecz inna. A pani Oldmore? Zdaje mi się, że to nazwisko nie jest mi obce. Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale często, odwiedzając jednego znajomego, znajdujemy i drugiego.

— Pani Oldmore jest sparaliżowana. Mąż jej był kiedyś burmistrzem Gloucesteru. Ilekroć przyjeżdża do Londynu, zawsze staje u nas.

— Dziękuję za objaśnienia. Zdaje mi się, że nie mogę rościć pretensji do jej znajomości.

Wchodząc na schody, Holmes mówił do mnie przyciszonym głosem:

— Stwierdziliśmy temi pytaniami fakt bardzo ważny. Wiemy teraz, że ci, którzy zajmują się tak pilnie naszym przyjacielem, nie zamieszkali w tym samym, co on, hotelu. To dowodzi, że, jakkolwiek śledzą go bacznie, o czem mieliśmy sposobność się przekonać, równie bacznie wystrzegają się, by ich nie zauważono. Okoliczność ta daje dużo do myślenia.

— Co mianowicie?

— Podsuwa myśl... a to co? Co się tu dzieje u licha?

Na skręcie korytarza hotelowego wpadliśmy na sir Henryka Baskerville'a we własnej osobie. Twarz miał rozogniona gniewem, a w ręku trzymał but stary i zakurzony. Był taki wściekły, że minęła dobra chwila, zanim zdołał wydobyć głos

z gardła, a gdy się odezwał, mówił, wyraźniejszym jeszcze niż z rana, djalektem amerykańskim.

— Zdaje mi się, że sobie tu drwią ze mnie w tym hotelu! — krzyczał. — Ale niech się strzegą, bo pożałują! Do pioruna! jeśli chłopak nie znajdzie buta, który mi zginął, narobię takiego piekła, że mnie popamiętają! Znam się na żartach, panie Holmes, ale tym razem przeholowali trochę.

— Szuka pan jeszcze ciągle swojego buta?

— Tak, panie, i mam zamiar go odnaleźć.

— Ale, przecież mówiłeś pan, że zginął panu nowy but żółty?

— Tak, a teraz znów stary czarny.

— Co! ależ co pan mówi?...

— To, co jest. Mam tylko trzy pary... nowe żółte, stare czarne i te, które noszę. Wczoraj wieczorem zabrali mi jeden żółty, a dzisiaj rano skradli mi znów czarny. I cóż, znaleźliście? Mów człowieku, zamiast stać i gapić się na mnie!

Na widowni ukazał się służący, Niemiec.

— Nie, panie, pytałem w całym hotelu, ale nikt nic nie wie.

— Albo but znajdzie się przed wieczorem, albo zawiadomię właściciela hotelu, że niezwłocznie opuszczam jego budę.

— Znajdzie się... przyrzekam panu, że się znajdzie, proszę tylko o trochę cierpliwości.

— No, pamiętajcie! nie chcę pod żadnym pozorem tracić butów w tej norze złodziejskiej. Panie Holmes, proszę mi wybaczyć, że nudzę pana taką błahostką...

— Myli się pan, to wcale nie błahostka.

— Czyżby w istocie sprawa wydała się panu poważna?

— Czem pan sobie to tłómaczy?

— Nie usiłuję wcale tłómaczyć sobie tej całej awantury. Faktem jest, że nie zdarzyło mi się jeszcze dotąd nic równie osobliwego i szalonego.

— Osobliwego... może, — rzekł Holmes, zamyślony.

— A co pan z tego wnioskuje?

— Jak dotąd, nic jeszcze nie rozumiem. Wszystkie pańskie przygody, sir Henryku, składają się na historję niesłychanie zawikłaną. Gdy nadto dodam do nich śmierć stryja pańskiego, zdaje mi się, że z pięciuset spraw ważniejszych, jakiemi się zajmowałem, nie było ani jednej równie osobliwej. Ale mamy w ręku kilka nici, a z tych jedna niechybnie naprowadzi nas na drogę prawdy. Stracimy może nieco czasu, idąc zrazu śladem fałszywym, ale wcześniej czy później natrafimy na właściwy.

Podczas śniadania mówiliśmy niewiele o sprawie, która nas zgromadziła. Dopiero, gdy przeszliśmy następnie do bawialni, Holmes zapytał Baskerville'a jakie są jego zamiary.

— Pojadę do Baskerville Hall.

— Kiedy?

— W końcu tygodnia.

— Zdaje mi się, — rzekł Holmes, — że to postanowienie pana jest rozumne. Mam niezachwiane przeświadczenie, iż szpiegują pana w Londynie, a śród kilkomiljonowej ludności tutejszej trudno będzie odnaleźć kto pana śledzi i co ma na celu. Jeśli zamiary te

są złe, może panu wyrządzić krzywdę, a nam niepodobna będzie zapobiedz temu. Czy też doktór zauważył, że ktoś śledził panów dzisiaj rano, gdy wyszliście ode mnie?

Dr. Mortimer poruszył się gwałtownie.

— Śledził... nas! Któż taki?

— Na nieszczęście tego powiedzieć nie mogę. Czy kto pomiędzy sąsiadami lub znajomymi pana w Dartmoor nosi pełny czarny zarost?

— Nie... a może jednak... tak, tak, Barrymore, kamerdyner sir Karola ma czarną brodę.

— A!... Gdzież jest ten Barrymore?

— Powierzono mu pieczę nad zamkiem.

— Należy się upewnić, czy jest tam istotnie, czy też może przybył niespodzianie do Londynu.

— Jakże pan to stwierdzi?

— Proszę o blankiet telegraficzny... „Czy wszystko gotowe na przyjęcie sir Henryka?...“ To wystarczy. Trzeba zaadresować depeszę do p. Barrymore'a w Baskerville Hall. Jaka jest najbliższa stacja telegraficzna? Grimpen... dobrze. Do pocztmistrza w Grimpenie wyślemy drugą depeszę takiej treści: „Depeszę do p. Barrymore'a doręczyć mu do rąk własnych. Jeśli nieobecny, zwrócić ją sir Henrykowi Baskerville'owi, hotel Northumberland“. W ten sposób przed wieczorem jeszcze dowiemy się, czy Barrymore jest na stanowisku w Devonshire.

— Wyśmienicie — odezwał się Baskerville — Ale, ale, doktorze, kto jest właściwie ten Barrymore?

— To syn starego intendenta zamkowego, który już nie żyje. Barrymore'owie od czterech

pokoleń służą rodzinie Baskerville'ów. O ile wiem, kamerdyner sir Karola i jego żona są ludźmi bardzo uczciwymi.

— Nie mniej — rzekł Baskerville — faktem jest, że dopóki nikt z rodziny nie mieszka w zamku, ci ludzie mają pańską rezydencję i nic nie robią.

— To prawda.

— Czy sir Karol zapisał co w testamencie Barrymore'owi? — spytał Holmes.

— A jakże, i jemu i jego żonie po pięćset funtów szterlingów.

— A!... Czy wiedzieli o tym zapisie?

— Wiedzieli; sir Karol lubił opowiadać o swoich rozporządzeniach testamentowych.

— To ciekawe.

— Spodziewam się, — rzekł dr. Mortimer — że nie wszyscy obdarzeni legatami przez sir Karola wydają się panu podejrzani. I mnie bowiem zapisał tysiąc funtów.

— Doprawdy! I komuż jeszcze?

— Różnym osobom drobne kwoty, nadto zostawił znaczniejsze sumy na cele dobroczynne, reszta zaś przypada w udziale sir Henrykowi.

— A ileż wynosi ta reszta?

— Siedemset czterdzieści tysięcy funtów.

Holmes otworzył wielkie oczy.

— Nie miałem pojęcia, że sir Karol pozostawił taki olbrzymi majątek — rzekł.

— Sir Karol uchodził za człowieka bogatego, ale dopóki nie przyszło do spisu inwentarza, nie wiedzieliśmy, jak wielkim był magnatem. Ogółem majątek jego wynosił blisko miljon funtów.

— Tam do licha! to gratka nielada, warto się o nią pokusić, nie przebierając w środkach. Jeszcze jedno pytanie, doktorze. W razie, gdyby naszemu młodemu przyjacielowi stało się co złego... proszę mi wybaczyć, sir Henryku, to niemiłe przypuszczenie... kto odziedziczyłby majątek?

— Ponieważ Roger Baskerville, młodszy brat sir Karola, umarł kawalerem, przeto spadkobiercami zostaliby Desmondowie, dalecy krewni. Jakób Desmond to człowiek w podeszłym wieku, kapłan w Westmorelandzie.

— Dziękuję bardzo. Są to szczegóły niezmiernie ważne. Czy doktór zna pana Jakóba Desmonda?

— Widziałem go raz u sir Karola. Całem zachowaniem się budzi najwyższy szacunek, a życie prowadzi przykładne. Pamiętam, że oparł się naleganiom sir Karola, który chciał koniecznie zmusić go do przyjęcia znacznej darowizny.

— I ten człowiek skromnych upodobań zostałby spadkobiercą krociowej fortuny sir Karola?

— Tak jest, odziedziczyłby posiadłość ziemską, według ustanowionego w rodzinie porządku spadkowego; odziedziczyłby i gotówkę, o ile obecny dziedzic, który oczywiście ma w tym względzie najzupełniejszą swobodę, nie rozporządziłby nią inaczej.

— A, sir Henryku, czy spisał pan testament?

— Nie, panie Holmes. Nie miałem jeszcze czasu; wczoraj dopiero dowiedziałem się, jak rzeczy stoją. Ale, w każdym razie gotówka do-

stanie się temu, kto odziedziczy tytuł i posiadłość ziemską. Taka była wola mego biednego stryja. W jaki sposób właściciel zamku mógłby przywrócić świetność Baskerville'ów, gdyby nie miał odpowiednich funduszów na pokrycie kosztów utrzymania posiadłości odziedziczonej? Dom, ziemia i pieniądze muszą pójść w jedne ręce.

— Bardzo słusznie. Zgadzam się w zupełności z panem, sir Henryku; musisz istotnie jechać niezwłocznie do Devonshire. Stawiam tylko jeden warunek: nie może pan jechać sam.

— Dr. Mortimer wraca ze mną.

— Ale dr. Mortimer ma praktykę, która mu czas zabiera, a nadto dom jego oddalony jest o kilka mil od pańskiego. Pomimo najlepszych chęci, nie będzie w stanie w danym razie pospieszyć panu z pomocą. Nie, sir Henryku, musi pan zabrać z sobą człowieka zaufanego, który będzie ustawicznie z panem.

— A czy pan mógłby jechać ze mną?

— W chwili krytycznej postaram się być na miejscu. Ale, pojmuje pan, że rodzaj mojego zajęcia nie pozwala mi wydalić się na czas nieokreślony z Londynu. Dziesiątki ludzi domagają się mojej rady, to znów wzywają mnie w różne strony... Ot, teraz naprzykład jedno z najbardziej szanowanych nazwisk w Anglji nurza w błocie wytrawny szantażysta i tylko ja mogę zapobiedz głośnemu skandalowi. Wobec tego, sam pan przyzna, że wyjazd do Dartmoor jest dla mnie niepodobieństwem.

— Kogóż zatem poleci mi pan, jako towarzysza?

Holmes położył dłoń na mojem ramieniu.

— Jeśli mój przyjaciel zechce zająć to stanowisko, nie znam człowieka odpowiedniejszego. Ufam mu bezgranicznie i wiem z doświadczenia, jak dobrze mieć go przy sobie w ciężkiej chwili życia.

Propozycja ta zaskoczyła mnie zupełnie znienacka, lecz, zanim zdążyłem odpowiedzieć, Baskerville pochwycił dłoń moją i uścisnął ją gorąco.

— To bardzo poczciwie z pańskiej strony — rzekł. — Zna mnie pan teraz, a o tej całej sprawie wie pan tyle, co ja. Jeśli pan pojedzie ze mną do Baskerville Hall i dotrzyma mi tam towarzystwa, nie zapomnę panu tego nigdy.

Widoki przygód niezwykłych miały zawsze dla mnie urok nieprzeparty, nadto pochlebiły mi słowa Holmesa i skwapliwość, z jaką baronet domagał się mego towarzystwa.

— Pojadę z przyjemnością — rzekłem. — Myślę, że trudno byłoby mi lepiej czas swój zużytkować.

— Będziesz zdawał mi szczegółowo sprawę ze wszystkiego — odezwał się Holmes. — A gdy nadejdzie chwila stanowcza, nadejdzie zaś niechybnie, wówczas prześlę ci odpowiednie wskazówki. Sądzę, że będziecie panowie mogli jechać w sobotę?

— Doktorze Watsonie, czy ten dzień panu odpowiada?

— Najzupełniej.

— A zatem w sobotę, o ile nie zajdzie nic nowego, spotkamy się na dworcu Paddington i wyruszymy pociągiem o godzinie 10 minut 30.

Zabieraliśmy się do odejścia, gdy Baskerville wydał okrzyk triumfu i, schyliwszy się, wydobył but żółty z pod szafy.

— But, który mi zginął! — zawołał.

— Oby wszystkie trudności, piętrzące się na naszej drodze, zostały równie szybko usunięte! — rzekł Sherlock Holmes.

— Szczególna rzecz jednak — wtrącił dr. Mortimer. — Przeszukałem pokój starannie przed śniadaniem...

— I ja również — rzekł Baskerville — zaglądałem do wszystkich kątów.

— I nigdzie nie było śladu buta.

— W takim razie służący przyniósł go, gdy jedliśmy śniadanie.

Wezwany Niemiec zapewnił nas, że o niczem nic wie, a wszelkie dopytywania pozostały bez skutku. Nowe zajście zatem powiększyło szereg drobnych i przypadkowych napozór tajemnic, które tak szybko następowały po sobie.

Pominąwszy całą ponurą historję śmierci sir Karola, staliśmy wobec wypadków niewytłómaczonych, zaszłych w ciągu dwóch dni: otrzymanie listu drukowanego, czarnobrody szpieg w karetce, zniknięcie nowego buta żółtego, zniknięcie starego buta czarnego i wreszcie odzyskanie nowego buta żółtego.

Podczas powrotu na ulicę Baker, Holmes siedział w dorożce, pogrążony w milczeniu, a ściągnięte brwi i zaduma w bystro patrzących przed siebie oczach świadczyły, że umysł jego, podobnie, jak mój, silił się na powiązanie tych wszystkich osobliwych zdarzeń, nie mających pozornie nic wspólnego z sobą. Przez całe popo-

łudnie i do późnego wieczora Holmes siedział, pogrążony w zadumie, tonąc w obłokach dymu.

Tuż przed obiadem otrzymał dwie depesze. Pierwsza brzmiała:

„Doniesiono mi w tej chwili, że Barrymore jest w zamku. — BASKERVILLE."

A druga:

„Zwiedziłem, według polecenia, dwadzieścia trzy hotele; ze smutkiem donoszę, że nigdzie nie znalazłem pociętej stronicy *Times'a*. — CARTWRIGHT."

— Ot i zerwały się w rękach naszych dwie nici, Watsonie. Najbardziej roznamiętnia mnie zawsze sprawa, w której wszystko zwraca się przeciw mnie. Musimy teraz szukać innego tropu.

— Pozostaje nam jeszcze dorożkarz, który wiózł szpiega.

— Tak. Telegrafowałem do głównego biura policji z zapytaniem o jego nazwisko i adres. Nie dziwiłbym się, gdyby to była właśnie odpowiedź — dodał, albowiem w tejże chwili rozległ się głos dzwonka.

Okazało się niebawem, że los zesłał nam więcej, niż odpowiedź; do pokoju wszedł dorożkarz we własnej osobie.

— Otrzymałem zawiadomienie z biura głównego, że jakiś obywatel, mieszkający w tym domu, dowiadywał się o numer 2704 — rzekł. — Od siedmiu lat powożę dorożką i dotąd nikt nie skarżył się na mnie. Przyszedłem tedy prosto z remizy, ażeby mi pan powiedział w oczy, co pan ma przeciw mnie.

— Nie mam nic przeciw wam, mój przyjacielu — odparł Holmes. — Przeciwnie mam dla was dziesięć szylingów, jeżeli odpowiecie szczerze na wszystkie moje pytania.

— Oho, będę miał dobry dzień — rzekł dorożkarz, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. — A co pan chce wiedzieć?

— Przedewszystkiem wasze imię i adres, w razie. gdybym was znów potrzebował.

— Jan Clayton, 3 ulica Turpey. Dorożka moja jest z remizy Shipley, w pobliżu stacji kolejowej Waterloo.

Sherlock Holmes zanotował te szczegóły.

— A teraz, Clayton'ie, powiedzcie, co wiecie o podróżnym, który śledził bacznie ten dom o godzinie 10-tej rano, a potem jechał za dwoma panami wzdłuż ulicy Regenta.

Na twarzy dorożkarza odmalowało się zdziwienie i pewne zakłopotanie.

— Nie widzę potrzeby opowiadania panu rzeczy, które są panu równie dobrze znane, jak mnie — rzekł. — Dodam tylko, że ów jegomość powiedział mi, iż jest agentem policji tajnej i zalecił, ażebym nikomu o nim nie pisnął słowa.

— Mój przyjacielu, sprawa jest bardzo poważna i możecie narazić się na duże przykrości, jeżeli ukryjecie cokolwiek przedemną. Powiadacie zatem, że ten jegomość przedstawił wam się, jako agent policji tajnej?

— Tak jest.

— Kiedy wam to powiedział?

— Rozstając się ze mną.

— Czy powiedział jeszcze coś więcej?

— Wymienił swoje nazwisko.

Holmes rzucił na mnie spojrzenie triumfujące.

— A... wymienił swoje nazwisko? To było nierozważnie. I jakżeż ono brzmi to nazwisko?

— Sherlock Holmes — odpowiedział dorożkarz.

Nigdy jeszcze chyba nic nie zbiło z tropu mojego przyjaciela tak dalece, jak ta odpowiedź dorożkarza. Przez chwilę siedział jak osłupiały, poczem parsknął śmiechem.

— Watsonie, a to wymierzył! Trafił celnie — rzekł w końcu. — Czuję przed sobą broń równie szybką i giętką, jak moja. Odniósł nade mną zwycięstwo tym razem. A więc powiadacie, że ten pan nazywa się Sherlock Holmes? — zwrócił się do dorożkarza.

— Tak jest panie, tak się nazywa.

— Kapitalna historja! Opowiedzcież mi, gdzieście go złowili i wszystko, co się potem stało.

— Wsiadł do mojej dorożki o wpół do 10-tej na Trafalgar Square. Powiedział, że jest agentem policji tajnej i obiecał mi dwie gwinee, jeśli będę spełniał przez cały dzień wszystkie jego zlecenia i o nic nie zapytam. Oczywiście przystałem bardzo chętnie. Pojechaliśmy najpierw przed hotel Northumberland i tam czekaliśmy dopóki nie wyszli dwaj panowie, którzy wsiedli do dorożki na najbliższej stacji. Potem jechaliśmy znów za tą dorożką, dopóki nie zatrzymała się tu gdzieś w pobliżu.

— Przed moją bramą — rzekł Holmes.

— Nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, że mój pasażer dobrze wiedział dokąd tamci jadą. Powlekliśmy się później stępa tak może

do połowy ulicy i czekaliśmy tam z półtorej godziny. Wreszcie ci dwaj panowie minęli nas pieszo, a my podążyliśmy znów za nimi wzdłuż ulicy Baker i dalej...

— Wiem — przerwał Holmes.

— Aż ujechaliśmy tak ze trzy czwarte ulicy Regenta. Nagle, mój pasażer otworzył z trzaskiem okienko i krzyknął, żebym popędził, co koń wyskoczy na stację Waterloo. Zaciąłem klaczkę i w niespełna dziesięć minut byliśmy na miejscu. Gdy wysiadł, zapłacił mi przyrzeczone dwie gwinee i wszedł na stację. Ale, wysiadając, odwrócił się i rzekł do mnie: „Wiedzcie, żeście wieźli pana Sherlocka Holmesa.“ W ten sposób dowiedziałem się, jak się nazywa.

— Rozumiem. I jużeście go nie widzieli?

— Nie, panie.

— A moglibyście mi opisać, jak pan Sherlock Holmes wygląda?

Dorożkarz poskrobał się w głowę.

— Nie tak to łatwo go opisać. Dałbym mu lat ze czterdzieści; wzrostu jest średniego o jakie dwa, albo trzy cale niższy od pana. Ubrany był jak elegant, miał czarną brodę, przystrzyżoną prosto, a cerę bardzo bladą. Nic więcej powiedzieć nie potrafię.

— A kolor jego oczu?

— Nie wiem, nie zauważyłem.

— Nie pamiętacie żadnego innego szczegółu?

— Nie, panie.

— Oto wasze 10 szylingów. A dostaniecie drugie tyle, jeśli mi przyniesiecie więcej wiadomości. Dobranoc.

— Dobranoc panu i dziękuję!

Jan Clayton wyszedł z miną wielce zadowoloną, a Holmes zwrócił się do mnie, wzruszając ramionami i uśmiechając się żałośnie.

— Ot i pękła trzecia nić nasza i nie posunęliśmy się ani o krok naprzód — rzekł. — Co za przebiegły łotr! Wiedział numer naszego domu, wiedział, że Henryk Baskerville zasięgał mojej rady, wyśledził na ulicy Regenta, kto jestem, wywnioskował, że zauważyłem numer dorożki, że odszukam woźnicę i dlatego podszył się tak zuchwale pod moje nazwisko. Watsonie, mówię ci, że tym razem mamy godnego nas wroga. Zaszachował mnie zupełnie w Londynie. Życzę ci lepszego powodzenia w Devonshire. Ale nie jestem bynajmniej spokojny.

— O co?

— O ciebie. To paskudna historja. Paskudna, Watsonie, i niebezpieczna, a im więcej się z nią zapoznaję, tem mi się mniej podoba. Tak, mój drogi, śmiej się ze mnie, ale daję ci słowo, że będę bardzo rad, jak cię znów ujrzę zdrowego i całego tu, w tym pokoju.

VI.

BASKERVILLE HALL.

Sir Henryk Baskerville i dr. Mortimer stawili się punktualnie w oznaczonym dniu na stacji i, stosownie do umowy, pojechaliśmy do Devonshire. Sherlock Holmes odprowadził mnie na kolej i po drodze dawał mi ostatnie zlecenia.

— Nie będę ci zawracał głowy wykładaniem swoich teorji, ani zwierzaniem się ze swoich podejrzeń — mówił — chcę tylko, żebyś mi donosił wszystkie fakty z najdrobniejszemi szczegółami, a mnie pozostawił wysnuwanie z nich wniosków.

— Jakiego rodzaju fakty mam ci donosić? — spytałem.

— Wszystkie, które mogą mieć jakikolwiek, choćby pośredni, związek z tą sprawą. Zwłaszcza zaś donoś mi, jakie są stosunki młodego Baskerville'a z sąsiadami i wszystko, co tylko będziesz mógł jeszcze dowiedzieć się nowego o śmierci sir Karola. W ciągu ostatnich kilku dni przeprowadziłem sam małe śledztwo, z ujemnym, niestety, wynikiem. Jedna rzecz tylko wydaje mi się pewna, a mianowicie, że pan Jakób Desmond, najbliższy spadkobierca, to człowiek nie-

młody, bardzo zacnego charakteru, tak, że nie on jest sprawcą tego prześladowania. Sądzę, że możemy wyłączyć go zupełnie z obrębu naszych podejrzeń. Pozostają zatem tylko te osoby, które stanowić będą bezpośrednie otoczenie sir Henryka Baskerville'a.

— Czy nie byłoby dobrze pozbyć się przedewszystkiem małżeństwa Barrymore?

— Ale gdzietam! Popełniłbyś największy błąd. Jeśli są niewinni, byłaby to okrutna niesprawiedliwość, a jeśli są winni, stracilibyśmy wszelką sposobność dowiedzenia im tego. Nie, nie, zachowamy ich na liście podejrzanych. Oprócz nich jest w zamku, jeśli się nie mylę, stangret, a nadto na bagnistej równinie dwóch dzierżawców. W sąsiedztwie bezpośredniem mieszka nasz przyjaciel, dr. Mortimer, który, mojem zdaniem, jest z gruntu uczciwy i jego żona, o której nic nie wiemy. Jest tam dalej przyrodnik Stapleton i jego siostra, osoba jakoby bardzo ponętna. Jest pan Frankland z Lafter Hallu, również osobnik nieznany, i jeszcze dwóch, czy trzech sąsiadów. Tych wszystkich ludzi musisz mieć bacznie na oku.

— Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

— Zabrałeś broń ze sobą?

— Zabrałem: sądzę, że może mi się przydać.

— Niewątpliwie. Pamiętaj, żebyś miał rewolwer pod ręką dniem i nocą, i ani na chwilę nie zapominaj o możliwych środkach ostrożności.

Przyjaciele nasi zajęli już przedział pierwszej klasy i czekali na nas na peronie.

— Nie, nie mamy żadnych nowin dla pana — rzekł doktór Mortimer, w odpowiedzi na za-

pytanie Sherlocka Holmesa. — Mogę tylko zapewnić pana najuroczyściej, że przez ostatnie dwa dni nikt nas nie śledził. Ilekroć wychodziliśmy, oglądaliśmy się bacznie dokoła i szpieg nie byłby uszedł naszej uwagi.

— Przypuszczam, że panowie byliście nieustannie razem?

— Z wyjątkiem popołudnia wczorajszego. Za każdym pobytem w mieście poświęcam jeden dzień wyłącznie rozrywce; spędziłem go tedy w muzeum Akademji chirurgicznej.

— A ja poszedłem do Hyde-parku popatrzeć na elegancki świat — rzekł Baskerville. — Ale nic nie zaszło, nie mieliśmy żadnej nadzwyczajnej przygody.

— Niemniej postąpiliście panowie bardzo nierozważnie — rzekł tonem poważnym Holmes, potrząsając głową. — Proszę pana usilnie, sir Henryku, nie chodź pan nigdzie sam, jeśli nie chcesz narazić się na wielkie nieszczęście. A znalazłeś pan drugi but?

— Nie; przepadł na wieki.

— Doprawdy? a to ciekawe... No, do widzenia! — dodał, gdy pociąg zaczął posuwać się zwolna wzdłuż peronu. — Sir Henryku, zapamiętaj sobie dobrze to zdanie z owej ponurej, starej legendy, którą nam doktór Mortimer przeczytał, zalecające unikać chodzenia w pobliżu wąwozu, w godzinach nocy, kiedy panuje moc złego ducha.

Wyjrzałem przez okno wagonu na peron, od którego oddalaliśmy się szybko i dostrzegłem wysoką, imponującą postać Holmesa, stojącą nieruchomie i patrzącą za nami.

Podróż minęła szybko i przyjemnie; czas schodził mi na bliższem zaznajamianiu się z towarzyszami i na zabawie z wyżłem dra Mortimera.

W ciągu kilku godzin kolor ziemi zmienił się zupełnie, z brunatnej stała się czerwonawa, granit zastąpił glinę, a rudawe krowy pasły się na bujnych łąkach, które świadczyły o żyźniejszym, jakkolwiek wilgotniejszym, gruncie.

Młody Baskerville z zajęciem patrzył przez okno i wydawał okrzyki zachwytu na widok nieznanych krajobrazów.

— Od wyjazdu z Anglji zwiedziłem kawał świata, ale, wierzaj mi, doktorze Watsonie — zwrócił się do mnie — nie widziałem nigdzie nic równego.

— Nie zdarzyło mi się spotkać mieszkańca Devonshire'u, któryby nie był rozkochany w swojem hrabstwie.

— Zależy to tak dobrze od rasy danego osobnika, jak i od hrabstwa — rzekł doktór Mortimer. — Jeden rzut oka wystarczy, by poznać u naszego przyjaciela zaokrągloną czaszkę Celta z silnie rozwiniętemi znamionami entuzjazmu i przywiązania. Biedny sir Karol miał czaszkę typu bardzo rzadkiego, nawpół galickiego, nawpół irlandzkiego. Wszak pan, sir Henryku, byłeś jeszcze bardzo młody podczas ostatniego pobytu w Baskerville Hall, nieprawda?

— Miałem nie wiele więcej niż lat trzynaście, gdy umarł mój ojciec, a w zamku nigdy nie byłem; mieszkaliśmy bowiem w niewielkiej willi na południowem wybrzeżu Anglji. Stamtąd pojechałem prosto do przyjaciela, który mieszkał

w Ameryce. Zapewniam pana, iż okolica ta jest dla mnie równie nowa jak dla doktora Watsona i ciekaw jestem nieslychanie ujrzeć ową bagnistą równinę.

— W istocie? Nie długo pan będzie czekał na spełnienie tego życzenia, bo oto już jej początek — rzekł doktór Mortimer, wskazując przez okno.

Ponad zielonemi łanami pól i skrajem nisko położonego lasu wznosilo się w dali szare, melancholijne wzgórze, z dziwacznie wyzębionym szczytem, zarysowującym się niewyraźnie, niby senne widziadło. Baskerville siedział milcząc, z wzrokiem utkwionym w krajobraz, a na ruchliwej twarzy jego czytalem wyraźnie, jak silne wrażenie wywierał na nim widok tej ziemi, gdzie przodkowie jego byli panami od wieków i niezatartemi śladami zaznaczyli swoje istnienie.

Siedział wprost mnie, wtulony w kąt prozaicznego wagonu kolejowego, ubrany w garnitur popielaty, mówił akcentem wybitnie amerykańskim, a jednak, gdy spoglądałem na jego twarz energiczną, wyrazistą, odczuwałem bardziej niż kiedykolwiek, że był prawym potomkiem dlugiego szeregu mężczyzn butnych i odważnych.

Duma, waleczność i siła malowały się w gęstych brwiach, w ruchliwych nozdrzach i wielkich, piwnych oczach. Jeżeli na tej dzikiej, bagnistej równinie czekały nas jakie niebezpieczne i ciężkie przygody, mogliśmy być pewni, że mamy w sir Henryku towarzysza, dla którego warto narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, bo będzie je dzielił odważnie.

Pociąg zatrzymał się na przystanku, gdzie wysiedliśmy. Z drugiej strony toru, za niską, białą barjerą, czekał na nas powóz. Przyjazd nasz był widocznie ważnym wypadkiem, gdyż zawiadowca stacji i służba stacyjna rzucili się ku nam, odebrali nam pakunki i zanieśli je do powozu. Wychodząc z budynku stacyjnego, spostrzegłem ze zdumieniem dwóch żołnierzy, stojących przy drzwiach, którzy, oparci na swych karabinach, przyglądali nam się bacznie, gdyśmy ich mijali.

Woźnica, mały, krępy, o surowej twarzy, powitał sir Henryka Baskerville'a i w kilka minut później jechaliśmy szybkim kłusem po szerokiej, białawej drodze. Z obu jej stron ciągnęły się żyzne pastwiska, śpiczaste dachy starych domostw wyzierały z pomiędzy gęstej zieleni drzew, ale poza tą wsią cichą, opromienioną blaskiem zachodzącego słońca, odcinała się ponuro na tle nieba wieczornego długa linja bagnistej równiny, przecięta wyzębionemi, posępnemi wzgórzami.

Powóz skręcił na boczną drogę, a potem jechaliśmy w górę stromemi ścieżkami, gdzie w ciągu wieków tysiące kół wyżłobiły głębokie bruzdy. Z obu stron puszysty mech zaścielał ziemię, rozpościerały się wachlarze paproci, gorzały w promieniach zachodzącego słońca ponsowe jagody głogu. Minęliśmy wąski mostek granitowy i jechaliśmy wzdłuż hałaśliwego potoku, który pienił się i szumiał w szarem, kamiennem łożysku. Zarówno droga jak i potok wiły się w dolinie gęsto zadrzewionej karłowatemi dębami i jodłami.

Na każdym zakręcie drogi Baskerville wydawał okrzyki zachwytu, rozglądał się dokoła skwapliwie i zarzucał doktora Mortimera pytaniami bez liku. Jego oczom wszystko wydawało się piękne, ale dla mnie wszędzie już przejawiał się odcień smutku, jawne piętno konającego roku. Pożółkłe liście zaścielały ziemię i spadały na nas z poczerniałych gałęzi; turkot kół zamierał, gdy jechaliśmy po tym pokładzie zanikającej roślinności. Smutne dary rzucała przyroda pod stopy powracającemu spadkobiercy Baskerville'ów.

— A to co! — krzyknął doktór Mortimer. — Spojrzyjcie!

Przed nami wznosił się mały, zarosły wrzosem pagórek, niby ostroga, utworzona przez bagnistą równinę, a wrzynająca się w dolinę. Na szczycie, podobny do posągu, siedział żołnierz na koniu, groźny i ponury, z karabinem, opartym o lewe ramię, gotów do strzału. Strzegł tej drogi właśnie, którą jechaliśmy.

— Co to znaczy, Perkinsie? — spytał doktór Mortimer.

Woźnica odwrócił się ku nam.

— A to, proszę pana, przed trzema dniami uciekł aresztant z więzienia Princetown. Postawiono warty na wszystkich drogach i stacjach, wszędzie czatują na niego, ale, jak dotąd, znikł bez śladu. Dzierżawcy w całej okolicy są w rozpaczy.

— Nie dziwię się, bo za jakąkolwiek wiadomość każdy z nich dostałby pięć funtów.

— Tak, proszę pana, ale co znaczy pięć funtów wobec tego, że mogą być lada chwila za-

mordowani. Bo to, widzi pan, nie żaden prosty aresztant. To człowiek zdolny do wszystkiego.

— Któż to taki?

— Selden, zabójca z Notting Hill.

Pamiętałem doskonale tę zbrodnię, bo zajęła swego czasu szczególnie Holmesa, ze względu na niezwykłe okrucieństwo, z jakiem została spełniona, i na ohydną brutalność mordercy. Nie skazano go jednak na śmierć, gdyż zezwierzęcenie jego było takie wielkie, że powstały wątpliwości co do jego odpowiedzialności umysłowej.

Powóz nasz wjechał na wyniosłość i przed nami rozpościerała się teraz bezbrzeżna bagnista równina, najeżona odłamkami skalistemi, poprzerzynana urwiskami. Podmuch lodowatego wichru szedł ku nam od tej pustki i przeniknął nas zimnem do szpiku kości. A więc gdzieś w jakimś zakątku tego pustkowia ukrywała się, jak dzikie zwierzę w norze, ta piekielna istota, ziejąca nienawiścią do ludzkości, która odtrąciła ją od swego łona. Tego przypomnienia tylko brakło, by uzupełnić ponure wrażenie, wywołane pustką bezbrzeżną, lodowatym wichrem i zapadającym coraz szybciej mrokiem. Nawet Baskerville umilkł i otulił się szczelniej płaszczem.

Za i przed nami rozciągały się teraz urodzajne płaszczyzny. Obejrzeliśmy się, chcąc raz jeszcze objąć je wzrokiem; ukośne promienie słońca lały złoto do wód potoku, rzucały gorejące blaski na zagony, świeżo pługiem zaoranej ziemi, na wierzchołki drzew szerokiego skraju lasu. Droga przed nami, wiodąca śród olbrzymich skał rudawych,

stawała się coraz dziksza i spadzistsza. Od czasu do czasu mijaliśmy chatę, z kamieni wzniesioną, nigdzie kwiat ani roślina nie łagodziły surowego pozoru tych siedzib ludzkich.

Nagle spostrzegliśmy obniżenie się poziomu, płaszczyznę kształtu lejkowatego, na której wznosiły się wynędzniałe dęby i jodły skarłowaciałe, pochylone, o konarach powyginanych od szamotania się z wichrami i burzą przez setki lat. Dwie wysokie smukłe wieże widniały ponad wierzchołkami drzew. Woźnica wskazał je batem.

— Baskerville Hall — rzekł.

Pan zamku powstał i, z rumieńcem na twarzy, roziskrzonym wzrokiem przyglądał się swej przyszłej siedzibie. W kilka chwil później stanęliśmy przed wzorzystą żelazną kratą zamkową, osadzoną w zniszczonych, popękanych słupach kamiennych, których szczeliny już mchem porosły. Na słupach widniały łby dzików — herb Baskerville'ów.

Pawilon odźwiernego był już tylko ruiną z czarnego granitu, nad którą wznosiło się rusztowanie z belek, pozbawionych dachu, który niegdyś podtrzymywały. Ale naprzeciwko stał nowy, w połowie wykończony budynek, pierwszy owoc zebranego w Afryce złota sir Karola.

Przez bramę wjechaliśmy w szpaler, gdzie znów zwiędłe liście zagłuszały turkot kół, a gałęzie prastarych drzew splatały się nad naszemi głowami, tworząc jakby ciemny tunel.

Gdy Baskerville spojrzał w głąb ponurego szpaleru, na którego końcu zamek zarysowywał się niby widmo, dreszcz wstrząsnął jego postacią.

— Czy to tutaj? — spytał przyciszonym głosem.

— Nie, nie, szpaler cisowy jest z tamtej strony.

Młody spadkobierca spojrzał chmurnym wzrokiem dokoła.

— Nie dziwię się, że mego stryja w tej miejscowości dręczyły złe przeczucia — rzekł po chwili. — Takie otoczenie może przerazić każdego człowieka. W przeciągu pół roku każę zaprowadzić tutaj oraz przed samym zamkiem szereg lamp elektrycznych; zobaczycie panowie, jak tu się wszystko zmieni, gdy zajaśnieją światła Swana i Edisona o sile tysiąca świec.

U wyjścia ze szpaleru rozpościerał się obszerny trawnik, za którym ujrzeliśmy gmach zamkowy. W bladem świetle zamierającego dnia dostrzegłem, że środkowa część zamku była budowlą fundamentalną, z wystającym krużgankiem. Cała fasada zarośnięta była bluszczem, a tylko okna i kilka tarcz herbowych przecinało tu i ówdzie jednostajność ponurej zieleni.

Na tej części środkowej wznosiły się dwie stare, zębate wieże, przedziurawione licznemi strzelnicami. Z prawej i lewej strony wież wznosiły się dwa skrzydła w nowocześniejszym już stylu, z czarnego granitu zbudowane. Blade światło jaśniało poprzez gęste zasłony okien, a z wysokich kominów na stromym, śpiczastym dachu, strzelał w górę wielki słup czarnego dymu.

— Witaj, sir Henryku! Witaj w zamku Baskerville!

Z mrocznego krużganku wyszedł wysoki mężczyzna, zbliżył się do powozu i otworzył drzwi-

czki. W żółtem świetle przedsionka zarysowała się postać kobiety, która również podeszła do powozu i pomagała mężowi zdejmować nasze pakunki.

— Nie będziesz mi pan miał za złe, sir Henryku, że pojadę do domu? — rzekł doktór Mortimer. — Żona czeka na mnie.

— Jakto, nie zostanie pan na obiedzie?

— Nie, muszę jechać. Niechybnie czeka mnie w domu robota. Pozostałbym chętnie, żeby pana oprowadzić po zamku, ale Barrymore będzie lepszym przewodnikiem odemnie. Do widzenia! a proszę, jeżeli tylko będę mógł panu być użyteczny, niech się pan nie waha przysłać po mnie o każdej porze dnia i nocy.

Turkot kół powozu, uwożącego doktora, zanikł w oddali. gdy, wraz z sir Henrykiem, weszliśmy do przedsionka, a ciężkie drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem.

Znaleźliśmy się w obszernej, wysokiej komnacie, której sufit podtrzymywały ciężkie i poczerniałe z biegiem lat belki dębowe. Na wielkim, staroświeckim kominku płonął ogień; zbliżyliśmy się z sir Henrykiem, by ogrzać ręce, skostniałe podczas długiej jazdy. Rozglądaliśmy się ciekawie dokoła, przypatrywaliśmy się wysokim, wąskim oknom o starych szybach różnokolorowych, dębowym boazerjom, łbom rogaczy i tarczom herbowym, zawieszonym na ścianach — całemu temu smutnemu i ponuremu otoczeniu, na które padało przyćmione światło zawieszonej u sufitu lampy.

— Tak właśnie wyobrażałem sobie zamek — odezwał się sir Henryk. — Czy to nie wygląda

jak obraz starej siedziby rodzinnej? I pomyśleć, że to ten sam gmach, w którym przez pięćset lat żyli moi przodkowie! Już sama ta myśl nastraja mnie uroczyście.

Oglądał się dokoła, a twarz jego rozjaśniła się młodzieńczym zachwytem. Światło padało prosto na jego postać, ale po ścianach rozwłóczyły się długie cienie, tworząc ponad nim i za nim jakby całun śmiertelny.

Barrymore, odniósłszy pakunki do naszych pokojów, powrócił i stał przed nami w pełnej szacunku postawie wielkopańskiego sługi. Był to mężczyzna powierzchowności wybitnej, wysoki, przystojny, z czarną przystrzyżoną brodą i bladą twarzą o szlachetnych rysach.

— Czy pan każe podać obiad zaraz?

— A czy gotów?

— Za kilka minut może być na stole. Panowie znajdą gorącą wodę w swoich pokojach. Żona moja i ja z całą gotowością pozostaniemy u pana — dodał, zwracając się do sir Henryka — dopóki pan nie przedsięweźmie innych zarządzeń. Ale pan sam zrozumie, że, wobec nowych warunków, potrzebna będzie liczniejsza znacznie służba.

— Wobec jakich nowych warunków?

— Chcę przez to powiedzieć, że sir Karol prowadził życie bardzo smutne i wystarczaliśmy mu we dwoje do usługi. Pan zaś, co jest rzeczą zupełnie naturalną, będzie pragnął towarzystwa, a to wywoła zmiany w całym trybie domowym.

— Czy mam stąd wnosić, że zamierzacie wraz z żoną mnie opuścić?

— Tylko w takim razie, gdyby panu było z tem dogodniej.

— Ależ wszak już kilka pokoleń waszej rodziny było w służbie u nas, nieprawda? Byłoby mi bardzo przykro zaczynać życie tutaj od zrywania starych stosunków rodzinnych.

Zdawało mi się, że dostrzegam ślady pewnego wzruszenia na bladej twarzy kamerdynera.

— I ja, panie, i moja żona doznajemy tego samego uczucia. Ale, mówiąc szczerze, byliśmy oboje bardzo przywiązani do sir Karola, a śmierć jego była dla nas strasznym ciosem i sprawiła, że całe to otoczenie stało nam się niesłychanie przykre. Zdaje mi się, że, pozostając tutaj, w zamku, nie odzyskamy już nigdy swobody umysłu.

— I jakież są dalsze wasze zamiary?

— Sądzę, że zabierzemy się do handlu. Dzięki wspaniałomyślności sir Karola, posiadamy odpowiednie środki. A teraz może panowie pozwolą, że wskażę drogę do pokojów.

Dokoła przedsionka w górze ciągnęła się galerja, na którą wiodły schody z dwóch stron. Z tego punktu głównego szły dwa korytarze wzdłuż całego gmachu i prowadziły do pokojów sypialnych. Moja sypialnia znajdowała się w tem samem skrzydle co Baskerville'a i prawie drzwi we drzwi.

Pokoje te były widocznie o wiele nowocześniejsze od komnat środkowej części zamku, a jasne obicia i liczne płonące świece zatarły poniekąd w moim umyśle ponure wrażenie, jakiego doznałem w chwili przyjazdu.

Ale w jadalni, przylegającej do przedsionka, panował znów mrok i smutek. Była to długa komnata ze wzniesieniem, na którem zastawiano

dawnemi czasy stół dla panów zamku i ich rodziny, gdy dworzanie zasiadali niżej. W jednym końcu widniała galerja dla muzyki. Czarne belki przecinały nad naszemi głowami sufit, pociemniały od sadzy. Szeregi płonących pochodni, rubaszna wesołość starodawnych biesiad wpływały niewątpliwie na złagodzenie posępnego otoczenia; ale dzisiaj, gdy tylko dwaj dżentlmeni w czarnych garniturach siedzieli w obrębie niewielkiego kręgu światła, jaki rzucała przysłonięta lampa, głos zniżał się mimowoli, a niepokój przejmował duszę.

Cały szereg przodków, w najróżnorodniejszych strojach, od rycerza z epoki Elżbiety aż do wykwintnisia z czasów Regencji, patrzył na nas ze ścian i onieśmielał swem milczącem towarzystwem. Rozmawialiśmy mało i rad byłem wielce, gdy obiad się skończył i przeszliśmy do nowoczesnej sali bilardowej, gdzie zapaliliśmy papierosy.

— Dalibóg, niewesoła siedziba — odezwał się sir Henryk. — Przypuszczam, że można się przyzwyczaić, ale na razie jest mi tu strasznie nieswojo. Nie dziwię się, że stryj zdziwaczał, mieszkając sam jeden w takim domu. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, myślę, że dobrze będzie udać się dzisiaj wcześnie na spoczynek; może jutro rano wszystko to wyda się nam weselsze.

Przed ułożeniem się do snu rozsunąłem firanki u okna, które wychodziło na wielki trawnik. Po za nim dwie kępy drzew poruszały się, jęcząc pod podmuchem wiatru. Z za rozdartych w szalonym pędzie chmur wyzierał półksiężyc; w bla-

dym jego blasku dostrzegałem na dalszym planie wyzębione szczyty skaliste i bezbrzeżną pochyłość ponurych moczarów. Zasunąłem firanki z uczuciem, że to ostatnie wrażenie nie ustępowało w niczem już doznanym.

Ale nie miało ono być ostatnie dnia tego. Nadmierne znużenie spędzało sen z mych powiek; rzucałem się niespokojnie na łóżku, w oddali zegar wydzwaniał kwadranse, przerywając grobową ciszę w starym domu.

Nagle, śród milczenia nocy, dobiegł uszu moich dźwięk wyraźny, donośny, nie pozostawiający żadnej wątpliwości — było to łkanie kobiety, stłumiony, dławiący jęk, taki, jaki tylko beznadziejna zgryzota może wyrwać z piersi człowieczej. Usiadłem na łóżku i wytężyłem słuch. Dźwięk dobiegał z bliska i pochodził napewno z wnętrza domu. Przez pół godziny siedziałem tak, nasłuchując, ale prócz zegara i szelestu liści bluszczowych na murze, nie doleciał mnie już żaden inny odgłos.

VII.

STAPLETONOWIE Z MERRIPIT HOUSE.

Nazajutrz, świeży pogodny ranek rozproszył nieco posępne wrażenie, jakie wywarł na nas narazie zamek Baskerville. Gdy siedzieliśmy przy śniadaniu z sir Henrykiem, słońce wpadało przez wysokie okna i kładło tony akwarelowe na kolorowych, ozdobionych barwnemi herbami, szybach. Ciemne boazerje nabierały bronzowych błysków pod działaniem złocistych promieni i trudno było istotnie wyobrazić sobie, że to ta sama komnata, której widok poprzedniego wieczora takim smutkiem zasępił nam dusze.

— Zdaje mi się, że to nie wina zamku, tylko nasza własna — rzekł baronet. — Byliśmy zmęczeni podróżą, przeziębliśmy w powozie i stąd wszystko przedstawiło nam się w najczarniejszych kolorach. Dzisiaj jesteśmy wypoczęci, orzeźwieni, patrzymy tedy na świat weselszem okiem.

— A jednakże nie wszystko można położyć na karb naszej podnieconej wyobraźni — odparłem. — Czy pan nie słyszał naprzykład kogoś łkającego w nocy? Zdaje mi się, że to była kobieta.

— A to ciekawe, bo zdawało mi się w półśnie, że słyszę jęk czy łkanie, nasłuchiwałem potem przez dobrą chwilę, ale ponieważ nic już nie przerwało ciszy, przeto wywnioskowałem, że mi się śniło.

— A ja słyszałem ten odgłos bardzo wyraźnie i jestem pewien, że to było łkanie kobiety.

— Trzeba to odrazu wyjaśnić.

Baskerville zadzwonił i zapytał przybyłego Barrymore'a, czy nie mógłby powiedzieć, co ten odgłos miał znaczyć. Patrzyłem bystro na kamerdynera i zdawało mi się, że blada twarz pobladła jeszcze, gdy usłyszał zapytanie pana.

— W całym domu są tylko dwie kobiety — odpowiedział. — Pomywaczka, która śpi w drugiem skrzydle, i moja żona, a mogę pana zapewnić, że nie ma ona nic wspólnego z odgłosem, o którym pan mówi.

Jednakże kamerdyner skłamał; zdarzyło się, że po śniadaniu spotkałem panią Barrymore na korytarzu w pełnym blasku słonecznym. Była to kobieta wysoka, ociężała, o grubych rysach twarzy, z surowym, zaciętym wyrazem dokoła ust. Oczy ją zdradziły; spojrzały na mnie z pod powiek obrzękłych, zaczerwienionych. Ona to zatem płakała w nocy i mąż wiedział o tem niechybnie.

Wszelako narażał się i zapewniał, że to nie ona, nie bacząc, że te oznaki nieomylne mogły lada chwilę wykazać prawdę. Dlaczego to uczynił? A dlaczego ona zawodziła tak rozpaczliwie? Już tedy na samym wstępie, dokoła tego bladego, przystojnego mężczyzny o czar-

nym zaroście, zaczynała się wytwarzać atmosfera ponura i tajemnicza.

Wszakże on pierwszy odnalazł zwłoki sir Karola i z jego opowiadania tylko znaliśmy okoliczności, poprzedzające śmierć starca. A może jednak Barrymore był owym pasażerem, którego widziałem w dorożce, idąc z Holmesem ulicą Regenta? Broda owego nieznajomego przypominała łudząco brodę kamerdynera. Dorożkarz opisał nam wprawdzie swego pasażera, jako mężczyznę raczej niskiego wzrostu, ale takie przelotne wrażenie mogło być błędne.

Jak wyjaśnić tę sprawę? Oczywiście, przedewszystkiem należało pójść do pocztmistrza w Grimpenie i stwierdzić, czy wysłany z Londynu telegram został istotnie oddany Barrymore'owi do rąk własnych. Jakąkolwiek otrzymam odpowiedź, będę mógł przynajmniej cośkolwiek donieść Holmesowi.

Sir Henryk zabrał się po śniadaniu do przeglądania rozmaitych papierów, mogłem tedy swobodnie wprowadzić w czyn powzięty zamiar. Po przyjemnej czteromilowej przechadzce wzdłuż krańca moczarów dotarłem do małej wioski, gdzie dwa większe budynki wyróżniały się zdaleka; jednym z nich była gospoda, drugim — dom doktora Mortimera.

Pocztmistrz, który był jednocześnie właścicielem sklepiku z wiktuałami, pamiętał doskonale depeszę.

— Tak jest, panie, — odpowiedział zapytany — posłałem telegram pana Barrymore'owi, jak wskazywał adres.

— A kto ją zanosił?

— Mój syn... ten oto. Kuba, wszak oddałeś telegram w zeszłym tygodniu panu Barrymore'owi w zamku, co?

— Tak, ojcze, oddałem.

— Do rąk własnych? — spytałem.

— Był na tę chwilę na strychu, więc nie mogłem mu oddać do ręki, ale dałem depeszę pani Barrymore'owej, a ona przyrzekła, że ją natychmiast zaniesie mężowi.

— Czy widziałeś pana Barrymore'a?

— Nie, panie; mówię przecież, że był na strychu.

— Skoroś go nie widział, skądże możesz wiedzieć, że był na strychu?

— Toć jego własna żona musi chyba wiedzieć gdzie bywa! — wtrącił pocztmistrz tonem zniecierpliwionym. — Czy nie otrzymał depeszy? Jeśli zaszła jaka pomyłka, to niechaj pan Barrymore sam poda skargę.

Dalsze badanie wydało mi się bezcelowe; okazało się zatem, iż, mimo wybiegu Holmesa, nie mieliśmy dowodu, że Barrymore nie był przez ten cały czas w Londynie. Przypuśćmy, że był — przypuśćmy, że ten sam człowiek, który ostatni widział sir Karola przy życiu, pierwszy szpiegował nowego dziedzica po jego powrocie do Anglji. I cóż stąd? Byłże narzędziem osób trzecich, czy też miał własne złowrogie zamiary? Jaki miał cel w prześladowaniu rodziny Baskerville'ów? Przypomniało mi się osobliwe ostrzeżenie wycięte z wstępnego artykułu *Times'a*. Byłoż to dzieło Barrymore'a, czy też kogoś, który chciał pokrzyżować jego plany?

Najprawdopodobniejszą pobudką była podana przez sir Henryka — gdyby udało się rodzinę Baskerville'ów trzymać zdala od zamku, Barrymore'owie mieliby zapewnioną stałą i wygodną siedzibę. Ale takie wytłómaczenie nie usprawiedliwiałoby bynajmniej subtelnego, wytrawnie obmyślonego planu, który, jakby niewidzialną siecią, oplątywał młodego baroneta. Holmes sam przyznał, że śród licznych sensacyjnych spraw, w jakich przeprowadzał śledztwo, nie zdarzyła mu się jeszcze żadna równie zawikłana. Powracając szarą, samotną drogą, modliłem się w duchu, żeby mój przyjaciel uwolnił się jaknajśpieszniej od swoich zajęć i przybył zdjąć z bark moich tę ciężką odpowiedzialność.

Nagle szelest kroków, śpieszących za mną, i głos wołający mnie po nazwisku wyrwały mnie z zadumy. Odwróciłem się, sądząc, że ujrzę doktora Mortimera, lecz, ku swemu niemałemu zdziwieniu, okazało się, że to ktoś nieznany mi zupełnie biegł za mną.

Ujrzałem mężczyznę wzrostu średniego, chudego, jasnego blondyna, o twarzy wymuskanej, bez zarostu, z wystającemi szczękami. ubranego w szary garnitur i kapelusz słomkowy; mógł mieć lat trzydzieści do czterdziestu. Przez ramię miał przewieszoną blaszankę do roślin, a w ręku niósł zieloną siatkę na motyle.

— Przepraszam bardzo za moje natręctwo — rzekł, gdy stanął przede mną zadyszany. — My, mieszkańcy tych moczarów, jesteśmy ludźmi prostymi i nie czekamy na urzędowe przedstawienie. Przypuszczam, że pan już słyszał o mnie od na-

szego wspólnego przyjaciela, doktora Mortimera. Nazywam się Stapleton, mieszkam w Merripit House.

— Poznałbym pana po siatce i blaszance, — odparłem; wiedziałem bowiem, że p. Stapleton jest przyrodnikiem. — Ale skąd pan mnie zna?

— Byłem właśnie u Mortimera, gdy pan przechodził przed domem i doktór wskazał mi pana przez okno swego gabinetu. Ponieważ szliśmy jedną drogą, przeto postanowiłem dogonić pana i przedstawić się sam. Spodziewam się, że sir Henryk nie jest nazbyt znużony podróżą?

— Nie, bynajmniej; ma się doskonale, dziękuję panu.

— Obawialiśmy się wszyscy, że po smutnej śmierci sir Karola, nowy baronet nie zechce zamieszkać tutaj. Coprawda, ciężkie to zadanie dla człowieka zamożnego zakopać się w takiej dzikiej miejscowości, ale nie potrzebuję panu chyba mówić, że obecność pana zamku jest rzeczą wielkiej wagi dla całej okolicy. Przypuszczam, że sir Henryk wolny jest od wszelkiej zabobonnej trwogi?

— Tak sądzę.

— Pan, oczywiście, zna legendę o piekielnym psie, który jest jakoby plagą rodziny?

— Opowiadano mi ją.

— Szczególna rzecz, jacy chłopi tutejsi są łatwowierni! Wielu z nich przysięgnie, że widziało na moczarach to fantastyczne zwierzę, — mówił z uśmiechem, ale zdawało mi się, że czytam w jego oczach, iż bierze tę sprawę zupełnie na serjo. — Dziwaczna legenda opanowała w znacznym

stopniu wyobraźnię sir Karola i nie wątpię, że była bezpośrednio powodem jego tragicznego zgonu.

— A to w jaki sposób?

— Miał nerwy tak silnie rozstrojone, że ukazanie się jakiegokolwiek psa mogło wywrzeć wpływ fatalny na jego chore serce. Myślę, że musiał istotnie coś widzieć w szpalerze cisowym owego ostatniego wieczora. Obawiałem się ciągle jakiegoś nieszczęścia, bo byłem bardzo przywiązany do sir Karola i wiedziałem, że jest chory na serce.

— A skąd pan wiedział?

— Od mego przyjaciela, Mortimera.

— Sądzi pan zatem, że pies jakiś ścigał sir Karola i że on umarł skutkiem tego, pod wpływem przestrachu?

— Czy może mi pan dać jakie lepsze wyjaśnienie?

— Nie wysnuwałem stąd jeszcze żadnych wniosków.

— A pan Sherlock Holmes?

Oniemiałem przez chwilę na to zapytanie; ale jedno spojrzenie na obojętną twarz i spokojne oczy mego towarzysza wystarczyło, żeby mnie przekonać, iż wszelka myśl ukryta jest mu obca.

— Próżne byłoby z naszej strony udawanie, że pana nie znamy, doktorze Watsonie, — rzekł znów Stapleton. — Echo czynów p. Holmesa dobiegło i do nas, a pan nie mógł ich rozsławiać nie zyskując sam rozgłosu. Jeśli pan jest tutaj, znaczy, że p. Sherlock Holmes interesuje się tą sprawą, nic dziwnego, iż ciekaw jestem, jak się na nią zapatruje.

— Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

— A mogę spytać, czy sam zaszczyci nas odwiedzinami?

— Nie może obecnie opuścić Londynu. Prowadzi śledztwo w kilku innych ważnych sprawach.

— Jaka szkoda! Wyświetliłby może niejedną okoliczność, dla nas niepojętą. Co zaś do osobistych poszukiwań pańskich, to proszę, jeśli mogę panu być użyteczny, niechaj pan mną rozporządza. Gdybym miał jakąkolwiek wskazówkę co do istoty podejrzeń pańskich, albo wiedział, w jaki sposób pan zamierza prowadzić śledztwo, mógłbym może już teraz nawet służyć radą lub czynem.

— Zapewniam pana, że bawię tutaj jedynie jako gość przyjaciela mego, sir Henryka, i że nie potrzebuję żadnej pomocy.

— Wyśmienicie! — rzekł Stapleton. — Ma pan zupełną słuszność, zachowując ostrożność i dyskrecję. Zasłużona to dla mnie nagana za moje niczem nieusprawiedliwione wścibstwo; może pan być pewien, że powstrzymam się w przyszłości od najlżejszej wzmianki o tej sprawie.

Doszliśmy do punktu, z którego wąska, trawą porosła ścieżka, zbaczała z gościńca i prowadziła przez moczary. Na prawo wznosił się skalisty, stromy pagórek; niegdyś były tu widocznie kamieniołomy. Stok, ku nam zwrócony, pełen był załomów i szczelin, zarosłych paprocią i głogiem. W dali szary słup dymu strzelał w obłoki.

— Niedługa przechadzka tą ścieżką zaprowadzi nas do Merripit House, — odezwał się Stapleton. — Może pan zechce mi poświęcić godzinkę czasu; pragnąłbym bardzo przedstawić pana siostrze.

Zrazu zamierzałem odmówić, boć obowiązek nakazywał mi powrócić do sir Henryka. Lecz wnet przypomniałem sobie stos papierów i rachunków, któremi zasłane było jego biurko. Oczywiście w tej pracy nie mogłem mu być żadną pomocą. A wszak Holmes zalecił mi usilnie, żebym starał się poznać sąsiadów pana zamku. Przyjąłem tedy zaproszenie Stapletona i skręciliśmy na ścieżkę.

— Osobliwe są te moczary — rzekł, rozglądając się dokoła po falistej równinie, przeciętej wyzębionemi grzbietami skalistemi, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich. — Widok ich nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, takie bezpłodne i takie tajemnicze. Nie ma pan pojęcia, jakie się w nich kryją dziwne niespodzianki.

— A więc pan zna dobrze te moczary?

— Jestem tu dopiero od lat dwóch. Stali mieszkańcy nazwaliby mnie nowym przybyszem. Zamieszkaliśmy tutaj wkrótce po osiedleniu się sir Karola w zamku. Ale wrodzone upodobania zniewoliły mnie do zwiedzenia całej okolicy i zdaje mi się, że niewielu mieszkańców tutejszych zna ją lepiej odemnie.

— Czy to takie trudne?

— Bardzo. Widzi pan naprzykład tę wielką płaszczyznę na północ, z dziwacznemi wzgórzami w pośrodku?

— Widzę; pyszne miejsce do konnej przejażdżki galopem.

— Takby się oczywiście panu zdawało; a niemało ludzi przypłaciło już życiem to mniemanie. Czy dostrzega pan jaśniejsze zielone kępy, rozsiane gęsto po tej płaszczyźnie?

— Dostrzegam; wydają się żyźniejsze niż reszta obszaru.

Stapleton roześmiał się.

— To jest wielkie trzęsawisko Grimpeńskie — rzekł. — Jeden fałszywy krok przynosi tam śmierć ludziom i zwierzętom. Wczoraj dopiero widziałem, jak wszedł w nie kucyk i już się nie wydostał. Przez długi czas jeszcze łeb nieboraka wystawał nad trzęsawiskiem, dopóki się zupełnie nie zapadł. Podczas wielkiej suszy nawet niebezpiecznie przechodzić tamtędy, a po niedawnych deszczach jesiennych, to miejsce wprost straszne. Ja jednakże potrafię dotrzeć do samego środka i powrócić. Tam do licha! Oto i drugi nieszczęsny kucyk!

Coś brunatnego rzucało się i szarpało śród zielonego sitowia. Potem wystrzelił w górę kark długi, wyprężony w śmiertelnym skurczu i przeraźliwy krzyk rozległ się po moczarach. Zdrętwiałem z przerażenia, mój towarzysz jednak miał widocznie silniejsze nerwy.

— Utonął — rzekł. — Już go trzęsawisko pochłonęło. Dwa w przeciągu dwóch dni: a może ich zginęło znacznie więcej; przyzwyczajają się chodzić tam podczas suszy i nie dostrzegą różnicy, dopóki trzęsawisko nie pochwyci ich w swoje kleszcze. Szkaradna miejscowość.

— A pan jednak może ją przejść bezpiecznie?

— Mogę; są tam ze dwie ścieżki, któremi człowiek bardzo zwinny może się przedostać, i ja je odnalazłem.

— Ale po co pan tam chodzi?

— Czy pan widzi dalej pagórki? Otóż, są to istne wyspy, odcięte ze wszystkich stron przez trzęsawisko, które przyczołgało się dokoła z biegiem lat. Tam znajdują się rzadkie rośliny i motyle, a kto się tam zdoła dostać, może zebrać obfite żniwo.

— Spróbuję szczęścia któregokolwiek dnia.

Stapleton spojrzał na mnie zdumiony.

— Na miłość boską, porzuć pan tę myśl — rzekł. — Krew pańska spadłaby na moją głowę. Zapewniam pana, że nie powróciłby pan żywy. Mnie od zguby chroni tylko to, że pamiętam dobrze pewne, nie dla każdego dostrzegalne, znaki graniczne.

— A to co? — zawołałem. — Co to jest?

Nad moczarami uniósł się pomruk przeciągły i stłumiony. Przepełnił powietrze, a mimo to, niepodobna było określić, skąd pochodził. Stopniowo wzmógł się i zamienił w groźny ryk, poczem znów przycichł i skonał w drżącym, nieskończenie smutnym skowycie.

Stapleton spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem.

— Osobliwe są te moczary! — rzekł.

— Ale, co to jest?

— Chłopi powiedzieliby, że to pies Baskerville'ów domaga się swego żeru. Słyszałem ten odgłos już ze dwa razy, ale nigdy tak wyraźnie.

Z dreszczem trwogi rozglądałem się po rozległej falującej równinie, zasianej zielonemi kę-

pami sitowia. Jak oko sięgało, nie było widać żywego stworzenia na całym obszarze, tylko dwa kruki krakały przeraźliwie, bujając się na trzcinie za nami.

— Wszak pan, jako człowiek wykształcony, nie wierzy podobnym niedorzecznościom — spytałem. — Jaka, zdaniem pana, przyczyna tego szczególnego odgłosu?

— W bagnach odzywają się niekiedy dziwne szmery. To może błoto opada, albo woda się wznosi, czy ja wiem.

— Nie, nie, to był głos istoty żyjącej.

— Może. Słyszał pan kiedy wabienie bąka?

— Nie, nigdy.

— To bardzo rzadki teraz ptak błotny, w Anglji prawie już wytępiony; ale na moczarach wszystko jest możliwe. Tak... nie zdziwiłbym się bynajmniej, gdyby mi powiedziano, że ten odgłos, który nas doleciał, był krzykiem ostatniego z bąków.

— Jak żyję, nie słyszałem nic równie szczególnego i przerażającego.

— Tak, niezwykła to miejscowość wogóle. Spojrzyj-no pan tam, na ten stok pagórka. Co to jest, jak się panu zdaje?

Cały urwisty stok pokrywały wielkie, okrągłe kamienie; było ich przynajmniej ze dwadzieścia.

— Hurty dla owiec, czy co?

— Nie, to siedziby naszych czcigodnych przodków. W czasach przedhistorycznych moczary były gęsto zaludnione, a ponieważ od owej pory nikt tu nie mieszkał, przeto znajdujemy

wszelkie urządzenia tych poprzedników naszych w stanie takim, w jakim je zostawili. Oto ich legowiska i jaskinie. Jeżeli pan ciekawy, niech pan wejdzie do wnętrza, a zobaczy pan jeszcze ogniska i łoża.

— Ależ to całe miasto! Kiedyż było zamieszkane?

— W okresie epoki kamiennej... daty ścisłej nikt nie wie.

— Czemże zajmował się człowiek w okresie owym?

— Pasał bydło na tych stokach i uczył się wykopywać kruszec, gdy miecz bronzowy zaczął zastępować siekierę kamienną. Spojrzyj pan na ten wielki rów w pagórku wprost nas. To ślady jego pracy. Tak, tak, doktorze Watsonie, znajdziesz na tych moczarach niejedno wielce osobliwe miejsce... Ach, przepraszam pana .. chwilkę tylko!... To z pewnością *Cyklopides*.

Muszka, czy też ćma przefrunęła przez naszą ścieżkę, i Stapleton w oka mgnieniu, z nadzwyczajną szybkością puścił się za nią w pogoń. Ku memu przerażeniu owad leciał prosto nad wielkie trzęsawisko, ale mój nowy znajomy nie zatrzymał się ani chwili. Gonił za nim, skacząc z kępy na kępę i powiewając w powietrzu zieloną siatką, a szara jego postać w tym urywanym, zygzakowatym pochodzie wydawała się również jakąś ćmą olbrzymią.

Stałem, patrząc na tę pogoń z podziwem dla nadzwyczajnej zręczności Stapletona i z obawą, żeby nie utracił gruntu pod nogami na zdradzieckiem trzęsawisku, gdy nagle dobiegł mnie odgłos kroków. Odwróciłem się i ujrzałem nie-

opodal na ścieżce kobietę. Szła od strony, w której słup dymu wskazywał położenie Merripit House.

Nie mogłem wątpić, że to panna Stapleton, o której mi mówiono, pań bowiem było w okolicy moczarów bardzo niewiele; pamiętam też, iż ktoś wspomniał, że siostra przyrodnika jest pięknością. A kobieta zbliżająca się ku mnie, była nią niewątpliwie i to typu bardzo niezwykłego.

Trudno było o większy kontrast między rodzeństwem. — Stapleton bowiem miał cerę nieokreśloną, włosy jasne i oczy szare, siostra jego zaś była najciemniejszą brunetką, jaką kiedykolwiek widziałem w Anglji, — smukła, wytworna i wysoka. Twarz miała dumną, o rysach jak wyrzeźbionych, takich regularnych, że mogła się wydawać chłodna i bierna, gdyby nie zmysłowe usta i przecudne, ciemne, namiętne oczy.

Przedziwnie kształtna, wykwintnie ubrana, była istotnie szczególnem zjawiskiem na pustej ścieżce śród moczarów. Gdym się odwrócił, miała wzrok utkwiony w brata, poczem przyśpieszyła kroku ku mnie. Uchyliłem kapelusza i zamierzałem coś powiedzieć dla wyjaśnienia obecności, gdy jej własne słowa zwróciły wszystkie moje myśli w innym kierunku.

— Wracaj pan! — rzekła. — Wracaj prosto do Londynu, niezwłocznie.

Patrzałem na nią, ogłupiały ze zdumienia. Oczy jej ciskały na mnie błyskawice, tupała nogą niecierpliwie.

— Dlaczego mam wracać? —spytałem.

— Nie mogę powiedzieć nic więcej — mówiła głosem stłumionym, gwałtownym, szepleniąc zlekka. — Ale, na miłość boską, zrób pan to, o co proszę. Wracaj i niechaj noga twoja nigdy już nie postanie na tych moczarach.

— Ależ ja tylko co przyjechałem.

— Człowieku. człowieku! — zawołała. — Czyż nie możesz pojąć, że ta przestroga ma na celu twoje własne dobro? Powracaj do Londynu! Wyjedź dziś wieczór! Uciekaj stąd za jakąbądź cenę! Cicho, mój brat nadchodzi! Ani słowa o tem, co mówiłam... O, patrz pan, jaki tam śliczny storczyk... Jesteśmy tu, na moczarach. bardzo bogaci w storczyki, ale pan przyjechał zapóźno, i już pan nie będzie mógł ocenić piękności naszej okolicy.

Stapleton zaniechał pogoni i wracał do nas zadyszany, czerwony od wysiłku.

— Beryl! to ty! — rzekł; zdawało mi się, że ton tego powitania nie był nazbyt serdeczny.

— Zgrzałeś się bardzo, Janku?

— Tak, goniłem okaz *Cyklopides*. To rzadki owad, a w ciągu ostatniej jesieni nie widziałem go prawie wcale. Jaka szkoda, żem go nie mógł schwytać!

Mówił obojętnie, ale małe siwe oczki biegały nieustannie od młodej dziewczyny ku mnie.

— Widzę, żeście się już państwo zapoznali.

— Tak; mówiłam właśnie sir Henrykowi, że przyjechał zapóźno i nie będzie już mógł ocenić prawdziwej piękności moczarów.

— Ach, więc ty bierzesz pana...

— Sądzę, że to sir Henryk Baskerville.

— Nie, nie — rzekłem. — Tylko prosty mieszczanin, ale jego przyjaciel. Nazywam się doktór Watson.

Rumieniec gniewu przemknął po jej wyrazistej twarzy.

— Rozmawialiśmy zatem o sprawach niewłaściwych — rzekła.

— Coprawda, niewiele mieliście czasu na rozmowę, — zauważył jej brat, patrząc tym samym badawczym wzrokiem.

— Mówiłam do doktora Watsona, jakgdyby był stałym mieszkańcem, nie zaś tylko gościem w naszych stronach — rzekła. — Mało go może obchodzić, czy pora dla storczyków jest wczesna, czy późna. Ale pójdzie pan dalej i wstąpi do Merripit House?

Wkrótce stanęliśmy przed skromnym domem, który był pewnie, w dawnych czasach, folwarkiem jakiego hodowcy bydła, teraz zaś został odrestaurowany i przerobiony na siedzibę nowoczesną. Sad otaczał go dokoła, ale drzewa, jak zwykle śród moczarów, były nędzne i skarłowaciałe, tak, że na ogół całe otoczenie wyglądało ubogo i robiło smutne wrażenie.

Stary służący, o szczególnej twarzy, jakby zasuszonej, ubrany w strój wieśniaczy, otworzył nam; on widocznie prowadził tu gospodarstwo. Obszerne pokoje były jednak urządzone z wytwornym smakiem, który wykazywał staranną rękę kobiecą. Spoglądając przez okna na bezbrzeżne, kamieniste moczary, które ciągnęły się do najdalszych krańców widnokręgu, pytałem siebie ze zdumieniem, co mogło

zniewolić tego wysoce wykształconego człowieka i tę piękną kobietę do zamieszkania w takiem pustkowiu.

— Zdumiewa się pan, że wybraliśmy taką osobliwą miejscowość — odezwał się Stapleton, jakgdyby w odpowiedzi na myśl moją. — A jednak urządziliśmy sobie życie tak, że jesteśmy szczęśliwi, nieprawda, Beryl?

— Zupełnie szczęśliwi — odparła, wszelako bez przekonania w tonie.

— Utrzymywałem szkołę w jednem z hrabstw północnych — rzekł Stapleton. — Dla człowieka mojego temperamentu była to praca mechaniczna i nudna, ale obcowanie z młodzieżą, urabianie nieświadomych umysłów, wpajanie w nie własnych zapatrywań i pojęć miało dla mnie dużo uroku. Los jednakże był mi wrogi. W szkole wybuchła zaraźliwa choroba i trzech chłopców umarło. Był to ciężki cios dla mego zakładu, który skutkiem tego podupadł zupełnie, ja zaś straciłem bezpowrotnie znaczną część mego kapitału. Gdyby nie żal za chłopcami, których towarzystwo lubiłem tak bardzo, mógłbym się cieszyć własnem nieszczęściem, albowiem, mając wrodzone wielkie zamiłowanie do botaniki i zoologji, posiadam tu nieograniczone pole działania; siostra moja zaś kocha przyrodę niemniej odemnie. Objaśnienie to jest odpowiedzią na zapytanie, jakie wyczytałem w twarzy pańskiej, gdy przyglądałeś się pan przez okno moczarom.

— Istotnie, mówiłem sobie, że pobyt tutaj musi być smutny... Mniej może dla pana niż dla siostry pańskiej.

— O nie, nie, nie znam smutku — wtrąciła żywo miss Stapleton.

— Mamy książki, mamy nasze zajęcia naukowe, wreszcie mamy zajmujących sąsiadów. Doktór Mortimer jest wielce uczonym człowiekiem w swojej specjalności; biedny sir Karol był nieporównanym towarzyszem. Znaliśmy go dobrze; nie jestem wcale w stanie wypowiedzieć, jak dalece odczuwamy brak jego. Jak się panu zdaje, czy przeszkodzę sir Henrykowi, jeżeli odwiedzę go popołudniu? Pragnę bowiem go poznać.

— Sądzę, że będzie panu bardzo rad.

— A zatem może pan uprzedzi go o moim zamiarze. Pragnęlibyśmy, o ile to w naszej mocy, ułatwić mu przywyknienie do nowego otoczenia. Czy zechce pan pójść ze mną na górę i obejrzeć mój zbiór motyli? Zdaje mi się, że w całej Anglji południowej niema obfitszego. Zanim pan skończy oglądanie, śniadanie będzie gotowe.

Ale mnie pilno było wracać na stanowisko. Ponurość krajobrazu, śmierć nieszczęsnego kucyka, piekielny odgłos, mający jakoby związek ze straszną legendą Baskerville'ów, wszystko to przejęło mnie szczególnym smutkiem. A w dodatku do tych mniej lub więcej nieuchwytnych wrażeń, przyłączyła się wyraźna już zupełnie przestroga miss Stapleton, wypowiedziana z taką powagą, że nie mogłem wątpić, iż wywołała ją jakaś tajemnicza konieczność.

Oparłem się tedy wszelkim naleganiom, nie zostałem na śniadaniu i wyruszyłem niezwłocznie w drogę powrotną tą samą ścieżką, którą przyszedłem.

Musiała być jednak dla obeznanych z okolicą jakaś ścieżka krótsza, gdyż dochodząc do gościńca, spostrzegłem ze zdumieniem miss Stapleton siedzącą na kamieniu przy drodze. Zarumieniona od wysiłku, trzymała dłoń na sercu, jak gdyby chcąc stłumić jego bicie.

— Biegłam co sił, żeby panu tu zastąpić drogę — rzekła. — Nie miałam nawet czasu włożyć kapelusza. Nie mogę zatrzymywać się tu dłużej, bo brat spostrzeże, że mnie niema. Chciałam tylko przeprosić pana za tę głupią pomyłkę... Wzięłam pana za sir Henryka. Proszę, niech pan zapomni moje słowa, które pana w niczem nie dotyczą.

— Ależ ja ich zapomnieć nie mogę — rzekłem. — Jestem przyjacielem sir Henryka, a bezpieczeństwo jego obchodzi mnie bardzo blisko. Niechże mi pani powie zatem, dlaczego pani tak nalegała, żeby sir Henryk powrócił do Londynu?

— Kaprys kobiecy, doktorze Watsonie. Gdy mnie pan pozna lepiej, zrozumie pan, że nie zawszę potrafię wyjaśnić pobudki swoich słów i czynów.

— Nie, nie. Pamiętam drżenie głosu pani. Pamiętam spojrzenie pani oczu. Błagam panią, niech pani będzie ze mną szczera, bo od czasu przyjazdu w te strony czuję, że otacza mnie jakaś tajemnica. Życie tutaj stało się podobne do tego wielkiego trzęsawiska Grimpeńskiego: zasiane jest zielonemi kępami, gdzie czyha na człowieka śmierć, a nigdzie niema przewodnika, któryby wskazał drogę właściwą. Niechże mi

pani zatem powie, co miało znaczyć to ostrzeżenie, a przyrzekam, że powtórzę je sir Henrykowi.

Zawahała się przez chwilę, ale twarz jej przybrała wnet wyraz stanowczy, a oczy spoglądały chłodno.

— Przywiązuje pan do słów moich zbyt wielką wagę — rzekła. — Śmierć sir Karola była dotkliwym ciosem dla mego brata i dla mnie. Łączyły nas stosunki bardzo zażyłe, a droga przez moczary do naszego domu stanowiła ulubioną jego przechadzkę. Był głęboko przejęty klątwą, ciążącą nad całym rodem, nic zatem dziwnego, że po tragicznym zgonie jego zaczęłam wierzyć, iż obawy, jakie wyrażał niejednokrotnie, były uzasadnione. Stąd moja trwoga, gdy dowiedziałam się, że przybywa do zamku inny członek rodziny Baskerville'ów i uważałam sobie za obowiązek ostrzedz go o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. To jedynie miałam na myśli.

— Ale na czem polega to niebezpieczeństwo?

— Słyszał pan opowieść o psie?

— Nie wierzę w takie głupstwa.

— Ale ja wierzę, Jeżeli pan ma jakikolwiek wpływ na sir Henryka, zabierz go pan z tej miejscowości, która przynosiła zawsze nieszczęście jego rodzinie. Świat jest szeroki. Dlaczego sir Henryk ma pozostać tutaj, gdzie mu grozi niebezpieczeństwo?

— Dlatego właśnie, że mu *grozi.* Taka już natura sir Henryka. Obawiam się, że o ile pani nie da mi jakich dokładniejszych wyjaśnień, nie zdołam nakłonić go do wyjazdu.

— Nie mogę dać panu wyjaśnień dokładniejszych, bo nic dokładniejszego nie wiem.

— Radbym zadać pani jeszcze jedno pytanie. Jeśli w słowach pani, wypowiedzianych do mnie za naszem pierwszem spotkaniem, nie było istotnie żadnego ukrytego znaczenia, to dlaczego nie chciała pani, żeby je brat słyszał? Nie było w nich nic takiego, co należałoby ukryć przed nim lub kimkolwiek innym.

— Brat mój pragnie bardzo, żeby zamek był zamieszkany, gdyż jest zdania, że wymaga tego dobro ubogich mieszkańców okolicznych. Gniewałby się bardzo, gdyby wiedział, że powiedziałam coś takiego, co mogłoby skłonić sir Henryka do wyjazdu. Ale, spełnilam już swój obowiązek i nic więcej nie powiem. Muszę wracać, inaczej brat spostrzeże, iż mnie niema i domyśli się, że rozmawiałam z panem. Do widzenia!

Zawróciła i w kilka chwil później znikła pośród rozrzuconych odłamków skał, gdy ja z duszą, pełną nieokreślonej obawy, podążyłem do Baskerville Hall.

VIII.

PIERWSZY RAPORT DOKTORA WATSONA.

Odtąd będę śledził bieg wypadków, przepisując swoje własne listy do Sherlocka Holmesa, które leżą przede mną na stole. Brak mi jednej kartki, zresztą są jaknajwierniej przepisane, a odtwarzają moje ówczesne uczucia i podejrzenia dokładniej, niż moja pamięć, jakkolwiek zachowałem niezatarte wspomnienie wypadków tragicznych.

Baskerville Hall, 13 października.

Mój drogi Holmesie!

Poprzednie listy moje i depesze zawiadomiły cię dokładnie o wszystkiem, co zaszło dotąd w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. Im dłużej człowiek tu żyje, tembardziej ponura atmosfera moczarów przenika duszę, tem większą grozą przejmuje ich obszar bezbrzeżny i ich przerażający urok.

Kto raz dotarł do ich wnętrza, ten pozostawił za sobą wszelkie ślady Anglji współczesnej, a natomiast spotyka wszędzie siedziby ludzi przed-

historycznych. Gdziekolwiek stąpniesz, wszędzie widzisz dokoła domostwa tych zapomnianych pokoleń ich groby i olbrzymie monolity, które zdaje się, oznaczają miejsca, gdzie wznosiły się ich świątynie.

Spoglądając na te szare, kamienne chaty, oparte o urwiste stoki pagórków, zapominasz o wieku, w jakim żyjesz, a gdybyś ujrzał nagle skórą okrytego, obrośniętego włosami człowieka, który, czołgając się, wychodzi z niskich drzwi i zakłada na cięciwę łuku swego strzałę, zakończoną ostrzem krzemiennem, zdawałoby ci się, że jego obecność tam jest naturalniejsza, niż Twoja własna.

Dziwić się tylko należy, dlaczego ci przedhistoryczni przodkowie nasi zaludniali tak gęsto tę ziemię, która niewątpliwie była zawsze w najwyższym stopniu nieurodzajna. Nie jestem archeologiem, ale przypuszczam, że to był jakiś szczep niewojowniczy i uciemiężony, który musiał zadowolić się tem, czego żaden inny zabrać nie chciał.

Wszystko to wszakże nie ma nic wspólnego z posłannictwem, które mi powierzyłeś i nie zaciekawi prawdopodobnie Twego, ściśle praktycznego, umysłu. Pamiętam dobrze, iż obojętne Ci jest najzupełniej, czy ziemia obraca się koło słońca, czy słońce naokoło ziemi. Wracam tedy do faktów, dotyczących sir Henryka Baskerville'a.

Jeśli nie dostałeś odemnie raportu w ciągu kilku dni ostatnich, to dlatego jedynie, że nie miałem Ci co donosić. Ale zaszła właśnie okoliczność niezwykła, o której wiedzieć winieneś.

Przedewszystkiem jednak muszę Cię zapoznać z innemi czynnikami zagadki, jaką mamy rozwiązać.

Jednym z nich, o którym wspomniałem ci zaledwie, jest zbiegły, ukrywający się wśród moczarów więzień. O ile się zdaje, opuścił on już te strony, a to przeświadczenie uspokoiło mieszkańców pustkowia. Już tydzień minął od chwili ucieczki więźnia i przez ten czas nikt go nie widział ani słyszał o nim. Niepodobieństwem jest, żeby wytrzymał dotąd na moczarach. Ukryć mógłby się z łatwością w którejkolwiek jaskini, ale nie miałby co jeść, chyba, że schwytałby i zarżnął jednego z pasących się na stokach gór baranów. Sądzimy tedy, że stąd uciekł, a dzierżawcy okoliczni mają w tem przekonaniu sen spokojniejszy.

W zamku jest nas czterech mężczyzn, zdolnych obronić się w razie potrzeby, ale wyznaję, że miałem chwilę niepokoju, na myśl o Stapletonach. Mieszkają na zupełnem pustkowiu, trzymają tylko dwoje służby, a sam Stapleton nie grzeszy siłą. Byłby więc wraz z siostrą zupełnie bezbronny w rękach takiego wytrawnego złoczyńcy, jak ów zbieg z Notting Hill, gdyby się dostał do nich. Sir Henryk był takiem położeniem niemniej odemnie zaniepokojony i zaproponował, że Perkins, *groom* jego, będzie u nich sypiał; Stapleton wszakże nie chciał o tem słyszeć.

Troskliwość baroneta wynika też i stąd, że nasz przyjaciel zaczyna zajmować się żywo piękną sąsiadką. Nic dziwnego; czas w tem dzikiem ustroniu wlecze się nieznośnie dla czło-

wieka takiego, jak on, czynnego, a panna jest czarująca. Ma jakiś egzotyczny urok, czuć w niej jakby gorącą krew mieszkanki sfer podzwrotnikowych, co stanowi szczególny kontrast z chłodem i obojętnością brata.

Wszelako i on przywodzi na myśl owe ukryte, tlejące pod popiołami płomienie. Ma widocznie wielki wpływ na siostrę; zauważyłem, że rozmawiając, spogląda nieustannie na niego, jak gdyby szukała uznania dla słów swoich. Błysk metaliczny w oczach tego człowieka, zacięte wąskie wargi wykazują naturę stanowczą, a może nawet nieubłaganą. Ręczę, że śledziłbyś go z zajęciem.

Odwiedził Baskerville'a zaraz pierwszego dnia, a nazajutrz rano zaprowadził nas obu tam, gdzie, jak utrzymują tutaj, wzięła początek legenda o okrutnym Hugonie. Szliśmy kilka mil przez moczary do miejsca tak ponurego, że mogło zrodzić tę straszną opowieść.

Stanęliśmy u wejścia do krótkiego wąwozu między urwiskami, który prowadzi na zarosłą trawą małą polankę. Na środku polanki sterczą dwa wielkie głazy, o wierzchołkach takich ostrych i śpiczastych, że wyglądają jak olbrzymie kły jakiegoś żarłocznego potwora. Całe otoczenie odpowiada najzupełniej widowni legendowej tragedji.

Sir Henryk z wielkiem zajęciem rozglądał się dokoła i niejednokrotnie zapytywał Stapletona, czy wierzy istotnie w możliwość wpływu nadprzyrodzonego na bieg spraw ludzkich. Mówił tonem wesołym, lecz czuć było, że bierze sprawę poważnie. Odpowiedzi Stapletona były powściągliwe, lecz każdy z łatwością mógł do-

strzec, iż nie mówi wszystkiego, nie chce wyraźnie wygłosić swego zdania ze względu na uczucia baroneta. Opowiedział nam kilka wypadków prześladowania rodzin przez siły nieznane i pozostawił nas pod wrażeniem, że podziela ogólną wiarę w legendę.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy na śniadanie do Merripit House i tu sir Henryk poznał miss Stapleton.

Od pierwszej chwili widok jej wywarł na nim głębokie wrażenie i sądzę, że się nie mylę, utrzymując, iż było wzajemne. Gdy powracaliśmy do domu, mówił o niej ciągle, a teraz niema prawie dnia, ażebyśmy nie widzieli się z bratem i siostrą. Są dziś tu na obiedzie, a w przyszłym tygodniu my mamy podobno być u nich.

Należałoby przypuszczać, że taka partja powinna być bardzo upragniona przez Stapletona, tymczasem niejednokrotnie zauważyłem wyraz wielkiego niezadowolenia na jego twarzy, gdy sir Henryk w jakikolwiek sposób okazuje zajęcie się siostrą jego. Stapleton jest niewątpliwie bardzo do niej przywiązany, i prowadziłby życie bardzo samotne, gdyby jej zabrakło; lecz byłoby to znów najwyższem samolubstwem, gdyby z tego względu nie dopuścił do tak świetnego dla niej małżeństwa.

Jednakże jestem pewien, że Stapleton nie życzy sobie, ażeby zażyłość młodej pary przekształciła się w miłość i kilkakrotnie zauważyłem, że umyślnie zapobiegł, ażeby nie zostali sami we dwoje. Nawiasem mówiąc, jeśli sprawa miłosna przyłączy się do trudności dotychczasowych, spełnienie polecenia Twego, ażebym nie opuszczał

sir Henryka na żadnej przechadzce, stanie się dla mnie o wiele uciążliwsze. Utraciłbym całą jego sympatję, gdybym chciał dosłownie wypełnić Twój rozkaz.

Przed kilku dniami — w czwartek, dla ścisłości — doktór Mortimer był u nas na śniadaniu. Wykopał czaszkę człowieka przedhistorycznego z mogiły w Long Down i jest uszczęśliwiony. Nie znam równie łatwowiernego entuzjasty. Po śniadaniu przyszli Stapletonowie i poczciwy doktór, na prośbę sir Henryka, zaprowadził nas wszystkich do szpaleru cisowego, żeby nam opowiedzieć dokładnie na miejscu, jak się to wszystko stało w ową noc fatalną.

Szpaler jest długi, ponury, ocieniają go dwa wysokie żywopłoty, a z każdej strony ciągnie się wąski pas trawnika. Na końcu stoi stara, zapadła altana, a w połowie szpaleru znajduje się furtka, gdzie sir Karol strząsnął popiól z cygara. Po za nią rozpościerają się moczary bezbrzeżne.

Pamiętam Twoją hipotezę w tej sprawie i usiłowałem odtworzyć sobie w wyobraźni to, co tam zaszło. Sir Karol, stojąc przy furtce, ujrzał coś idącego przez moczary, coś, co przejęło go taką trwogą, że utracił przytomność, zaczął uciekać i biegł bez pamięci, dopóki nie umarł ze strachu i znużenia. Biegł długim, ponurym, liściastym tunelem. Przed czemże uciekał? Przed psem pasterskim z moczarów? Czy też przed jakim czarnym, milczącym, fantastycznym potworem? Czy działała tu ręka ludzka? Czy blady, baczny Barrymore wie więcej, niż chce powiedzieć? Wszędzie mrok i tajemnica, a na wszystkiem niezaprzeczone piętno zbrodni.

Od czasu, gdym pisał ostatni raz do Ciebie, poznałem jeszcze jednego sąsiada. Pana Franklanda z Lafter Hallu; mieszka o jakie cztery mile od nas, w stronie południowej. Jest to człowiek już starszy, siwy, czerwony, jak burak, temperamentu cholerycznego. Ma jedną namiętność — przestrzega zacięcie wykonywania przepisów prawa; stracił już majątek na procesy, a procesuje się z upodobania, uprawia sztukę dla sztuki i bywa w jednej i tej samej sprawie raz powodem, to znów pozwanym, tak, że nic dziwnego, iż ta zabawka stała się dlań taka kosztowna.

Bywa, że zamknie ni stąd ni zowąd drogę publiczną i gmina musi pozywać go przed sądy; innym razem obala płot, okalający grunt któregoś z mieszkańców, upiera się, że istniała tam od czasów niepamiętnych ścieżka i zmusza właściciela do zaskarżenia go o gwałt. Zna doskonale prawa własności dworu i gminy i wyzyskuje niekiedy te wiadomości swoje na korzyść włościan z Fernworth, niekiedy zaś przeciw nim, tak, że bywa kolejno albo obnoszony w triumfie po wsi, albo spalany *in effigie*, stosownie do ostatniego czynu.

Mówią, że ma teraz siedem procesów, które pochłoną resztki jego majątku, co mu wytrąci broń z ręki i uczyni go nadal nieszkodliwym. Po za obrębem tej manji jest, zdaje się, człowiekiem łagodnym, dobrodusznym i wspominam o nim tylko dlatego, że nalegałeś, ażebym ci opisał wszystkie osoby, stanowiące nasze otoczenie.

Pan Frankland ma chwilowo szczególne zajęcie: uprawiając astronomję z amatorstwa, po-

siada świetny teleskop i przez cały dzień z dachu domu swego rozgląda się po moczarach w nadziei, że dostrzeże zbiegłego więźnia. Gdyby tylko chciał działalność swoją tem ograniczyć! Ale ludzie mówią, że zamierza wytoczyć proces doktorowi Mortimerowi za otwarcie grobu, bez zezwolenia najbliższych krewnych, a to dlatego, że doktór wykopał z mogiły w Long Down ową czaszkę przedhistoryczną, z okresu kamienia ciosanego. Dzięki temu Franklandowi mamy życie nieco urozmaicone, wprowadza on bardzo pożądany pierwiastek komiczny.

A teraz, skoro już wiesz wszystko, co się dotąd dzieje ze zbiegłym więźniem, Stapletonami, doktorem Mortimerem i Franklandem z Lafter Hallu, przejdę do rzeczy ważniejszych, do Barrymore'ów, a zwłaszcza do niespodziewanego zajścia ubiegłej nocy.

Przedewszystkiem powrócę do depeszy, którą wysłałeś z Londynu, ażeby się upewnić, czy Barrymore jest istotnie w zamku. Pisałem Ci już, że słowa pocztmistrza wykazują, iż próba nie powiodła się i nie mamy żadnego dowodu. Powiedziałem o tem sir Henrykowi, a on, ze swą zwykłą szczerością wezwał Barrymore'a i zapytał go, czy odebrał depeszę osobiście? Barrymore odpowiedział twierdząco.

— Czy chłopiec oddał ci ją do rąk? — zapytał sir Henryk.

Barrymore był widocznie zdumiony i zastanowił się przez chwilę.

— Nie, — odparł — byłem na strychu i żona mi ją przyniosła.

— A czy odpowiedziałeś sam na depeszę?

— Nie; powiedziałem żonie, co ma odpisać i wyręczyła mnie.

Wieczorem Barrymore z własnej inicjatywy powrócił do tej sprawy.

— Nie rozumiem dobrze powodu pytań, jakie mi pan dziś rano zadawał — rzekł. — Mam nadzieję, iż nie są one znakiem, że dopuściłem się czynu, który zachwiał zaufaniem pana?

Sir Henryk zapewnił go, że tak nie jest i uspokoił go ostatecznie podarowaniem znacznej części swej starej garderoby, ponieważ ubrania, zamówione w Londynie, już nadeszły.

Pani Barrymore zaciekawia mnie bardzo. Jest to niewiasta tęga, ociężała, ograniczona, pełna godności, ze skłonnością do purytanizmu. Nie możesz sobie wyobrazić osoby mniej wrażliwej. A jednakże pisałem Ci, że pierwszej nocy po przyjeździe tu, słyszałem jej płacz gwałtowny, a potem zauważyłem niejednokrotnie ślady łez na jej twarzy. Dręczy ją niechybnie jakaś wielka zgryzota. Niekiedy wydaje mi się, że ją trapią wyrzuty sumienia, a chwilami znów posądzam Barrymore'a, że jest tyranem domowym. Odczułem odrazu coś niezwykłego i tajemniczego w tym człowieku, ale przygoda ostatniej nocy wzmogła do najwyższego stopnia moje podejrzenia.

Niemniej zajście samo przez się może się wydać błahe.

Jak Ci wiadomo, mam sen lekki, a od chwili, gdy jestem tu na straży, nie śpię wcale, lecz drzemię. Otóż, ubiegłej nocy, około 2-giej nad ranem, zbudził mnie odgłos kroków mijających mój pokój. Wstałem, uchyliłem drzwi i wyjrza-

łem. Po korytarzu wlókł się wydłużony czarny cień, który padał od postaci mężczyzny, idącego chyłkiem i trzymającego świecę w ręku. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie i był boso. Dojrzałem zaledwie zarysy postaci, lecz po wzroście poznałem Barrymore'a. Szedł wolno i ostrożnie, a jego postawa miała cechę zakradającego się winowajcy.

Pisałem Ci, że korytarz przecięty jest balkonem, biegnącym dokoła przedsionka, lecz ciągnie się dalej jeszcze, po drugiej jego stronie. Zaczekałem, aż postać idąca zniknęła i podążyłem za nią. Gdy okrążyłem balkon, człowiek ów był już na końcu korytarza i po blasku światła, padającym przez drzwi otwarte, zmiarkowałem, że wszedł do jednego z pokojów. Pokoje w tem skrzydle zamku są wszakże niezamieszkane i nieumeblowane, owa wycieczka tedy stawała się coraz bardziej tajemnicza. Światło świeciło stale w jednym punkcie jakgdyby trzymający je stał bez ruchu. Zakradłem się, jak mogłem najciszej podedrzwi i zajrzałem.

Barrymore stał skulony przy oknie i trzymał świecę przed samą szybą. Zwrócony do mnie profilem, patrzył z natężeniem w czarną dal moczarów, a rysy jego jakby skamieniały w tem oczekiwaniu. Stał tak przez kilka minut, poczem westchnął głęboko i niecierpliwym ruchem zgasił świecę. Powróciłem co tchu do siebie, i wnet usłyszałem znów odgłos cichych kroków. Długo potem, gdy zapadłem już w półsen, dobiegł mnie zgrzyt obracanego w zamku klucza, lecz nie mógłbym powiedzieć skąd ten dźwięk pochodził.

Co to wszystko znaczy — nie mam pojęcia. ale w tym ponurym domu toczą się jakieś tajemnicze sprawy, które, prędzej czy później, wyświetlimy niechybnie. Nie zaprzątam Ci głowy swojemi przypuszczeniami, gdyż żądałeś odemnie tylko faktów. Rozmawiałem dziś rano długo z sir Henrykiem i ułożyliśmy plan kampanji na podstawie moich spostrzeżeń z ubiegłej nocy. Nie powiem Ci dziś na czem plan nasz polega, przeczytasz z tem większem zajęciem mój raport następny.

IX.

DRUGI RAPORT DOKTORA WATSONA.

Baskerville Hall, 15 października.

Mój drogi Holmesie!

Jeżeli przez pierwsze dni mego pobytu tutaj nie przesyłałem Ci zbyt obszernych listów, musisz przyznać, że wynagradzam Ci obecnie czas stracony i że wypadki szybko i obficie następują po sobie. Ostatni raport zakończyłem opisem nocnej wycieczki Barrymore'a, a dzisiaj mam cały zapas nowin, które Cię wprawią niechybnie w niemałe zdumienie.

Rzeczy przybrały obrót zupełnie niespodziewany. W części wyświetliły się przez ostatnie dwie doby, w części zaś bardziej jeszcze się zawikłały. Ale opiszę Ci wszystko i sam osądzisz.

Nazajutrz rano po owej nocnej przygodzie udałem się przed śniadaniem do pokoju, gdzie w nocy wszedł Barrymore. Zauważyłem, że okno zachodnie, przez które wyglądał z takiem natężeniem ma jedną wyższość nad innemi — widać stamtąd wyraźnie moczary przez otwór między dwoma drzewami, gdy ze wszystkich

innych okien widok jest zasłonięty. Stąd wynika, że Barrymore, skoro w tem oknie stawał, upatrywał kogoś lub czegoś na moczarach.

Noc była taka ciemna, że nie wyobrażam sobie, jak mógł przypuszczać, iż dojrzy cośkolwiek. Narazie przyszło mi do głowy, że wchodzi tu w grę jakaś przygoda miłosna, co usprawiedliwiłoby jego tajemnicze zakradanie się, a także i rozdrażnienie żony. Barrymore jest niezwykle przystojnym mężczyzną, aż nadto zdolnym podbić serce wiejskiej dziewczyny — przypuszczenie moje zatem miało za sobą wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Owo otwarcie drzwi, które usłyszałem, powróciwszy do siebie, mogło znaczyć, że wyszedł na schadzkę. Takie snułem wnioski i dzielę się z Tobą swemi podejrzeniami, jakkolwiek w końcu okazało się, że były bezpodstawne.

Jakakolwiek wszelako mogła być istotna przyczyna postępowania Barrymore'a, czułem, że zbyt wielką wziąłbym na siebie odpowiedzialność, gdybym zamilczał o owej przygodzie, dopóki nie zostałaby wyświetlona. Po śniadaniu tedy poszedłem z baronetem do jego gabinetu i opowiedziałem mu wszystko, co widziałem. Sir Henryk okazał zdziwienie mniejsze, niż przypuszczałem.

— Wiedziałem, że Barrymore odbywa nocne wędrówki i chciałem już z nim o tem pomówić — rzekł. — Słyszałem kilka razy odgłos jego kroków w korytarzu, o tej właśnie godzinie, którą pan wymienił.

— Może zatem co noc chodzi do tego jednego okna — wtrąciłem.

— Może, a w takim razie będziemy mogli go zaskoczyć i przekonać się, czego tam chce właściwie. Ciekaw jestem, co począłby przyjaciel pański, Holmes, gdyby był tutaj?

— Myślę, że uczyniłby zupełnie to samo, co pan zamierza — odparłem. — Poszedłby za Barrymore'm i przekonałby się, co robi.

— W takim razie pójdziemy obaj.

— Ależ usłyszy nas z pewnością.

— Nie sądzę, ma słuch przytępiony; bądź co bądź, musimy skorzystać z tej sposobności. Dziś wieczorem zatem zaczekamy w moim pokoju, dopóki nie przejdzie.

Sir Henryk zatarł ręce z zadowoleniem; widoczne było, że rad jest temu urozmaiceniu jednostajnego życia śród moczarów.

Baronet nawiązał stosunki z budowniczym, który wygotował plany dla sir Karola, oraz z dostawcą w Londynie, tak, że wkrótce rozpoczną się tu wielkie zmiany. Byli tu już tapicerzy i stolarze z Plymouth i widać ze wszystkiego, że nasz przyjaciel ma szerokie zamiary i postanowił nie szczędzić trudów ani kosztów dla przywrócenia dawnego blasku siedzibie rodzinnej.

Gdy dom zostanie odnowiony i urządzony, brak będzie baronetowi jedynie żony, a między nami mówiąc, mam pewne dane do domyślenia się, kto mógłby nią zostać, jeśli tylko zechce. Mało widziałem ludzi tak rozkochanych w kobiecie, jak sir Henryk w naszej pięknej sąsiadce, miss Stapleton. Wszelako droga tej gorącej miłości nie jest taka gładka, jakby można się spodziewać w danych okolicznościach. Dzisiaj na-

przykład przyjaciel nasz spotkał na tej drodze niespodziewaną przeszkodę, która sprawiła mu niemałą przykrość.

Po rozmowie naszej o Barrymorze sir Henryk wziął kapelusz i zabierał się do wyjścia. Oczywiście uczyniłem to samo.

— Jakto, czy pan idzie ze mną? — zapytał, spoglądając na mnie w szczególny sposób.

— To zależy od tego, czy pan pójdzie na moczary — odparłem.

— Tak, tam właśnie idę.

— Wszakże pan wie, jakie mam polecenie. Przykro mi narzucać się panu, ale słyszałeś sam, jak usilnie Holmes nalegał, żebym pana nie opuszczał, a zwłaszcza, żebyś nie chodził sam po moczarach.

Sir Henryk położył dłoń na mojem ramieniu.

— Mój drogi panie — rzekł z uśmiechem. — Holmes z całą swoją mądrością nie przewiduje pewnych rzeczy, które właśnie zaszły od czasu, jak przybyłem nad te moczary. Wszak pan mnie rozumie? Jestem pewien, że pan byłbyś ostatni, któryby chciał popsuć mi szyki. Muszę pójść sam.

Skutkiem tych słów znalazłem się w najfałszywszem położeniu. Nie wiedziałem co począć, ani co powiedzieć, i zanim się namyśliłem, sir Henryk wziął laskę i wyszedł.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zacząłem sobie wyrzucać, że bez względu na przyczynę, pozwoliłem mu wyjść bez opieki. Wyobraziłem sobie, z jakiem uczuciem powróciłbym do Ciebie, by Ci oznajmić, że zdarzyło mu się jakie nieszczęście, skutkiem mego lekceważenia Twoich

poleceń. Daję Ci słowo, że, na samą myśl o tem, krew uderzyła mi do głowy. Sądząc tedy, że nie będzie jeszcze za późno, że zdołam go dogonić, pośpieszyłem niezwłocznie w kierunku Merripit House.

Z początku pogoni mojej nie mogłem dostrzec sir Henryka na drodze. Dopiero, gdy przybyłem do miejsca, z którego skręca w bok ścieżka na moczary, i w obawie, że może jednak podążyłem w złą stronę, wszedłem na pagórek skalisty, skąd mogłem rozejrzeć się swobodnie dokoła, zobaczyłem go odrazu.

Stał na ścieżce w odległości jakiej ćwierci mili a obok niego kobieta; mogła to być tylko miss Stapleton. Oczywiste było, iż spotkali się tutaj za uprzedniem porozumieniem. Szli wolno, zatopieni w rozmowie, widziałem szybkie ruchy rąk miss Stapleton, jakgdyby chciała niemi podkreślać własne słowa, on słuchał z natężeniem, lecz kilkakrotnie potrząsnął energicznie głową, widocznie zaprzeczając czemuś.

Stałem śród skał, śledząc ich i nic wiedząc co z sobą począć. Dogonić ich i przerwać tę poufną rozmowę wydało mi się obelgą, a jednak miałem obowiązek nie spuszczać ani na chwilę z oka sir Henryka. Odgrywać rolę szpiega wobec przyjaciela, to zadanie nad wyraz wstrętne Wszelako nie pozostawało mi nic innego, tylko śledzić go z pagórka, a następnie oczyścić sumienie wyznaniem otwartem tego postępku Prawda, że, gdyby zagroziło mu jakie nagłe niebezpieczeństwo, byłem za daleko, by mu dopomóc, niemniej jednak pewien jestem, że mi

przyznasz, iż położenie było bardzo trudne i nie mogłem nic więcej uczynić.

Nasz przyjaciel, sir Henryk, i młoda panna zatrzymali się na ścieżce i stali pogrążeni w rozmowie, gdy nagle zauważyłem, że nie jestem jedynym świadkiem ich spotkania. Zielony wiecheć, powiewający w powietrzu, zwrócił moją uwagę, a przyjrzawszy się bliżej, spostrzegłem, że wisiał na kiju, a niósł go mężczyzna, idący śród głazów.

Był to Stapleton ze swoją siatką na motyle. Znajdował się daleko bliżej młodej pary niż ja i szedł ku niej.

W tejże chwili sir Henryk nagle objął w pół miss Stapleton, lecz zdawało mi się, że usiłowała wyrwać się z jego uścisku i odwróciła głowę. On pochylił się ku niej, a ona podniosła rękę, jakby w obronie. W tem odskoczyli od siebie i obrócili się żywo. To Stapleton ich spłoszył. Biegł ku nim jak szalony, a ta głupia siatka powiewała na kiju. Stanąwszy przed zakochanymi, wymachiwał rękoma w uniesieniu i tupał nogami.

Nie miałem pojęcia, co ta scena może znaczyć, ale zdawało mi się, że Stapleton robił wymówki sir Henrykowi, który się tłómaczył, co tamtego wprowadzało w coraz większe uniesienie. Panna stała wyniosła i milcząca.

W końcu Stapleton odwrócił się i skinął rozkazująco na siostrę, która, spojrzawszy z wahaniem na sir Henryka, odeszła z bratem. Gniewne ruchy przyrodnika wykazały, że i panna zasłużyła na jego niezadowolenie.

Baronet stał przez chwilę, patrząc za odchodzącymi, poczem wolnym krokiem, z głową spuszczoną, istny obraz przygnębienia, wracał ścieżką, którą przyszedł.

Nie rozumiałem, co to wszystko miało znaczyć, ale ogarnął mnie wstyd głęboki, że byłem świadkiem takiej poufnej sceny, bez wiedzy swego przyjaciela. Zbiegłem tedy z pagórka i u stóp spotkałem baroneta. Miał oczy roziskrzone gniewem, brwi zmarszczone, twarz zmienioną, jak człowiek, który nie wie, co począć.

— A to co, Watson? — A pan skąd się tu wziął? — rzekł. — Może mimo mej woli poszedłeś za mną, co?

Powiedziałem mu wszystko: jak przyszedłem do przekonania, że nie powinienem był pozostać, jak podążyłem za nim i jak stałem się świadkiem tego, co zaszło. Na razie oczy jego zapłonęły gniewem, ale rozbroiła go moja szczerość i w końcu roześmiał się żałośnie.

— Zdawałoby się człowiekowi, że na środku tego pustkowia może być pewie nsamotności, — rzekł — a tu, do pioruna, cała okolica wylegla widocznie, by patrzeć na moje oświadczyny... Ładne były oświadczyny!... Gdzieżeś pan zamówił miejsce na to widowisko?

— Stałem na tem oto wzgórzu.

— W ostatnim rzędzie, co? A jej brat usadowił się na samym przedzie! Czy widziałeś pan, jak szedł ku nam?

— Widziałem.

— Czy ten jej brat nie robił na panu nigdy wrażenia warjata?

— Nie, nie mogę tego powiedzieć.

— No, i ja również. Miałem go zawsze za człowieka dosyć normalnego, aż do dzisiaj, ale możesz mi pan uwierzyć na słowo, że albo on, albo ja powinniśmy być w kaftanie warjata. Jednakże co się ze mną dzieje? Słuchaj, Watsonie, jesteś ze mną razem już kilka tygodni, powiedz mi zatem szczerze, czy jest we mnie coś takiego, coby mi przeszkodziło być dobrym mężem kobiety, którąbym kochał?

— Mojem zdaniem, nie.

— Nie może nic zarzucić memu stanowisku społecznemu, a zatem ma coś przeciw mojej osobie. Ale co? Nie wyrządziłem nigdy nikomu najmniejszej krzywdy, a jednak on nie pozwala nawet dotknąć końca jej palców.

— Czy tak powiedział?

— Tak, i znacznie więcej jeszcze. Znam ją dopiero kilka tygodni, ale od pierwszej chwili uczułem, że to kobieta dla mnie stworzona, a ona również byłaby szczęśliwa, w pożyciu ze mną... przysiągłbym na to. Kobieta miewa w oczach błyski, stokroć wymowniejsze od słów. Ale brat nigdy nie dopuszczał do porozumienia między nami i dzisiaj dopiero, po raz pierwszy, zdarzyła mi się sposobność porozmawiania z nią bez świadków. Rada była z naszego spotkania, lecz nie pozwoliła mi mówić o miłości. Powracała ciągle do jednego przedmiotu, ostrzegała mnie, że mi tu grozi niebezpieczeństwo, i że nie uspokoi się, dopóki stąd nie wyjadę. Odpowiedziałem jej, że od chwili, kiedy ją ujrzałem, nie śpieszy mi się wcale wyjeżdżać i, jeżeli istotnie zależy jej na tem, bym opuścił te strony, jedyny na to sposób; niechaj jedzie ze mną. Poczem oświad-

czyłem się o jej rękę, ale, zanim zdążyła odpowiedzieć, wpadł na nas ten jej brat. Wyglądał jak warjat, blady jak ściana z gniewu, a z jego jasnych oczu sypały się iskry! Co ja tu robię z jego siostrą? — krzyczał. Jak śmiem okazywać jej uczucia, które są dla niej wstrętne? Czy sądzę, że dlatego, iż jestem baronetem, to mi wszystko wolno? Gdyby nie był jej bratem, dałbym mu należytą odprawę. Ale w tych warunkach powiedziałem mu tylko, że nie mam potrzeby wstydzić się swoich uczuć dla jego siostry i mam nadzieję, iż zechce zostać moją żoną. Ale to bynajmniej nie poprawiło sprawy, tak, że i ja uniosłem się w końcu i odpowiedziałem mu gwałtowniej, niż chciałem, ze względu na jej obecność. Skończyło się na tem, że odszedł wraz z nią, jak sam widziałeś, a ja zostałem jak głupi. Powiedz mi, Watsonie, co to może znaczyć, a będę ci wdzięczny do grobu.

Usiłowałem zajście wytłómaczyć tem i owem, ale w istocie, zgłupiałem sam zupełnie. Za przyjacielem naszym przemawia tytuł, majątek, wiek, charakter, powierzchowność, nie wiem nic złego o nim, a jedyny zarzut, jaki można mu zrobić, to ów fatalizm, który ściga jego rodzinę. Zdumiewające to istotnie, że konkury baroneta zostały tak brutalnie odrzucone, bez względu na uczucia panny i że ona przyjęła decyzję brata bez oporu.

Wszelako tym wszystkim wnioskom naszym położyła koniec wizyta Stapletona tego samego dnia popołudniu. Przyszedł przeprosić za swoją szorstkość, a wynikiem długiej, poufnej rozmowy z sir Henrykiem w jego gabinecie było

zupełne pogodzenie; na znak tej zgody zaś mamy być w piątek na obiedzie w Merripit House.

— Niemniej — rzekł sir Henryk po odejściu Stapletona — uważam go w dalszym ciągu za człowieka narwanego; nie mogę zapomnieć jego wzroku, gdy pędził ku mnie dziś rano. Muszę jednak przyznać, że usprawiedliwiał się bardzo szczerze.

— Czy wyjaśnił czemkolwiek swoje postępowanie?

— Mówił, że siostra jest mu wszystkiem na świecie. Rzecz to zupełnie naturalna i cieszę się, że ją należycie ocenia. Nie rozstawali się nigdy i, jak powiada, pędzi życie bardzo samotne, ograniczając się wyłącznie jej towarzystwem, tak, że nie może wprost znieść myśli o jej utracie. Zrazu nie widział mego przywiązania do niej, ale gdy przekonał się na własne oczy o mych uczuciach i zrozumiał, że mogę mu ją zabrać, doznał takiego wstrząśnienia, iż narazie nie był odpowiedzialny za to, co mówił lub robił. Zapewniał mnie, że żałuje niezmiernie tego, co się stało i przyznał, iż to było szaleństwo i najwyższe samolubstwo z jego strony, jeśli przypuszczał, iż będzie mógł zatrzymać przy sobie na całe życie kobietę taką piękną jak jego siostra. Jeśli ma go porzucić — mówił — to woli, żeby to uczyniła dla takiego, jak ja, sąsiada, niż dla kogo innego. Ale w każdym razie cios to dla niego ciężki i minie czas pewien, zanim uspokoi się o tyle, że go znieść zdoła. Zapewnił mnie następnie, iż przestanie stawiać opór, jeśli mu przyrzeknę, że nie poruszę tej sprawy przez trzy miesiące i zadowolę się przez ten czas przyjaźnią

jego siostry, nie domagając się jej miłości. Przyrzekłem mu, że zastosuję się do jego życzenia i na tem zakończyliśmy naszą rozmowę.

Jedna z naszych drobnych tajemnic została zatem wyświetlona. Wiemy teraz, dlaczego Stapleton spoglądał niechętnem okiem na konkurenta siostry, jakkolwiek ten konkurent przedstawiał taką świetną partję, jak sir Henryk.

A teraz przechodzę do innej nici, którą rozplątałem w tym zawikłanym motku, do tajemnicy łkań nocnych, do śladów łez na twarzy pani Barrymore, do nocnej wędrówki kamerdynera pod owo zachodnie okno.

Powinszuj mi, kochany Holmesie i przyznaj, że nie zawiodłem Cię na stanowisku Twego pomocnika, że nie żałujesz zaufania, jakie mi okazałeś, wysyłając mnie tutaj. Wyjaśnienie tego wszystkiego było dziełem jednej nocy.

Napisałem „jednej nocy", ale właściwie stało się to w ciągu dwóch nocy, gdyż pierwsza zeszła nam na niczem.

Siedzieliśmy z sir Henrykiem w jego gabinecie blisko do godziny 3-ej rano, ale nie dobiegł nas żaden odgłos, oprócz dźwięku zegara na schodach. Niezabawne było to czuwanie i skończyło się na tem, że obaj zasnęliśmy głęboko w fotelach.

Na szczęście nie zniechęciliśmy się i postanowiliśmy spróbować raz jeszcze. Następnej nocy przyćmiliśmy światło lampy i, paląc papierosy, siedzieliśmy cicho, bez słowa i ruchu. Trudno uwierzyć, jak wolno wlokły się godziny, a jednak podtrzymywał nas ten sam cierpliwy zapał, który podtrzymuje myśliwego, gdy śledzi bacznie zasadzkę, w którą ma wpaść zwierzyna.

Wybiła pierwsza, potem druga, zniechęceni zamierzaliśmy już zaniechać dalszego czekania, gdy naraz zerwaliśmy się obaj na równe nogi: dobiegł nas szelest kroków na korytarzu.

Słyszeliśmy, jak zakradały się chyłkiem, aż ucichły w oddali. Wówczas baronet otworzył ostrożnie drzwi i puściliśmy się w pogoń. Barrymore minął już galerję i korytarz pogrążony był w cieniu. Szliśmy na palcach aż do drugiego skrzydła i dostrzegliśmy jeszcze wysoką postać brodatego mężczyzny, pochylonego, wchodzącego w te same drzwi, co tamtej nocy. W blasku świecy framuga zarysowała się wyraźnie, a płomień przeciął żółtym promieniem mrok korytarza.

Posuwaliśmy się po cichutku ku tym drzwiom, próbując każdą deskę posadzki, zanim oparliśmy się na niej całym ciężarem ciała. Pomimo, iż zdjęliśmy buty, stare deski uginały się i skrzypiały pod naszemi nogami, tak, że niekiedy niemożliwe wydawało się, żeby nas Barrymore nie dosłyszał. Na szczęście jednak jest trochę głuchy i był zupełnie pochłonięty przez swoje zajęcie.

Nareszcie doszliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do pokoju. Barrymore stał skulony przy oknie, trzymając świecę w ręku; bladą twarz, na której malowało się wytężone oczekiwanie, przycisnął do szyby, zupełnie jak wtedy, gdym go tam widział po raz pierwszy.

Nie umówiliśmy się, jak w tym razie postąpimy, ale baronet jest człowiekiem, który uważa, iż droga prosta najprędzej prowadzi do celu. Wszedł tedy do pokoju, co usłyszawszy Barrymore odskoczył od okna, oddychając ciężko; stał

przed nami drżący, blady śmiertelnie. Ciemne oczy jego, których blask powiększała bladość twarzy, z trwogą i zdumieniem spoglądały to na mnie, to na sir Henryka.

— Co ty tu robisz? — spytał baronet.

— Nic, panie. — Był taki wystraszony, że zaledwie mógł mówić, a świeca chwiała się w jego drżącej ręce i rzucała na ścianę skaczące cienie. — To okna, panie... Chodzę w nocy i patrzę, czy są zamknięte.

— Na drugiem piętrze?

— Tak, panie, oglądam wszystkie okna.

— Słuchaj, Barrymore, — rzekł sir Henryk surowo — postanowiliśmy wydobyć z ciebie prawdę, więc im prędzej ją wyznasz, tem lepiej dla ciebie. Gadaj zaraz, tylko bez kłamstw. Coś ty tu robił przy oknie?

Nieborak spojrzał na nas z rozpaczą i załamał ręce, jak człowiek ostatecznie zgnębiony i nieszczęśliwy.

— Nie robiłem nic złego, panie. Trzymałem świecę przy oknie.

— A dlaczego trzymałeś świecę przy oknie?

— Niech mnie pan nie pyta... błagam, niech mnie pan nie pyta! Daję panu słowo, że to nie moja tajemnica i że nie mogę jej zdradzić. Gdyby dotyczyła mnie tylko, nie ukrywałbym jej przed panem.

Błysnęła mi nagła myśl i wziąłem świecę z parapetu, gdzie ją Barrymore postawił.

— Ręczę, że to sygnał — rzekłem. — Zobaczymy, czy będzie odpowiedź.

Trzymałem przez chwilę świecę w taki sam sposób jak on i wpatrywałem się uważnie w

ciemną noc. Z trudnością mogłem rozróżnić ciemny pas drzew i jaśniejszy obszar moczarów, księżyc bowiem skrył się za chmury.

Naraz wydałem okrzyk radości: mały, żółty punkcik świetlany przebił ciemności i jaśniał w dali.

— Oto jest! — zawołałem.

— Nie, nie, panie, to nic... to nic nie znaczy! — przerwał Barrymore — zapewniam pana.

— Przesuwaj pan świecę przed szybą — wołał baronet. — Patrz i tamto światło się porusza! Czy i teraz jeszcze, łotrze jakiś, będziesz przeczył, że to sygnały? Mów zaraz, kto jest tam twoim wspólnikiem i jaki knujecie spisek?

Na twarzy kamerdynera odbił się teraz wyraźnie gniew.

— To moja rzecz, nie pańska. Nie powiem.

— W takim razie wynoś się z mego domu... Natychmiast!

— Dobrze, panie! Jeśli muszę, to trudno.

— I odchodzisz wypędzony! Do pioruna, jak ci nie wstyd! Rodzina twoja żyła przeszło sto lat pod jednym dachem z moją, a ja zastaję ciebie knującego przeciw mnie spiski!

— Nie, nie, panie, nie, nie przeciw panu! — odezwał się głos kobiecy.

Pani Barrymore, bledsza i bardziej jeszcze wylękła od męża, stała we drzwiach. Przysadzista jej postać, otulona w szal, w krótkiej spódnicy, byłaby komiczna, gdyby nie tragiczny wyraz twarzy.

— Mamy się stąd wynieść, Elizo. Skończyło się. Idź, pakuj rzeczy — rzekł kamerdyner.

— Och, Janie, Janie, a więc cię zgubiłam! To moja wina, sir Henryku... Tylko moja. On robił jedynie to, o co go prosiłam.

— Mówcie zatem! Co to znaczy?

— Mój nieszczęśliwy brat umiera z głodu śród moczarów. Nie możemy przecież pozwolić mu zginąć. Światło stąd jest sygnałem, że przygotowaliśmy dla niego pożywienie, a światło stamtąd wskazuje nam miejsce, gdzie mamy mu żywność zanieść.

— Brat wasz jest zatem...

— Zbiegłym więźniem, panie... zbrodniarzem Seldenem.

— Teraz pan wie prawdę — odezwał się Barrymore. — Mówiłem panu, że to nie moja tajemnica i że nie mogę jej panu wyjawić. Przekonał się pan, że nie kłamałem i że, jeżeli był spisek, to bynajmniej nie przeciw panu.

Tak tedy zostały wyjaśnione tajemnicze wędrówki nocne i cel światła w oknie.

Zdumieni do najwyższego stopnia, spoglądaliśmy wraz z sir Henrykiem na panią Barrymore. Czy podobna, żeby w żyłach tej statecznej, uczciwej kobiety płynęła ta sama krew co w żyłach najsłynniejszego w kraju zbrodniarza.

— Tak, panie, — zaczęła po chwili — jestem z domu Selden, a to mój młodszy brat. Pieściliśmy go i psuli w dzieciństwie i pozwalali mu na wszystko, tak, iż nabrał przekonania, że świat został stworzony dla jego przyjemności i że może robić co mu się podoba. Potem, gdy dorósł, natrafił na złe towarzystwo, djabeł go opętał; matkę wpędził do grobu, a nazwisko nasze unurzał w błocie. Dopuszczał się jednej

zbrodni po drugiej, stopniowo upadał coraz niżej i łaska boska tylko ocaliła go od ręki kata. Ale dla mnie, panie, pozostał zawsze malcem o jasnych kędziorach, którego, jako starsza siostra, piastowałam. Dlatego właśnie, gdy uciekł z więzienia, panie, wiedział, że jestem tutaj i że mu nie odmówimy pomocy. Gdy przywlókł się w nocy do nas, wycieńczony znużeniem i głodem, ścigany przez dozorców więziennych, co było robić? Ukryliśmy go u siebie, karmili i pielęgnowali. Potem pan powrócił i bratu zdawało się, że będzie bezpieczniejszy śród moczarów, niż gdzieindziej, dopóki cała ta wrzawa, wywołana jego ucieczką, nie ucichnie. Tam też się ukrywa i co drugą noc upewnialiśmy się, czy jest jeszcze i stawialiśmy świecę w oknie; jeżeli odpowiadał takim samym sygnałem, mąż zanosił mu trochę chleba i mięsa. Z dnia na dzień spodziewaliśmy się, że pójdzie dalej w świat, ale dopóki tu był, nie mogliśmy go opuścić. Oto cała prawda, jakem uczciwa chrześcijanka, i przyzna pan, że nie mój mąż tu zawinił, lecz ja, bo to, co uczynił, zrobił przez wzgląd na mnie.

Mówiła szczerze i poważnie.

— Czy to prawda, Barrymore? — spytał sir Henryk.

— Tak jest, panie, szczera prawda.

— Trudno, nie mogę ci mieć za złe, żeś przyszedł w pomoc żonie. Zapomnij moich poprzednich słów. Wracajcie oboje do siebie, a jutro rano pomówimy jeszcze o tem.

Po ich wyjściu wyjrzeliśmy znów przez okno. Sir Henryk otworzył je na oścież, a zimny wiatr

nocny owionął nas, przejmując dreszczem. W dali, śród mroku, gorzało jeszcze żółte światełko.

— Dziwię się jego odwadze — rzekł sir Henryk.

— Może umieścił światło tak, że tylko stąd jest widoczne.

— Może być! Jak się panu zdaje, czy to daleko?

— Myślę, że to będzie pod Cleft Tor.

— Nie więcej, niż mila lub dwie?

— Nawet nie tyle.

— Zapewne; nie może być bardzo daleko, skoro Barrymore nosił tam jedzenie... A ten łotr czeka tam, obok świecy. Do pioruna, Watsonie, pójdę i schwytam tego zbrodniarza!

To samo pragnienie obudziło się i we mnie. Nie byłoby mi z pewnością przyszło do głowy, gdyby Barrymore'owie zwierzyli nam się z własnego popędu; ale wszak przemocą zmusiliśmy ich do wyznania tajemnicy. Człowiek ów zaś był niebezpiecznym dla całej okolicy, skończonym łajdakiem, nie zasługującym ani na współczucie ani na usprawiedliwienie. Korzystając ze sposobności umieszczenia go napowrót tam, gdzie nie mógł być szkodliwy, spełnialiśmy tylko obowiązek. Wobec jego brutalnej i gwałtownej natury inni mogli przypłacić życiem naszą obojętność. Którejkolwiek nocy naprzykład mógłby napaść na naszych sąsiadów, Stapletonów, a ta myśl niewątpliwie sprawiła, że sir Henryk z taką odwagą podejmował się niezbyt bezpiecznej wyprawy.

— Pójdę z panem — rzekłem.

— Dobrze, bierz pan zatem rewolwer i wdziewaj buty. Im wcześniej wyruszymy, tem lepiej, bo ten łotr może zgasić światło i ukryć się.

W pięć minut później byliśmy już w drodze. Dążyliśmy do ciemnych szpalerów, śród smętnego świstu wichru jesiennego i szelestu spadających liści. Powietrze nocne przesiąknięte było wilgocią i wonią zgnilizny. Od czasu do czasu księżyc wyglądał z za chmur, pędzących po niebie, a gdy doszliśmy do moczarów, zaczął padać drobny deszczyk. Światło płonęło jeszcze.

— Czy masz pan broń? — spytałem.

— Mam nóż myśliwski.

— Musimy zaskoczyć go znienacka, bo mówią, że nie cofa się przed niczem. Trzeba go schwytać i obezwładnić, zanim zdąży stawić opór.

— Słuchajno, Watsonie, coby też Holmes powiedział, gdyby nas tak widział? — spytał baronet. — W owej nocnej godzinie, kiedy panuje moc złego ducha?

Jakby w odpowiedzi na te słowa, śród wielkiego pustkowia moczarów powstał ów krzyk osobliwy, który już raz dobiegł moich uszu na skraju rozległego trzęsawiska Grimpeńskiego. Niesiony wiatrem, przerywał ciszę nocną i szedł ku nam: zrazu przeciągły pomruk, potem przeraźliwe warczenie, które skonało w żałosnym skowycie. I powtórzył się kilkakrotnie przerażający, dziki, groźny, wstrząsając całą atmosferą.

Baronet schwycił mnie za rękaw — pomimo ciemności widziałem, że był blady jak chusta.

— Na Boga żywego, co to jest, Watsonie?

— Nie wiem. To jakiś odgłos, częsty podobno śród moczarów. Już go raz słyszałem.

Krzyk skonał i dokoła nas zaległa grobowa cisza. Staliśmy, wytężając słuch, ale żaden dźwięk nie dobiegł nas już z pustkowia.

— Watsonie, — odezwał się baronet — to było wycie psa.

Krew ścięła mi się lodem w żyłach, bo głos jego załamał się, jakby pod wpływem nagłego przerażenia.

— Jak oni nazywają ten odgłos? — spytał.

— Kto?

— Lud okoliczny.

— Ach, to zabobonni wieśniacy. Co pana to obchodzi, jakiem mianem go określają?

— Powiedz mi pan jednak ...co mówią?

Zawahałem się. Nie mogłem wszakże pominąć tego pytania.

— Mówią, że to wycie psa Baskerville'ów.

Sir Henryk westchnął głęboko i milczał przez długą chwilę.

— Tak, to był pies — odezwał się wreszcie — ale zdawało się, że odgłos przychodzi z odległości kilku mil, z tamtej strony.

— Trudno określić kierunek, z jakiego dobiegał.

— Wzmagał się i słabnął wraz z podmuchem wiatru. Czy nie szedł stamtąd, od strony wielkiego trzęsawiska Grimpeńskiego?

— Tak, w tamtej stronie jest trzęsawisko.

— Z pewnością dobiegał stamtąd. Powiedzno pan szczerze, czyś sam nie myślał, że to wycie psa? Nie jestem dzieckiem. Możesz powiedzieć prawdę.

— Stapleton był ze mną, gdym usłyszał ten głos po raz pierwszy. Mówił, że to może wabienie się rzadkiego ptaka.

— Nie, nie, to był pies. Boże wielki! Czyżby istotnie było coś prawdy w tych wszystkich opowieściach? Czyżby istotnie groziło mi jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo? Czy pan w to wierzy, co?

— Nie, nie!

— A jednak inna jest rzecz śmiać się z tego w Londynie, a inna zupełnie stać tutaj w nocy, śród moczarów i słyszeć krzyk podobny. A mój stryj! Wszak obok zwłok jego dostrzeżono ślady psich łap. Wszystko to ma związek z sobą. Nie sądzę, żebym był tchórzem, ale na ten odgłos krew ścięła mi się lodem w żyłach. Dotknij pan mojej dłoni.

Była zimna jak marmur.

— Jutro śmiać się będziesz z tego.

— Wątpię: zdaje mi się, ze wiecznie to wycie słyszeć będę. Jak pan radzi: co począć teraz?

— Może wrócimy do zamku?

— Nie, do pioruna; przyszliśmy tutaj, żeby schwytać zbrodniarza i złapiemy go. Puściliśmy się w pogoń za więźniem a jakiś szatański pies za nami. Naprzód! Postawimy na swojem, choćby szatan wysyłał na moczary wszystkie piekielne duchy!

Szliśmy powoli śród ciemności, dokoła nas wznosiły się czarne, urwiste wzgórza, przed nami jaśniała żółta plama płonącego w jednym punkcie światła. Niema nic złudniejszego nad odległość światła śród ciemnej nocy; niekiedy zdawało się, że blask świeci gdzieś daleko na widnokręgu, to znów, że jaśnieje na kilka metrów przed nami.

W końcu jednak dostrzegliśmy, gdzie świeci, a byliśmy już wtedy bardzo blisko. W szczelinie skały, osłaniającej ją z obu stron od wiatru i zapobiegającej zarazem, żeby była widoczna skądinąd, prócz z zamku Baskerville — stała świeca. Zrąb skały zasłaniał nas; skuleni, wysunęliśmy głowy i patrzyliśmy na ten sygnał świetlny. Szczególne wrażenie robiła ta świeczka, paląca się śród moczarów, bez znaku życia w pobliżu — nic, prócz tego żółtego płomyka i blasku, jaki rzucał na skały po bokach.

— Co teraz poczniemy? — szepnął sir Henryk.

— Będziemy czekali. Musi on być gdzieś w pobliżu światła. Może go spostrzeżemy.

Zaledwie wymówiłem te słowa, ujrzeliśmy go obaj. Ponad szczeliną w skałach, gdzie płonęła świeca, wysunęła się twarz straszna, zwierzęca, zorana najdzikszemi namiętnościami, żółta, ohydna. Obryzgana błotem, okolona rozwichrzonym zarostem i długiemi poczochranemi włosami, mogła uchodzić za oblicze jednego z tych przedhistorycznych ludzi, którzy zamieszkiwali jaskinie na stokach pagórków.

Światło, stojące poniżej, odbijało się w małych, chytrych oczach, które rozglądały się gorączkowo dokoła, usiłując przeniknąć zalegające ciemności, jak ślepie przebiegłego, dzikiego zwierza, gdy je dobiegnie odgłos kroku myśliwych.

Widocznie coś obudziło podejrzenie zbrodniarza. Może Barrymore dawał mu jeszcze jakiś umówiony a nam nieznany sygnał, może miał inny powód przypuszczać, iż grozi mu niebezpieczeństwo, dość, że dostrzegłem wyraz trwogi na jego wstrętnej twarzy.

Lada chwila mógł cofnąć się z koła świetlnego i zniknąć w ciemnościach. Skoczyłem tedy naprzód a sir Henryk za mną. Zbrodniarz rzucił nam straszne przekleństwo i cisnął w nas kamieniem, który roztrzaskał się o zasłaniającą nas skałę.

Przez jedno mgnienie widziałem wyraźnie przysadzistą, barczystą, silną postać zbrodniarza, gdy zerwał się na równe nogi i zabierał do ucieczki. Na szczęście, w tejże chwili księżyc wysunął się z za chmur. Wbiegliśmy na grzbiet pagórka, a nasz przestępca już pędził z szaloną szybkością na dół z urwistego stoku, przeskakując przez kamienie ze zwinnością kozicy.

Mógłbym go położyć jednym celnym wystrzałem z rewolweru, ale zabrałem broń ze sobą tylko dla obrony własnej w razie napadu, nie zaś po to, żeby zabijać człowieka bezbronnego, który uciekał.

Obaj z sir Henrykiem jesteśmy wprawnymi i doskonale trenowanymi szybkobiegaczami, ale niebawem przyszliśmy do przekonania, że nie dogonimy zbiega. Widzieliśmy go długo w świetle księżyca, aż w końcu wydał nam się już tylko małym punktem, sunącym szybko między głazami na stoku odległego pagórka. Biegliśmy, dopóki nam tchu starczyło, lecz rozdzielała nas coraz większa przestrzeń. W końcu stanęliśmy i usiedli, zadyszani, na odłamkach skały, skąd patrzyliśmy za znikającym w dali zbiegiem.

W tej to chwili zdarzyła się rzecz niesłychana i niespodziewana. Powstaliśmy ze skał i zabieraliśmy się do odwrotu, zaniechawszy bezskutecznej pogoni. Z prawej strony księżyc stał

nisko, a zębaty szczyt skały zasłaniał dolną część srebrzystej tarczy. I tam, na tym szczycie, ujrzałem nagle postać mężczyzny, odcinającą się jak posąg hebanowy na tle świetlanem. Nie sądź, Holmesie, że to było złudzenie. Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie widziałem nic tak wyraźnie. O ile mogłem zauważyć, była to postać mężczyzny wysokiego, szczupłego. Stał ze skrzyżowanemi rękoma i głową pochyloną, jakgdyby w zadumie nad tem bezbrzeżnem pustkowiem, które rozścielało się przed nim.

Mógł to być duch bagna... W każdym razie nie był to zbiegły więzień; postać tajemnicza ukazała się daleko od miejsca, w którem Selden znikł nam z oczu, i była od więźnia znacznie wyższa.

Ze stłumionym okrzykiem wskazałem ją baronetowi, lecz przez tę chwilę, kiedy odwróciłem się, by go schwytać za ramię, ów mężczyzna zniknął.

Grzbiet skały zakrywał, jak poprzednio, niższą część tarczy księżycowej, ale na szczycie nie było już śladu milczącej, nieruchomej postaci.

Chciałem podążyć w tamtą stronę i przeszukać urwisko, ale droga była daleka. Nadto baronet nie miał ochoty szukać nowych przygód, był jeszcze zanadto pod wrażeniem straszliwego krzyku, który mu przypomniał ponure dzieje rodziny. Nie widział owej postaci na szczycie skały, nie doznał zatem tego wstrząśnienia, jakiemu ja uległem na widok szczególnego zjawiska i imponującej postawy mężczyzny.

— To niewątpliwie żołnierz na warcie. Pełno ich na moczarach od czasu, gdy Selden umknął z więzienia — mówił.

Może być, iż wyjaśnienie baroneta jest trafne, niemniej jednak radbym mieć jakie dowody.

Dzisiaj zamierzamy donieść zarządowi więzienia Princetown, gdzie należy szukać zbiega; szkoda wielka, że nie udało nam się schwytać go i odstawić do więzienia, jako naszego jeńca.

Takie są przygody ostatniej nocy i musisz przyznać, mój drogi, że przesyłam ci raport nielada. Zawiera on wprawdzie sporo szczegółów bez znaczenia, wszelako sądzę, iż lepiej będzie, gdy Ci zawsze opiszę wszystko, co zaszło, a Ty sam wybierzesz te fakty, które Ci dopomogą do wysnucia wniosków.

Nie ulega wątpliwości, że postępujemy. Co się tyczy Barrymore'ów, wykryliśmy pobudki ich postępowania, co przyczyniło się niemało do wyjaśnienia sytuacji. Ale moczary ze swemi tajemnicami i osobliwymi mieszkańcami pozostają dotąd niedostępne i niezbadane.

Może w następnym liście będę mógł przesłać Ci jakie wyjaśniające szczegóły. Najlepiej byłoby, gdybyś mógł sam przyjechać do nas.

X.

WYJĄTEK Z DZIENNIKA DRA WATSONA.

Dotąd mogłem się posiłkować raportami, które wysyłałem do Sherlocka Holmesa. Teraz wszelako dobiegłem w opowieści swojej do punktu, w którym zmuszony jestem zaniechać tej metody i zaufać znów własnym wspomnieniom, przy pomocy dziennika, jaki wówczas prowadziłem. Kilka wyjątków z tego dziennika przypomni mi szczegóły owych scen, wyrytych w mej pamięci niezatartemi zgłoskami. Powracam tedy do ranka nazajutrz po naszym nieudanym pościgu więźnia i po innych szczególnych przygodach śród moczarów.

16 października.

Dzień posępny, mglisty, drobny deszczyk pada nieustannie. Cały zamek jakby spowity w chmury, które unoszą się od czasu do czasu, a z poza nich widać falistą równinę moczarów, cienkie, srebrzyste pasemka przygodnych, z deszczu powstałych, strumyków, które spływają ze stoków wzgórz, i odległe głazy, lśniące, gdy światło padnie na ich wilgotną powierzchnię.

Smutno i ponuro — w zamku i na świecie.

Baronet teraz dopiero odczuwa całą moc wzruszeń, doznanych w nocy. Mnie samemu ciężar jakiś serce przytłacza i ogarnia mnie świadomość grożącego nieustannie niebezpieczeństwa, tem straszniejszego, że nie jestem w stanie go określić. A czyż nie mam słusznego powodu do obaw, zważywszy długi szereg wypadków, wskazujących, że ściga nas jakaś moc szatańska? A śmierć ostatniego pana zamku, taka zgodna z treścią legendy rodzinnej, opowieści chłopów o ukazywaniu się jakiegoś piekielnego zwierzęcia na moczarach? Wszak słyszałem na własne uszy odgłos podobny do odległego szczekania psa.

Niepodobna przecież, żeby istotnie działała tu jakaś siła nadprzyrodzona, wybiegająca po za zwykłe prawa natury. Wszak nie można przypuścić, żeby istniał jakiś pies legendowy, któryby pozostawił widoczne ślady łap swoich i przepełniał powietrze swojem wyciem. Stapleton może mieć takie zabobony, może w to wierzyć i Mortimer. Ale co do mnie, pochlebiam sobie, że posiadam jedną zaletę — zdrowy rozsądek, i nic na świecie nie zniewoli mnie do uwierzenia w taką bajkę. Gdybym uwierzył, zniżyłbym się do poziomu tych biednych chłopów, którzy nie zadawalają się samem istnieniem owego psa szatańskiego, ale jeszcze opowiadają, że zieje ze ślepiów i z pyska ogniem piekielnym.

Holmes nie dawałby wiary takim bredniom, ja zaś jestem jego pomocnikiem. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem, a ja dwa razy słyszałem ów krzyk na moczarach.

Przypuśćmy, że włóczy się tam istotnie jakiś pies olbrzymi; wyjaśniłoby to wszystko. Ale

gdzież ukrywałby się pies taki, skąd brałby pożywienie; skąd się wziął i dlaczego nikt go nie widuje we dnie? Przyznać trzeba, że naturalne wyjaśnienie tych faktów przedstawia niemal takie same trudności, jak przypuszczanie jakiegoś wpływu nadprzyrodzonego.

A jednak, pominąwszy psa, pozostaje nam zawsze fakt działania ludzkiego w Londynie — ów człowiek w dorożce i list, ostrzegający sir Henryka przed moczarami. Te fakty nie przekraczają stanowczo dziedziny rzeczywistości, ale mogły być zarówno dziełem troskliwego przyjaciela, jak i wroga.

Gdzież jest teraz ten wróg, czy przyjaciel? Pozostał w Londynie, czy też przybył tu za nami? Mógłżeby to być ów mężczyzna, którego widziałem na szczycie skały?

Prawda, że widziałem go przez chwilę, że zdążyłem rzucić na niego tylko jedno spojrzenie, niemniej jednak przysiągłbym, że go tu jeszcze nie spotkałem, a znam już teraz wszystkich sąsiadów. Postać owa była o wiele wyższa od Stapletona i daleko szczuplejsza od Franklanda. Mógłby to być Barrymore, ale ten został w domu i pewien jestem, że nie poszedł za nami.

Jakiś nieznajomy zatem śledzi nas tutaj, podobnie jak nas śledził w Londynie; nie pozbyliśmy się go widocznie wcale. Gdybym mógł go schwytać, skończyłyby się nareszcie wszystkie nasze utrapienia. Wytężę całą energję, dołożę wszelkich starań i muszę celu tego dopiąć.

Zrazu chciałem zwierzyć się sir Henrykowi z powziętych zamiarów. Po namyśle jednak postanowiłem działać na własną rękę i mówić jak-

najmniej wogóle o swoich planach. Baronet jest milczący i zamyślony. Ten odgłos na moczarach rozdrażnił go w wysokim stopniu. Nie chcę tedy wzmagać jego niepokoju, ale nie zaniedbam niczego, żeby cel osiągnąć.

Dziś rano, po śniadaniu, mieliśmy małe zajście. Barrymore prosił sir Henryka o posłuchanie i rozmawiali przez czas jakiś przy zamkniętych drzwiach w jego gabinecie. Siedząc w pokoju bilardowym, słyszałem kilkakrotnie dźwięk podniesionych głosów i domyślałem się o co chodzi. Po chwili baronet otworzył drzwi i wezwał mnie.

— Barrymore ma do nas urazę — rzekł. — Zdaje mu się, że postąpiliśmy nielojalnie, ścigając jego szwagra, skoro on zaufał nam i z własnej woli powierzył tajemnicę jego pobytu.

Kamerdyner stał przed nami bardzo blady, lecz bardzo spokojny; widocznie już się pohamował.

— Uniosłem się może, panie, — rzekł — a w takim razie proszę usilnie, niechaj mi pan wybaczy. Niemniej byłem bardzo zdumiony, usłyszawszy, że panowie wracają nad ranem i dowiedziawszy się, że panowie ścigali Seldena. Nieborak ma już dosyć biedy, by się ukryć przed tymi, co go szukają, nie powinienem zatem powiększać liczby jego naganiaczy.

— Gdybyś był zwierzył się sam dobrowolnie, to rzecz inna — odparł baronet. — Ale powiedziałeś nam, a raczej powiedziała twoja żona, pod naciskiem, kiedy nie było dla was już innego punktu wyjścia.

— Nie przypuszczałem, że pan z tego skorzysta... doprawdy, nie przypuszczałem.

— Ten człowiek jest niebezpieczny dla całej okolicy. Na moczarach stoją domy odosobnione, a Selden nie cofnie się przed niczem. Dość spojrzeć na niego, by się o tem przekonać. Weź na przykład dom pana Stapletona: kto go obroni? On sam jeden tylko. Nikt nie będzie bezpieczny, dopóki Selden nie znajdzie się znów pod kluczem.

— On nie wtargnie do żadnego domu, panie. Zaręczam słowem honoru. Nigdy też już nie napadnie na nikogo w okolicy. Zapewniam pana, że za kilka dni przedsięwzięte będą odpowiednie kroki, żeby go wysłać do Ameryki południowej. Na Boga, panie, błagam, niech pan nie zawiadamia policji, że Selden jest jeszcze na moczarach. Zaniechali już pościgu w tamtych stronach i może się tam ukrywać, dopóki okręt nie odpłynie. Jeśli pan go wyda, będziemy mieli oboje z żoną straszne przykrości. Błagam pana, niech pan nie daje znać policji.

— A cóż pan na to? — zwrócił się baronet do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

— Gdyby się wyniósł z kraju, ulżyłby ciężaru płacącym podatki.

— Ale jak przeszkodzić temu, żeby przed wyjazdem nie dopuścił się jeszcze jakiej zbrodni?

— Nie popełni takiego szaleństwa, panie. Zaopatrzyliśmy go we wszystko. Gdyby popełnił teraz jakie przestępstwo, zdradziłby swą kryjówkę.

— I to racja — rzekł sir Henryk. — Niechże tak będzie, Barrymore...

— Niechaj panu Bóg to wynagrodzi; dziękuję z całego serca! Moja żona nie przeżyłaby, gdyby go powtórnie schwytali.

— Ostatecznie opiekujemy się zbrodniarzem i dopomagamy mu, co, Watsonie? A skoro jest tak, jak Barrymore mówi, nie mam odwagi wydać tego człowieka... Zatem rzecz skończona. Barrymore, bądź spokojny, możesz odejść.

Kamerdyner podziękował kilku urywanemi słowami i zmierzył ku drzwiom. Naraz zawahał się i zawrócił.

— Pan był dla mnie taki dobry, że radbym z duszy się odwdzięczyć. Proszę pana, ja coś wiem i powinienem był może już to powiedzieć, ale śledztwo było dawno ukończone, kiedy to wykryłem. Nie pisnąłem słówka nikomu. Dotyczy to śmierci biednego sir Karola.

Zerwaliśmy się obaj z baronetem na równe nogi.

— Wiesz, co spowodowało jego śmierć?

— Nie, panie, tego nie wiem.

— A zatem cóż?

— Wiem, dlaczego był przy furtce o takiej późnej godzinie. Miał schadzkę z kobietą.

— Schadzkę z kobietą! On?

— Tak, panie.

— Nazwisko tej kobiety?

— Nie znam go, panie, wiem tylko pierwsze litery *L. L.*

— A ty skąd wiesz o tem?

— Stryj pański otrzymał zrana list. Odbierał zazwyczaj dużo listów, bo był człowiekiem dobroczynnym, znanym ze swego miłosierdzia, tak, że kto był w potrzebie udawał się skwapliwie do niego. Ale zdarzyło się, że tego dnia przyszedł tylko ten jeden list, tem więcej zatem zwróciłem

na niego uwagę. Miał stempel pocztowy Coombe Tracey i zaadresowany był ręką kobiecą.

— No i cóż?

— Zapomniałem o tem i, gdyby nie żona, nie byłbym sobie tego szczegółu przypomniał. Przed kilku tygodniami, porządkując gabinet sir Karola, nietknięty od jego śmierci, znalazła w głębi kominka ślady spalonego listu, widocznie podartego przed wrzuceniem w ogień; ocalał wszakże jeden skrawek papieru, na którym można było odczytać litery, choć stały się zupełnie szare a papier zczerniał. Zdawało nam się, że był to dopisek do listu; zawierał tylko te wyrazy: „Zaklinam pana na honor dżentlmena, niech pan spali list niniejszy i przyjdzie pod furtkę o godzinie 10-tej.“ Podpisany był *L. L.*

— Czy masz jeszcze ten niedopalony skrawek papieru?

— Nie, panie, zaledwie dotknęliśmy go, rozsypał się w proch.

— Czy sir Karol odbierał już kiedy przedtem listy, zaadresowane tem samem pismem?

— Nie zwracałem szczególnej uwagi na listy sir Karola; nie byłbym i tego ostatniego zauważył, gdyby nie zdarzyło się, jak już mówiłem, że tego dnia żadne inne listy nie nadeszły.

— I nie masz pojęcia kto jest *L. L.*?

— Nie, panie. Ale sądzę, że, gdyby udało nam się dojść nazwiska owej pani, dowiedzielibyśmy się niejednego szczegółu o śmierci sir Karola.

— Nie rozumiem doprawdy, dlaczego dotychczas taiłeś tak ważną wiadomość?

— Bo widzi pan, zaraz potem spadło na nas to nieszczęście z Seldenem. A zresztą byliśmy

bardzo przywiązani do sir Karola, doznaliśmy od niego tylu dobrodziejstw... Rozmazywanie tej historji nie wskrzesiłoby naszego biednego pana, a gdzie kobieta wchodzi w grę, należy zawsze postępować bardzo ostrożnie. Nawet najlepszy z nas...

— Mniemałeś, że to zaszkodzi jego dobrej sławie?

— Zdawało mi się, panie, że z tego nic dobrego wyjść nie może. Ale teraz byłbym niewdzięczny, za tyle okazanej mi przez pana dobroci, gdybym panu nie powiedział wszystkiego, co wiem w tej smutnej sprawie.

— Dobrze; możesz odejść.

Gdy kamerdyner wyszedł, sir Henryk zwrócił się ku mnie.

— No, doktorze Watsonie, co myślisz o tym nowym szczególe?

— Zdaje mi się, że bardziej jeszcze zaciemnia całą sprawę.

— I ja tak sądzę. Ale, gdybyśmy mogli wyśledzić ową *L. L.*, wyświetliłoby to wszystko. Niemniej to znów duża wygrana. Wiemy, że istnieje ktoś, który zna okoliczności, jakie poprzedzały śmierć sir Karola; gdybyśmy tylko mogli odnaleźć tę kobietę! Jak pan myśli, co teraz począć?

— Przedewszystkiem donieść to niezwłocznie Holmesowi. Szczegół ten będzie dlań kluczem do zagadki, nad której rozwiązaniem biedzi się jeszcze może. Ręczyłbym prawie, że, dowiedziawszy się o tem, przyjedzie do nas.

Poszedłem niezwłocznie do siebie i skreśliłem raport dla Holmesa o tej naszej rozmowie. Był

widocznie bardzo zajęty ostatniemi czasy, bo otrzymywałem z Baker Street nieczęste i krótkie liściki bez komentarzy do przesyłanych przezemnie wiadomości, ze wzmiankami zaledwie o mojej misji. Niewątpliwie ta sprawa szantażu pochłania go całego. A jednakże ten nowy szczegół powinien stanowczo zwrócić jego uwagę i pobudzić na nowo zajęcie dla naszej sprawy. Chciałbym, żeby był tutaj.

17 października.

Deszcz lał przez cały dzień jak z cebra, chłoszcząc liście bluszczu, wijącego się na murach zamku i spływając po szybach. Mimowoli przyszedł mi na myśl zbiegły więzień, bez dachu, na ponurych moczarach, gdzie dął wicher lodowaty Nieborak! Jakiekolwiek były jego przestępstwa, nie trzeba zapominać, że cierpiał już tyle, iż w części odpokutował za nie. A potem to wspomnienie wywołało inne — twarz dostrzeżoną w dorożce, postać na szczycie skały. Czy i on — ów nieznany opiekun, ów tajemniczy przyjaciel — był również na dworze, śród tego potopu?

Wieczorem otuliłem się w płaszcz nieprzemakalny i, z głową pełną dręczących myśli, chodziłem długo po moczarach. Deszcz smagał mnie po twarzy, wicher z przeraźliwym świstem wpadał w uszy. Niechaj Bóg ma w swojej opiece tych, którzy wchodzą teraz na trzęsawisko Grimpeńskie, bo nawet twardy grunt staje się już mokradłem.

Odnalazłem Czarny Szczyt, na którym dostrzegłem samotnego strażnika, i z tego skalistego wierzchołka rozglądałem się po pustkowiu

u swoich stóp. Strumienie wody żłobiły sobie koryto na rdzawej powierzchni równiny, a ciężkie, ołowiane chmury zawisły nisko nad krajobrazem, tworząc jakby szary wieniec dokoła pagórków fantastycznych.

Na lewo, w odległej kotlinie, nawpół ukryte we mgle, wznosiły się dwie smukłe wieże zamku Baskerville. Były to jedyne, dostrzegalne dla mnie oznaki życia ludzkiego, z wyjątkiem owych jaskini przedhistorycznych, gęsto rozsianych po stokach pagórków. Nigdzie ani śladu owego mężczyzny, którego widziałem nocy onegdajszej na tem samem miejscu.

Powracając, spotkałem doktora Mortimera, jadącego kamienistą ścieżką śród moczarów z odległego folwarku Foulmire.

Doktór okazywał nam dużo życzliwości; codziennie prawie przyjeżdżał do zamku i z zajęciem dopytywał się o szczegóły naszego trybu życia. Nalegał, bym wsiadł do powoziku, i odwiózł mnie do domu. Na wstępie oznajmił mi, że jest bardzo stroskany zniknięciem swego ulubionego wyżła. Pies poleciał na moczary i nie wrócił. Pocieszałem doktora jak mogłem, ale przypomniał mi się krzyk na trzęsawisku Grimpeńskiem; zdaje mi się, że doktór nie ujrzy więcej swego wyżła.

— Ale, ale, doktorze, — rzekłem, trzęsąc się na kamienistej drodze — przypuszczam, że mało jest tutaj w kilkomilowem promieniu dokoła osób, którychby doktór nie znał?

— Zdaje mi się, że znam chyba wszystkich.

— Czy może zatem doktór wymienić mi nazwisko i imię kobiety, zaczynające się od *L. L.*?

Doktór zamyślił się przez chwilę.

— Nie — odparł. — Jest tu wprawdzie trochę Cyganów i chłopów, których nazwisk nie znam; ale śród rodzin dzierżawców i mieszczan niema ani jednej kobiety, którąby miała takie inicjały. Chociaż, poczekaj-no pan — dodał po chwili. — Jest Laura Lyons... masz pan więc *L. L....* ale ona mieszka w Coombe Tracey.

— Któż to taki? — spytałem.

— Córka Franklanda.

— Co? tego starego fiksata Franklanda?

— Właśnie. Poślubiła artystę, nazwiskiem Lyons, który przybył tu na moczary malować studja i szkice. Okazało się, że był to jakiś łotr; porzucił ją wkrótce. O ile słyszałem jednak, nie on sam był winien. Frankland nie chciał słyszeć o córce, bo wyszła zamąż bez jego pozwolenia, a może też miał i inne przyczyny. Młoda kobieta tedy, opuszczona przez ojca i męża, nie chodzi po różach.

— Z czego ona żyje?

— Zdaje mi się, że Frankland płaci jej pensję, lecz nie może to być wiele, bo sam kiepsko stoi. Jakiekolwiek były przewinienia Laury, niepodobna było pozwolić, żeby się zmarnowała. Gdy dowiedziano się, co z nią zaszło, kilka osób dopomogło jej do zdobycia uczciwego zarobku. Stapleton, sir Karol, nawet ja, przyłożyliśmy się do tego, w miarę środków. Chcieliśmy, by założyła biuro pisania na maszynie.

Doktór chciał wiedzieć powód moich pytań, ale starałem się zadowolić jego ciekawość, nie mówiąc mu zbyt wiele, bo nie widzę potrzeby wtajemniczenia kogokolwiek w swoje zamiary. Jutro rano udam się do Coombe Tracey i, jeżeli

zdołam rozmówić się z ową panią Laurą Lyons, dwuznacznej sławy, będzie to duży krok ku wyświetleniu jednego z wypadków tego łańcucha tajemnic.

Zaczynam nabierać chytrości węża; gdy bowiem Mortimer zadał mi pytanie, na które odpowiedzieć nie chciałem, zapytałem go znienacka, do jakiego typu należy czaszka Franklanda i przez resztę jazdy mówiliśmy już tylko o frenologji. Nie darmo spędziłem tyle lat z Sherlockiem Holmesem!

Jeden tylko jeszcze, godny uwagi wypadek zaszedł w ciągu dzisiejszego ponurego, burzliwego dnia, mianowicie moja rozmowa z Barrymore'm, która dała mi ważny atut do ręki; skorzystam z niego w chwili odpowiedniej.

Mortimer został na obiedzie, poczem zasiadł z baronetem do *écarté*. Kamerdyner przyniósł mi kawę do bibljoteki, z czego skorzystałem, by mu zadać kilka pytań.

— No i cóż, — rzekłem — czy ten twój kochany szwagier już pojechał, czy też włóczy się jeszcze po moczarach?

— Nie wiem, panie. Mam nadzieję w Bogu, że sobie pojechał; skończyłaby się nasza zgryzota! Zanosiłem mu jedzenie ostatni raz przed trzema dniami i potem już nie dał znaku życia.

— A widziałeś go wtedy?

— Nie, panie; ale gdy przechodziłem tamtędy nazajutrz, jedzenia już nie było.

— Widocznie zatem przebywał tam jeszcze?

— Takby się zdawało, o ile tamten nie zabrał zapasów.

Filiżanka, którą podniosłem do ust, zatrzymała się w pół drogi; spojrzałem ze zdumieniem na Barrymore'a.

— Jakto, wiesz, że jest tam jeszcze kto inny?

— Tak, panie; jest jeszcze inny mężczyzna na moczarach.

— Widziałeś go?

— Nie, panie.

— Skądże wiesz, że jest?

— Powiedział mi to Selden przed tygodniem, a może i dawniej. I on się też ukrywa, ale to nie więzień, o ile mogę zmiarkować. Panie doktorze Watson, mnie się to wszystko nie podoba, mówię szczerze... Panie, to mi się nie podoba.

Mówił gwałtownie i z wielką powagą.

— Słuchaj, Barrymore! W tej całej sprawie obchodzi mnie tylko dobro twojego pana. Przyjechałem tutaj jedynie po to, by mu dopomóc. Powiedz mi zatem otwarcie, co ci się nie podoba?

Barrymore zawahał się przez chwilę, jakgdyby żałował poprzedniego wybuchu, lub nie umiał na razie wyrazić swoich uczuć.

— Wszystko, co się tam dzieje, panie! — zawołał wkońcu, wskazując ręką w stronę okna, wychodzącego na moczary. — W tem jest coś złego, tu się knuje jakieś podłe łotrostwo, przysięgnę! Byłbym uszczęśliwiony, panie, gdyby sir Henryk chciał powrócić do Londynu.

— Ale cóż cię tak niepokoi?

— Niech sobie pan przypomni śmierć sir Karola! Osobliwa to była śmierć, wnosząc z tego, co mówił sędzia śledczy. Niech pan także weźmie pod uwagę odgłosy na moczarach w nocy Niema w całej okolicy człowieka, któryby tam

poszedł po zachodzie słońca, nawet za dobrą zapłatą. A ten nieznajomy, który się ukrywa, śledząc i wyczekując! Na co on czeka? Co to znaczy? Wszystko to nie wróży nic dobrego dla nikogo, co nosi nazwisko Baskerville. Kamień spadnie mi z serca w dniu, kiedy pozbędę się tego wszystkiego, a nowa służba sir Henryka obejmie zarząd w zamku.

— Powróćmy do tego nieznajomego — rzekłem. — Czy możesz mi co o nim powiedzieć? Co mówił Selden? Czy wyśledził, gdzie się ukrywa, co robi?

— Widział go raz, czy dwa razy, ale to skryty filut i z niczem się nie zdradza. Selden myślał najpierw, że to policjant, ale wnet się przekonał, że on ma jakieś osobiste cele. O ile mój szwagier mógł dostrzec, ma powierzchowność dżentlmena, ale co robi, nie zdołał wykryć.

— A gdzie się ukrywa?

— Na stoku pagórku, śród starych siedzib... pan wie, między temi pieczarami, gdzie to dawniej ludzie żyli.

— A skąd bierze jedzenie?

— Selden wykrył, że ów jegomość ma wyrostka, który go obsługuje i przynosi mu wszystko. Zdaje mi się, że robi zakupy w Coombe Tracey.

— Dobrze, Barrymore. Pomówimy o tem jeszcze innym razem.

Gdy kamerdyner wyszedł, zbliżyłem się do okna i przez zroszone deszczem szyby patrzyłem na pędzące po niebie chmury, na słaniające się pod podmuchem wichru wierzchołki drzew. Ciężka to była noc dla człowieka w wygodnym,

ciepłym pokoju, a cóż dopiero dla takiego, którego schronieniem była pieczara na moczarach!

Jakże potężna musiała być nienawiść, zniewalająca człowieka do czatowania w takiem miejscu, w noc podobną! Jak niesłychanej wagi przyczyna, domagająca się takiej ofiary!

Tam zatem, w pieczarze na moczarach, znajduje się główne rozwiązanie zagadki, która mnie tak gnębi. Przysięgam, że, zanim minie doba, zrobię wszystko, co tylko w mocy ludzkiej, by dotrzeć do jądra tajemnicy.

XI.

CZŁOWIEK Z CZARNEGO SZCZYTU.

Wyciąg z mojego dziennika osobistego, stanowiący ostatni rozdział, doprowadził opowieść moją do 18-go października, t. j. do daty, od której osobliwe wypadki zaczęły szybszym biegiem zmierzać do strasznego rozwiązania. Zajścia dni następnych wyryły się niezatartemi głoskami w mej pamięci, tak, że mogę je powtórzyć, nie uciekając się do pomocy spisanych wówczas notatek.

Powracam tedy do dnia, w którym udało mi się stwierdzić dwa fakty niezmiernej wagi: że pani Laura Lyons z Coombe Tracey pisała do sir Karola Baskerville'a i wyznaczyła mu schadzkę w tem samem miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go śmierć zaskoczyła; nadto, że owego czatującego na moczarach mężczyznę można znaleźć śród pieczar na stoku pagórka. Mając już w ręku takie dwa fakty, czułem, że jeśli nie zdołam rzucić dalszego światła na tę sprawę, będzie to dowodem braku inteligencji lub odwagi z mojej strony.

Poprzedniego wieczora nie miałem sposobności powiedzieć baronetowi, jakich szczegółów do-

wiedziałem się o pani Lyons, doktór Mortimer bowiem grał z nim w karty do późnej nocy. Przy śniadaniu wszakże zawiadomiłem go o swojem odkryciu i spytałem, czy zechce towarzyszyć mi do Coombe Tracey.

Zrazu zapalił się do tej wycieczki, a po namyśle uznaliśmy obaj, że, jeśli pojadę sam, wyniki wyprawy mogą być lepsze. Im formalniejsze będą odwiedziny, tem mniej z pewnością się dowiemy. Zostawiłem tedy sir Henryka w domu, nie bez wyrzutów sumienia, i wyruszyłem w drogę.

Przybywszy do Coombe Tracey, kazałem Perkinsowi wyprządz konie i rozpocząłem pytać o ową panią, którą wybadać miałem. Nietrudno mi przyszło znaleźć ją — mieszkała na głównej ulicy, w bardzo przyzwoitym lokalu.

Służąca wpuściła mnie bez ceremonji, a gdy wszedłem do pokoju, pani, siedząca przy maszynie Remingtona, zerwała się z uprzejmym uśmiechem. Spostrzegłszy wszakże, iż przybyszem jest nieznajomy, zasępiła się, usiadła na miejscu i spytała mnie o powód odwiedzin.

Na pierwszy rzut oka pani Lyons robiła wrażenie niezwykle pięknej kobiety. Oczy i włosy jej miały jednaką barwę kasztanu o gorących blaskach, twarz, zlekka piegowata, o żywej cerze brunetki, jaśniała rumieńcem takiego delikatnego odcienia, jak zaróżowione płatki wewnętrzne róży herbacianej. Zachwyt tedy, powtarzam, był pierwszem, doznanem na jej widok, wrażeniem.

Lecz niebawem budził się krytycyzm. Była w tem obliczu jakaś subtelna wada — pospolity

wyraz, a może surowe spojrzenie, skrzywienie ust, które psuło doskonałą piękność rysów. Ale te uwagi nasuwały się później. W danej chwili miałem świadomość, że stoję wobec bardzo pięknej kobiety i że ona mnie pyta o powód odwiedzin. Teraz dopiero zrozumiałem, jak delikatnej podjąłem się misji.

— Mam przyjemność — zacząłem — znać ojca pani.

Ten wstęp był niezręczny i pani Lyons dała mi to niezwłocznie uczuć.

— Między ojcem moim a mną — rzekła — niema nic wspólnego. Nic mu nie zawdzięczam, a jego przyjaciele nie są moimi. Ojciec tak dbał o mnie, że, gdyby nie nieboszczyk sir Karol Baskerville, oraz kilku innych zacnych ludzi, umarłabym z głodu.

— Przyszedłem do pani właśnie w sprawie nieboszczyka sir Karola Baskerville'a.

Piegi na twarzy pani Lyons wystąpiły wyraźniej.

— Cóż ja mogę panu o nim powiedzieć? — spytała, a palce jej przebiegały nerwowo po klawiszach maszyny do pisania.

— Wszak pani go znała?

— Mówiłam już, że zawdzięczam dużo jego dobroci. Jeśli jestem w stanie się utrzymać, winnam to w znacznej części zajęciu, jakie okazywał dla mego nieszczęśliwego położenia.

— Czy pani pisywała do niego?

Spojrzała na mnie z błyskiem gniewu w pięknych oczach.

— Jaki cel tych pytań? — rzekła ostrym tonem.

— Jaki cel? Uniknięcie skandalu publicznego. Lepiej, że ja zadam pani tutaj te pytania, niż żeby sprawa, która mnie tu sprowadza, stała się głośna.

Blada bardzo siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu spojrzała na mnie wyzywająco.

— Dobrze, odpowiem — rzekła. — Co pan chce wiedzieć?

— Czy pani pisywała do sir Karola?

— Oczywiście... raz, czy dwa razy, żeby mu podziękować za jego delikatność i wspaniałomyślność.

— Czy pamięta pani datę tych listów?

— Nie.

— Czy pani się z nim widywała?

— Parę razy, gdy przyjeżdżał do Coombe Tracey. Sir Karol był człowiekiem skromnym i dla swych dobrych uczynków nie szukał rozgłosu.

— Ale, jeśli pani widywała się z nim tak rzadko i tak rzadko do niego pisywała, jakże się to stało, że znał tak dalece położenie pani, iż mógł przyjść jej z pomocą?

Na ten mój zarzut odpowiedziała bardzo skwapliwie:

— Kilku panów znajomych wiedziało o mojem nieszczęściu, porozumieli się zatem, by mi dopomóc. Jednym z nich był p. Stapleton, sąsiad i bliski przyjaciel sir Karola, człowiek niezmiernej dobroci. Od niego to sir Karol dowiedział się o mojem położeniu.

Wiedziałem już, że w kilku wypadkach zmarły pan Baskerville używał pośrednictwa Stapletona do rozdawania zapomóg; objaśnienie pani Laury miało zatem cechę prawdy.

— Czy pani pisała kiedykolwiek do sir Karola, wyznaczając mu schadzkę?

Twarz pani Lyons oblała się znów rumieńcem gniewu.

— Zadaje mi pan, doprawdy, osobliwe pytanie.

— Przykro mi bardzo, ale muszę je powtórzyć.

— Odpowiem tedy: oczywiście nie.

— Nawet w dniu śmierci sir Karola?

Rumieniec znikł z oblicza młodej kobiety i ustąpił miejsca śmiertelnej bladości. Suche jej wargi poruszyły się, nie mogąc wymówić wyrazu: „Nie“, który dostrzegłem raczej, niż dosłyszałem.

— Pamięć zawodzi panią niewątpliwie, — rzekłem. — Mógłbym nawet przytoczyć urywek z listu pani: „Zaklinam pana na honor dżentlmena, niech pan spali list niniejszy i przyjdzie pod furtkę o godzinie 10-ej.“

Myślałem, że pani Lyons zemdleje — ale wysiłkiem woli zapanowała nad wzruszeniem.

— Czy niema na świecie honorowego mężczyzny? — rzekła z trudnością.

— Jest pani niesprawiedliwa dla sir Karola. Spalił list pani. Ale niekiedy list, chociaż spalony, pozostaje czytelny. A więc przyznaje się pani do napisania tego listu?

— Tak, pisałam ów list! — zawołała i, folgując sercu w potoku wyrazów, dodała: — Napisałam go. Czemu mam zaprzeczać? Nie mam powodu wstydzić się tego listu. Zdawało mi się, że, gdybym mogła się z nim rozmówić, przyszedłby mi z pomocą; prosiłam go tedy o schadzkę.

— Ale dlaczego o takiej godzinie?

— Dlatego, że dowiedziałam się właśnie, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i nie powróci, aż za kilka miesięcy, a miałam powody, dla których wcześniej pójść nie mogłam.

— Ale dlaczego wyznaczyła pani schadzkę w ogrodzie, zamiast pójść do niego do domu?

— Czy pan sądzi, że wypada kobiecie chodzić samej o tej godzinie do kawalera?

— I cóż zaszło podczas owej schadzki?

— Nie poszłam wcale.

— Pani!

— Nie, przysięgam panu na wszystko, co mam najświętszego. Nie poszłam. Przeszkodziło mi zajście niespodziewane.

— Jakie zajście?

— To sprawa zupełnie prywatna. Nie mogę powiedzieć.

— Przyznaje pani zatem, że wyznaczyła schadzkę sir Karolowi w tem samem miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go śmierć zaskoczyła, a zapiera się pani, że na tę schadzkę przybyła?

— Bo to prawda.

Powracałem kilkakrotnie do tego przedmiotu, ale nie mogłem nic więcej wydostać od pani Lyons.

— Bierze pani na siebie bardzo dużą odpowiedzialność i stawia się pani w bardzo fałszywem położeniu, nie wyznając otwarcie wszystkiego — rzekłem, wstając, by zakończyć tę długą i bezużyteczną wizytę. — Jeśli mnie pani zmusi do wezwania pomocy policji, przekona się, pani, do jakiego stopnia będzie skompromito-

wana. Jeśli pani jest niewinna, dlaczegoż zaprzeczałaś zrazu, że pisałaś tego dnia do sir Karola?

— Bo obawiałam się, żeby nie wysnuwano stąd jakich fałszywych wniosków i żebym nie została wplątana w skandal.

— A dlaczego nalegała pani tak usilnie, żeby sir Karol zniszczył list?

— Skoro pan czytał list, powinien pan wiedzieć dlaczego.

— Nie powiedziałem pani, że czytałem cały list.

— Wszak przytoczył pan urywek.

— Przytoczyłem dopisek. List, jak powiedziałem, był spalony i nie cały czytelny. Pytam panią raz jeszcze, dlaczego nalegałaś tak usilnie na sir Karola, żeby spalił list, który otrzymał w dniu śmierci?

— Z pobudek natury bardzo poufnej.

— Tembardziej powinna pani unikać badania publicznego.

— A więc powiem panu. Jeśli pan słyszał co o mojej niedoli, wie pan zatem, iż byłam bardzo nierozważna w wyborze męża i ciężko za to odpokutowałam.

— Słyszałem o tem.

— Życie moje było jednem nieustającem prześladowaniem ze strony męża, którego nienawidzę. Prawo jest za nim i on może lada dzień zmusić mnie do powrotu pod dach małżeński. Wtedy, kiedy pisałam do sir Karola, dowiedziałam się, iż mogłabym mieć widoki odzyskania wolności, gdybym poniosła pewne koszta. Chodziło tu o dolę całego mojego życia, o spokój,

11*

szczęście, szacunek dla samej siebie, słowem o wszystko. Znana mi była wspaniałomyślność sir Karola i pomyślałam sobie, że, gdyby usłyszał te szczegóły z moich własnych ust, dopomógłby mi.

— Dlaczegóż więc pani nie poszła?

— Dlatego, że otrzymałam tymczasem pomoc z innego źródła.

— Dlaczego tedy nie zawiadomiła pani o tem sir Karola?

— Byłabym to uczyniła, ale wyczytałam nazajutrz rano w dzienniku wieść o jego śmierci.

Wszystko, co pani Lyons mówiła, miało związek i wydało się prawdopodobne, a wszelkie moje pytania nie zdołały jej zniewolić do dalszych wyznań. Pozostało mi tedy jeszcze tylko sprawdzić, czy istotnie przedsięwzięła kroki rozwodowe przeciw mężowi w tym samym czasie, kiedy rozegrała się tragedja śmierci sir Karola. Nie ośmieliłaby się chyba powiedzieć, że nie była w Baskerville Hall; gdyby rzecz miała się inaczej, musiałaby tam jechać i mogłaby powrócić do Coombe Tracey dopiero nazajutrz wczesnym rankiem. Taka wycieczka nie utrzymałaby się w tajemnicy. Prawdopodobnie zatem mówiła prawdę, albo przynajmniej część prawdy.

Wyszedłem od pani Lyons zgnębiony i zniechęcony. Spotkałem się znów z owym nieprzeniknionym murem, wznoszącym się na każdej ścieżce, którą usiłowałem dotrzeć do celu. A jednak, im bardziej zastanawiałem się nad twarzą tej kobiety i nad jej obejściem, tem silniej czułem, że ukrywa coś przedemną.

Dlaczego tak zbladła? Dlaczego musiałem przemocą wydobyć od niej każde wyjaśnienie? Dlaczego przemilczała uparcie szczegóły, dotyczące samej tragedji? Wyświetlenie tego wszystkiego wykaże z pewnością, że nie jest taka niewinna, za jaką chciała uchodzić przedemną. Narazie jednak dalsze śledztwo w tym kierunku byłoby bezskuteczne; należało tedy zabrać się do tej zagadki, której rozwiązania szukać trzeba było śród pieczar na moczarach.

Wskazówki, jakie mi dał Barrymore, były bardzo niedokładne. Uprzytomniałem to sobie w drodze do domu, na widok łańcucha pagórków, z których każdy wykazywał ślady prastarych siedzib ludzkich.

Kamerdyner powiedział mi tylko, że nieznajomy przebywa w jednej z tych opuszczonych pieczar, a setki ich były rozsiane wzdłuż i wszerz moczarów. Miałem wszakże własny punkt oparcia w poszukiwaniach od chwili, kiedy dostrzegłem owego mężczyznę, stojącego na Czarnym Szczycie. Tam zatem będzie punkt środkowy mojego działania. Stamtąd będę przeszukiwał kolejno wszystkie pieczary na moczarach, dopóki nie znajdę właściwej.

A gdy spotkam w niej owego mężczyznę, zdołam, przy pomocy rewolweru, zmusić go do wyznania kim jest i dlaczego szpiegował nas tak długo. Mógł nam się wymknąć śród tłumu na ulicy Regenta, ale tu, na tem pustkowiu, już mu się to nie uda.

Jeżeli zaś odnajdę pieczarę, a mieszkańca w niej nie będzie, pozostanę w niej dopóty, dopóki nie powróci. Holmes nie zdołał go schwytać

w Londynie. Co za triumf dla mnie, gdybym zwyciężył tam, gdzie mój mistrz poniósł porażkę.

Los był nam dotąd ciągle przeciwny w naszych poszukiwaniach, lecz teraz nareszcie zaczynał mi sprzyjać. A zwiastun pomyślnego zwrotu ukazał się w postaci pana Franklanda, który stał przed furtką swego ogrodu, wychodzącą na gościniec.

— Dzień dobry, doktorze Watson, — zawołał, a czerwona twarz jego, okolona siwemi faworytami, promieniała wyrazem niezwykle dobrego humoru, — konie pana muszą wypocząć, a pan wstąpi do mnie na kieliszek wina... może mi pan też powinszować.

Nie żywiłem dla niego bynajmniej przyjaznych uczuć od chwili, gdy się dowiedziałem, jak postępuje z córką, ale pilno mi było odesłać Perkinsa i powozik do domu, a sposobność nastręczała się doskonale. Wysiadłem tedy i kazałem przez stangreta powiedzieć sir Henrykowi, że wrócę na obiad, poczem wszedłem z Franklandem do jadalni.

— Wielki dzień dziś dla mnie, jeden z tych, które podkreślać należy w kalendarzu ołówkiem czerwonym — mówił chichocząc. — Odniosłem zwycięstwo podwójne. Nauczę ja ich tu wszystkich, że prawo jest prawem i że istnieje człowiek, który się nie obawia na nie powołać. Stwierdziłem, że mamy prawo do przeprowadzenia drogi publicznej przez sam środek parku starego Middletona, o jakie sto metrów od głównej bramy jego domu. Cóż pan na to? Nauczymy tych magnatów, że niezawsze wolno im tratować kopytami końskiemi prawa wieśniaków! Nadto ogrodziłem i zamknąłem lasek,

gdzie mieszkańcy Fernworth urządzają zazwyczaj pikniki. Te przeklęte durnie myślą, że nie istnieje wcale prawo własności i że mogą wszędzie rozkładać się z zatłuszczonemi papierami i butelkami. Sąd zawyrokował już w obu sprawach, i doktorze Watsonie, w obu na moją korzyść. Takiego dobrego dnia nie miałem od czasu, gdy, z mojego powództwa, sir Jan Mortland został skazany za wykroczenie przeciw prawu, bo polował we własnej królikarni!

— W jaki sposób, u licha, pan to przeprowadził.

— Przejrzyj pan akta sądowe. Opłaci się przeczytać... Frankland przeciw Mortlandowi, sąd ławy królewskiej. Kosztowało mnie to 200 f. st., ale dostałem wyrok!

— Czy przyniosło to panu jaką korzyść?

— Nie, panie, żadnej. Dumny jestem z tego, że nie kierował mną interes osobisty. Działam zawsze w poczuciu obowiązku obywatelskiego. Nie wątpię naprzykład, iż mieszkańcy Fernworth spalą mnie dziś wieczorem *in effigie*. Gdy ostatni raz urządzali podobną szopkę, powiedziałem policji, że powinna zabronić takich wybryków. Stan policji w całem hrabstwie jest wprost skandaliczny; pomimo, że wezwałem jej pomocy, nie dała mi tej opieki, do jakiej mam prawo. Sprawa Frankland przeciw Królowej zwróci na te stosunki uwagę publiczną. Powiedziałem im, że pożałują jeszcze kiedy swego postępowania ze mną, a przepowiednia moja zaczyna się już sprawdzać.

— A to w jaki sposób? — spytałem.

Twarz starego manjaka przybrała wyraz tajemniczy.

— Bo mógłbym im powiedzieć to, co wszelkiemi środkami usiłują teraz wykryć; ale nic mnie nie zniewoli do przyjścia w pomoc tym łajdakom.

Od chwili już szukałem wymówki, którąby mi pozwoliła uwolnić się od tej paplaniny, ale teraz nagle zapragnąłem słuchać jej dalej. Znałem o tyle przekorną naturę Franklanda, że wiedziałem, iż lada wyraźniejsza oznaka zajęcia byłaby najpewniejszym sposobem powstrzymania jego wynurzeń.

— Wykrył pan jakiego kłusownika, co? — zapytałem obojętnie.

— Ho, ho! mój panie, to sprawa daleko ważniejsza! A co pan myśli o więźniu, włóczącym się po moczarach?

Osłupiałem.

— Czyżby pan wiedział, gdzie jest? — rzekłem.

— Może nie wiem dokładnie, gdzie się ukrywa, ale jestem pewien, że mógłbym dopomódz policji do schwytania go. Czy nie wpadło panu na myśl, że najpewniejszym sposobem do wyśledzenia tego zbrodniarza byłoby wykrycie, skąd bierze pożywienie?

Oczywiście Frankland zaczynał być niepokojąco bliski prawdy.

— Niewątpliwie, — odparłem — ale skąd pan wie, że on się ukrywa na moczarach?

— Stąd, że widziałem na własne oczy posłańca, który mu nosi zapasy żywności.

Ogarnęła mnie trwoga o Barrymore'a. Niebezpieczna to sprawa znaleźć się na łasce tego złośliwego plotkarza. Po następnej uwadze Franklanda wszakże spadł mi ciężar z serca.

— Zdziwi się pan, słysząc, że dziecko przynosi mu jedzenie. Widzę je codziennie przez teleskop z dachu. Idzie tą samą ścieżką, o tej samej godzinie, a do kogóżby chodziło, jeśli nie do więźnia?

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Nie okazałem jednak najlżejszego zdumienia. Dziecko! Wszak Barrymore mi mówił, że nasz nieznajomy był obsługiwany przez wyrostka. Frankland zatem wpadł na trop owego nieznajomego, nie zaś na trop Seldena. Gdyby zechciał podzielić się ze mną swojemi wiadomościami, oszczędziłby mi dużo pracy i zachodu. Ale przedewszystkiem trzeba było udawać niedowiarstwo i obojętność.

— Sądzę, że to prędzej syn którego z pasterzy nosi obiad ojcu.

Najlżejszy pozór opozycji doprowadzał do pasji starego despotę. Spojrzał na mnie złym wzrokiem, a siwe faworyty zjeżyły się, jak sierść podrażnionego kota.

— Doprawdy? — rzekł, wskazując bezbrzeżne moczary. — Czy pan widzi Czarny Szczyt? O, tam! Dobrze; a widzi pan poza nim niski pagórek, pokryty gęstemi zaroślami? Otóż jest to najbardziej kamienista część moczarów. Czy to prawdopodobne, ażeby pasterz obierał takie miejsce dla swej trzody? Pańskie przypuszczenie jest zupełnie niedorzeczne.

Odpowiedziałem z pokorą, że mówiłem, nie znając tych wszystkich szczegółów. Uległość moja spodobała się Franklandowi i wywołała dalsze zwierzenia.

— Bądź pan pewien, że, zanim wygłoszę zdanie, muszę mieć niezbite dowody. Widziałem

niejednokrotnie chłopca, niosącego paczkę. Co dzień, a niekiedy dwa razy dziennie, mogłem... ale, poczekajno pan... Czy mnie oczy mylą, czy też istotnie porusza się coś w tej chwili na stoku pagórka?

Jakkolwiek pagórek był bardzo odległy, niemniej dostrzegłem wyraźnie mały czarny punkt na zielono-szarem tle krajobrazu.

— Pójdź pan, prędzej! — zawołał Frankland, pędząc na schody. — Zobaczysz na własne oczy i sam osądzisz.

Potężny teleskop na trójnogu stał na płaskim dachu domu. Frankland przyskoczył do lunety i wydał okrzyk radości.

— Prędko, doktorze Watsonie, prędko, zanim minie pagórek!

Istotnie, mały chłopiec, z węzełkiem na ramieniu, wchodził powoli na wzgórze. Gdy stanął na szczycie, ubogo odziana postać jego zarysowała się wyraźnie na tle błękitu nieba. Obejrzał się dokoła szybko i trwożliwie, jakby w obawie pogoni, poczem zniknął za pagórkiem.

— No i cóż? Mam słuszność?

— Oczywiście, jest tam chłopiec, który, jak się zdaje, spełnia jakieś tajemnicze polecenie.

— A nawet policjant odgadłby, jakie to polecenie. Ale nie dowiedzą się odemnie ani słówka; zobowiązuję pana również do tajemnicy. Ani słówka! Rozumie pan?

— Niech pan będzie spokojny.

— Postąpili ze mną haniebnie... haniebnie. Gdy wszystkie fakty zostaną ujawnione w procesie Frankland przeciw Królowej, dreszcz oburzenia wstrząśnie całym krajem. Nic nie zmie-

woli mnie do przyjścia w pomoc policji w jakikolwiek sposób. Policja nie posiadałaby się z radości, gdyby te łotry spalili mnie nie *in effigie*, ale we własnej osobie... Co, pan już odchodzi? O, nie, nie puszczę pana! Musisz wychylić ze mną butełczynę na cześć moich wszystkich zwycięztw!

Ale oparłem się jego naleganiom i zdołałem też odwieść go od zamiaru odprowadzenia mnie do domu. Dopóki mógł mnie dostrzec, szedłem gościńcem, poczem skręciłem szybko w bok na moczary i podążyłem ku skalistemu pagórkowi, za którym zniknął chłopiec. Los sprzyjał mi i przysiągłem sobie, że jeżeli nie uda mi się wyzyskać pomyślnego zbiegu okoliczności, nie będzie to winą braku energji i wytrwałości z mojej strony.

Słońce zachodziło już, gdy stanąłem na szczycie pagórka, a po stokach schodzących po równinie, pełzały od zachodu blaski złociste i zielonawe, gdy ze strony przeciwnej rozwłóczyły się już po nich szare cienie. Białe opary wznosiły się zwolna na krańcu widnokręgu, a z pośród nich wyłaniały się wyraźnie fantastyczne kształty Belliveru i Lisiego Szczytu.

Nic nie zakłócało ciszy rozległej równiny, nigdzie ruchu, znikąd dźwięku. Tylko duży, szary ptak, rybitwa albo kulik, szybował po błękitnem przestworzu. On i ja byliśmy jedynemi żywemi stworzeniami pomiędzy bezbrzeżnem sklepieniem nieba, a pustkowiem na ziemi. Dziki krajobraz, uczucie samotności, świadomość, że podjąłem przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne a niecierpiące zwłoki, wszystko to chłodem przeniknęło mi duszę.

Chłopca nie było nigdzie. U stóp moich, w rozpadlinie między pagórkami, stał kołem szereg owych prastarych siedzib kamiennych, a dach na jednej z nich zachował się prawie w całości, tak że mogła służyć za schronienie. Serce zabiło mi, jak młotem, gdy to dostrzegłem. Tam, w tej norze, czatował niechybnie nasz nieznajomy. Nareszcie stałem u progu jego kryjówki — lada chwila mogłem mu wydrzeć jego tajemnicę.

Przybliżywszy się do pieczary tak ostrożnie, jak Stapleton, gdy podchodzi z siatką do upatrzonego motyla, przekonałem się, że istotnie służyła za mieszkanie. Ścieżka, zaledwie utorowana, prowadziła wśród głazów do otworu, zastępującego drzwi. Wewnątrz panowała cisza. Nieznajomy czatował w ukryciu, lub też włóczył się po moczarach. W najwyższem naprężeniu nerwowem cisnąłem papierosa, objąłem dłonią rękojeść rewolweru i podszedłszy szybko do otworu, zajrzałem. Nie było nikogo.

Dostrzegłem natomiast liczne znaki, że nie wszedłem na trop fałszywy. Tu niewątpliwie mieszkał nieznajomy. Kołdry, okryte płaszczem nieprzemakalnym, leżały na tym samym wielkim głazie, gdzie mieszkaniec przedhistoryczny tej siedziby spoczywał zazwyczaj. Popiół tlił się na jakiemś pierwotnem ognisku, po za którem stały sprzęty kuchenne i ceber nawpół wodą napełniony. Szereg pustych puszek po konserwach świadczył, że siedziba była zajęta już od pewnego czasu, a gdy wzrok mój przywykł do panującego dokoła półmroku, dostrzegłem w kącie bochenek chleba i pół butelki wódki.

Na środku chaty płaski głaz zajmował miejsce stołu, na którym leżało małe zawiniątko — to samo niewątpliwie, które przez teleskop dostrzegłem na ramieniu chłopca. Zawierało świeży chleb, ozór wędzony i dwie puszki konserw z brzoskwiń. Rozejrzawszy się w zawiniątku, usiadłem, lecz w tejże chwili serce zabiło mi gwałtownie; — pod puszkę wsunięta była kartka zapisanego papieru. Schwyciłem ją i przeczytałem następujące wyrazy, skreślone ołówkiem niewprawną ręką:

„Dr. Watson pojechał do Coombe Tracey.“

Przez chwilę stałem z kartką w ręku, zastanawiając się nad znaczeniem tego lakonicznego doniesienia. A więc to mnie, nie sir Henryka, szpiegował ów tajemniczy nieznajomy! Nie śledził mnie sam, lecz wysłał za mną kogoś zaufanego — może tego wyrostka — i oto jego raport. Bardzo być może, iż od chwili przybycia w te strony byłem śledzony na każdym kroku. I znów odczułem ciężar jakiejś nieznanej siły, ogarnęła mnie świadomość, że zarzucono na nas z niesłychaną zręcznością cienką sieć, która jednak zacieśnia się dokoła nas tak lekko, że dopiero w ostatecznej chwili spostrzegamy, iż jesteśmy istotnie nią oplątani.

Jeśli był jeden raport, mogły się znaleźć i inne, zacząłem tedy rozglądać się i szukać dokoła. Nie dostrzegłem jednak nigdzie śladu żadnej kartki, ani też jakiejkolwiek wskazówki, która pozwalałaby wnioskować o charakterze lub zamiarach mieszkającego w tej osobliwej siedzibie człowieka; to jedno tylko było pewne, że musiał mieć nawyknienia spartańskie i mało dbał o wygody.

Gdy pomyślałem o ulewie dni ostatnich i spojrzałem na szerokie szpary między tworzącemi dach kamieniami, zrozumiałem, jak ważny musiał być cel, do którego zmierzał nieznajomy, i jak niezachwiane postanowienie osiągnięcia go, skoro mógł wytrwać w tak niegościnnem schronieniu.

Byłże ten człowiek naszym zaciętym wrogiem, czy też może naszym aniołem-stróżem? Przysiągłem sobie, że nie opuszczę pieczary, dopóki się nie dowiem...

Na dworze słońce zachodziło powoli, rozniecając na niebie krwawe łuny i złociste blaski, które odbijały się rdzawemi plamami w odległych kałużach wśród wielkiego trzęsawiska Grimpeńskiego. W dali widniały dwie wieże Baskerville Hallu, a za niemi słup wznoszącego się w obłoki dymu zaznaczał położenie wioski Grimpen. W środku, między zamkiem a wioską, za wzgórzem, stał dom Stapletonów.

Cała przyroda tchnęła ciszą, spokojem i niewysłowioną słodyczą. Wszelako spokój ten nie udzielił się duszy mojej, ogarnęła mnie nieokreślona trwoga przed spotkaniem, które stawało się bliższe z każdą chwilą.

W nerwowem podnieceniu, lecz niezachwiany w powziętem postanowieniu, siedziałem w ciemnym zakątku pieczary i z gorączkową niecierpliwością czekałem na przybycie jej mieszkańca.

Nakoniec usłyszałem, że nadchodzi. Zdaleka dobiegł mnie ostry odgłos buta, uderzającego o kamienie. Odgłos ten zbliżał się coraz bardziej. Cofnąłem się w najciemniejszy zakątek

i odwiodłem kurek rewolweru w kieszeni, zdecydowany nie zdradzać swej obecności, dopóki nieznajomy nie wejdzie do pieczary.

Naraz nastąpiła przerwa, dowodząca, że się zatrzymał. Poczem odgłos kroków zbliżał się ponownie i cień padł wpoprzek otworu pieczary.

— Co za cudny wieczór, kochany Watsonie — odezwał się głos dobrze mi znany. — Zdaje mi się, że będzie nam przyjemniej na dworze, niż w tej pieczarze.

XII.

ŚMIERĆ NA MOCZARACH.

Przez chwilę siedziałem osłupiały, z zapartym oddechem, nie dowierzając własnym uszom. Poczem wróciła mi przytomność i głos, a ciężar odpowiedzialności spadł mi z serca. Jeden tylko na świecie człowiek miał taki głos zimny, przenikający, ironiczny.

— Holmes! — krzyknąłem. — Holmes!

— Wyjdź-że — odezwał się — a proszę cię, tylko ostrożnie z rewolwerem.

Wyszedłem, schyliwszy się, przez otwór pieczary, i spostrzegłem swego przyjaciela, siedzącego na kamieniu; na widok mojej zdumionej twarzy szare oczy jego zabłysły uciechą.

Schudł nieco, zmęczenie odbijało się w jego rysach, ale był bardzo ożywiony, cerę miał ogorzałą od słońca, zaczerwienioną od wichru. Ubrany w garnitur szewiotowy i czapkę sukienną, wyglądał, jak zwykły turysta, zwiedzający moczary. Dbały o czystość osoby swojej, jak kot o swoje futerko — co jest jednym z jego rysów charakterystycznych — postarał się, żeby mieć podbródek taki gładki, a bieliznę takiej niepokalanej czystości, jakgdyby wyszedł ze swej gotowalni przy ulicy Baker.

— Nigdy jeszcze nie byłem równie ucieszony niczyim widokiem — rzekłem, ściskając dłoń jego.

— Ani równie zdumiony, co?

— Tak... wyznaję.

— Mogę cię zapewnić, że moje zdumienie nie ustępowało twojemu. Nie miałem pojęcia, że wyśledziłeś moją przygodną kryjówkę, a tem mniej, że w niej siedzisz, dopóki nie stanąłem o jakie dwadzieścia kroków od wejścia.

— Poznałeś ślady moich nóg, co?

— Nie, mój drogi; nie podjąłbym się rozpoznawania śladów twoich nóg wśród innych. Jeśli zechcesz kiedy ukryć się przede mną na serjo, musisz zmienić dostawcę tytoniu; bo gdy ujrzę niedopałek papierosa z firmą Bradley, ulica Oxford, wiem, że mój przyjaciel Watson jest w pobliżu. Patrz, leży tam na ścieżce. Rzuciłeś go niechybnie w uroczystej chwili wejścia do pustej pieczary.

— Jakbyś widział.

— Domyśliłem się odrazu... a znając twoją bajeczną wytrwałość, byłem przekonany, że zastanę cię tu w zasadzce, z bronią w ręku, czekającego na mieszkańca tej siedziby. Wziąłeś mnie więc za owego zbrodniarza?

— Nie wiedziałem, kim jesteś, ale byłem zdecydowany wyświetlić tę tajemnicę.

— Wyśmienicie, Watsonie! A w jaki sposób stwierdziłeś moją obecność? Dostrzegłeś mnie może owej nocy, kiedy wybraliście się w pogoń za więźniem, a kiedy ja byłem o tyle nieostrożny, że stanąłem w blasku księżyca?

— Tak jest, widziałem cię wtedy.

— I przeszukałeś niechybnie wszystkie pieczary, aż wreszcie natrafiłeś na tę tutaj?

— Nie; obserwowałem twego chłopca i to było mi wskazówką, dokąd się udać.

— Aha, ten stary jegomość z teleskopem!... Nie mogłem pokombinować, co to takiego, gdym ujrzał pierwszy raz światło odbijające się w soczewkach. — Wstał i zajrzał do pieczary. — A... widzę, że Cartwright przyniósł mi posiłek... Co to? kartka? Więc byłeś w Coombe Tracey?

— Byłem.

— U pani Laury Lyons?

— Właśnie.

— Doskonale! Poszukiwania nasze zatem biegły równoległą drogą, a gdy zestawimy osiągnięte wyniki, mam nadzieję, że będziemy bardzo bliscy całkowitego wyświetlenia sprawy.

— Rad jestem szczerze, że cię mam tu, bo dalibóg, ta odpowiedzialność i ta tajemnica zaczynały mi zanadto rozstrajać nerwy. Ale, jak się to stało, u licha, żeś tu przyjechał i coś ty tu robił? Byłem pewien, że siedzisz na ulicy Baker i mordujesz się nad tą sprawą szantażu.

— Zależało mi właśnie na tem, żebyś tak myślał.

— A więc bierzesz mnie do pomocy, ale mi nie ufasz! — zawołałem z odcieniem goryczy. — Sądzę, że nie zasłużyłem na to z twojej strony.

— Mój drogi, byłeś mi nieocenioną pomocą zarówno w tym wypadku, jak i w wielu innych, i proszę cię, żebyś mi wybaczył to pozorne podejście. Prawdę mówiąc, wszystko to stało się w części przez wzgląd na ciebie; świadomość

niebezpieczeństwa, na jakie się narażałeś, zniewoliła mnie do przybycia tutaj i zbadania położenia osobiście. Gdybym był razem z sir Henrykiem i z tobą, miałbym wspólny z wami punkt widzenia, a obecność moja ostrzegłaby naszych bardzo groźnych przeciwników i mieliby się na baczności. Tymczasem, pozostając w ukryciu, mogłem działać ze swobodą, jakiej nie miałbym nigdy, gdybym zamieszkał w zamku; stanowię zatem nieznany czynnik w sprawie i mam możność rozwinięcia całej energji w chwili krytycznej.

— A dlaczego nie było mnie wtajemniczyć?...

— Bo gdybyś wiedział, nicby nam to nie dopomogło, a mogłoby doprowadzić do wyśledzenia mnie. Zachciałoby ci się może powiedzieć mi coś, albo, w dobroci swojej przynosiłbyś mi tu jakie przysmaki i narazilibyśmy się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Wziąłem tu z sobą Cartwrighta... pamiętasz tego malca z biura posłańców... i ten zaspakaja moje skromne potrzeby: bochenek chleba i czysty kołnierzyk. Czegóż człowiekowi więcej trzeba? Przytczem dostarczał mi dodatkowej pary oczu i pary bardzo zwinnych nóg, a zarówno jedne jak i drugie stały się dla mnie nieocenioną pomocą.

— A więc wszystkie moje raporty poszły na marne?

Głos zadrżał mi na wspomnienie mozołu i dumy, z jaką je pisałem.

Holmes wyjął z kieszeni zwitek papierów.

— Oto są twoje raporty, mój chłopcze, bardzo dokładnie przejrzane, zapewniam cię. Za-

rządziłem wszystko tak, że mi je przysyłano tu, z jedniodniowem tylko opóźnieniem. Muszę ci szczerze powinszować gorliwości i inteligencji, jaką wykazałeś w tak niezwykle zawikłanej sprawie.

Ta gorąca pochwała Holmesa złagodziła urazę, jaką miałem do niego za to całe podejście, i zagłuszyła mój gniew. Czułem także w głębi duszy, że miał słuszność i że istotnie lepiej się stało dla naszej sprawy, iż nie wiedziałem o jego obecności na moczarach.

— O, tak, to mi się podobasz! — rzekł, widząc, że twarz moja się rozchmurza. — A teraz opowiedz mi wynik odwiedzin u pani Laury Lyons... Nietrudno mi było odgadnąć, że pojechałeś do niej, bo wiem już, iż ona jest jedyną osobą w Coombe Tracey, która może nam się przydać. Gdybyś ty nie był pojechał do niej dziś, prawdopodobnie ja byłbym pojechał jutro.

Słońce zaszło już zupełnie i ciemność zaległa na moczarach. Powietrze ochłodziło się znacznie — schroniliśmy się tedy do pieczary i tu, siedząc śród zmroku, opowiedziałem Holmesowi rozmowę z panią Lyons. Słuchał jej z takiem zajęciem, że musiałem niektóre szczegóły powtarzać dwukrotnie.

— Wszystko to jest bardzo ważne — rzekł, gdy skończyłem. — Wypełnia bowiem niezrozumiałą dla mnie dotąd lukę w tej niesłychanie zawiłej sprawie. Wiesz może, iż ową panią łączą ze Stapletonem bardzo zażyłe stosunki.

— Nie wiedziałem, że znają się tak blisko.

— O, bardzo... Widują się, pisują do siebie, słowem, porozumienie między nimi jaknajlepsze.

Jest to bardzo potężna broń w naszych rękach. Gdyby tylko mogła mi posłużyć do oswobodzenia jego żony...

— Jego żony?

— Teraz ja dam ci pewne objaśnienia wzamian za wszystkie twoje nowiny. Otóż, kobieta, która uchodziła tutaj za pannę Stapleton, jest jego żoną.

— Na Boga, Holmesie! Czyś pewien tego, co mówisz? Jak mogłeś dopuścić, ażeby sir Henryk się w niej zakochał?

— Zakochanie się sir Henryka nie mogło zaszkodzić nikomu, tylko sir Henrykowi. Zauważyłeś sam, iż Stapleton baczył pilnie, ażeby baronet nie zbliżył się do niej i nie zalecał zbytnio. Powtarzam, że ta kobieta jest jego żoną, nie siostrą.

— Ale w jakim celu to wymyślne kłamstwo?...

— Dlatego, że przewidział, iż będzie mu daleko pożyteczniejsza w charakterze kobiety wolnej.

Wszystkie moje tajemne przeczucia, wszystkie nieuchwytne podejrzenia powstały naraz wyraźnie i skierowały się na przyrodnika. Widziałem teraz coś strasznego w tym obojętnym, bladym człowieku, w kapeluszu słomkowym, z siatką na motyle w ręku — istotę niewyczerpanej cierpliwości, piekielnie chytrą, z uśmiechniętą twarzą i duszą mordercy.

— A więc to on jest naszym wrogiem?... on szpiegował nas w Londynie?

— Tak ja rozwiązuję tę zagadkę.

— A ostrzeżenie... przyszło pewnie od niej?

— Naturalnie.

Z pośród mroku, który nas tak długo otaczał, zaczęła się wyłaniać przede mną jakaś nieuchwytna jeszcze, potworna podłość.

— Czyś ty tego pewien? Skąd wiesz, że ta kobieta jest żoną Stapletona? — spytałem.

— Stąd, że gdy spotkał się z tobą pierwszy raz, zapomniał się tak dalece, iż opowiedział ci niektóre prawdziwe fakty ze swego życia; zdaje mi się, że żałował już nieraz tego swego gadulstwa. Stapleton był istotnie niegdyś właścicielem szkoły w jednem z hrabstw w Anglji północnej. Otóż, niema nic łatwiejszego, jak odnaleźć ślady przełożonego szkoły. Istnieją agencje szkolne, które na żądanie mogą stwierdzić tożsamość każdego, uprawiającego zawód pedagogiczny. Niedługie poszukiwania wykazały, że zamknięto w tamtych okolicach szkołę, a towarzyszyły temu ohydne okoliczności. Właściciel szkoły zaś, innego jednak nazwiska, zniknął razem z żoną. Rysopis zgadzał się, gdy zatem dowiedziałem się jeszcze, że jegomość ów zajmował się entomologją, nie miałem już żadnej wątpliwości.

Ciemności zaczynały się rozpraszać, ale mrok pokrywał jeszcze wiele szczegółów.

— Jeśli ta kobieta jest istotnie żoną Stapletona, co tu robi pani Laura Lyons? — spytałem ponownie.

— Ten punkt wyświetlony został przez twoje własne poszukiwania. Twoja rozmowa z ową panią przyczyniła się bardzo do rozjaśnienia sytuacji. Nie wiedziałem nic o jej zamierzonym rozwodzie z mężem. Uważając zaś Stapletona

za kawalera, pani Lyons liczy niezawodnie, że się z nią ożeni.

— A gdy się dowie prawdy?

— Zyskamy w niej sprzymierzeńca. Przedewszystkiem zatem musimy się z nią zobaczyć... obaj, i to jutro. Ale, Watsonie, czy nie uważasz, że zadługo trwa twoja nieobecność na stanowisku? Powinieneś już być w Baskerville Hallu.

Ostatnie purpurowe blaski zagasły na zachodzie — noc zaszła na moczary, a na fiolecie nieba roziskrzyły się tu i ówdzie pierwsze gwiazdy.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekłem, wstając. — Nie powinniśmy mieć dla siebie wzajemnie tajemnic. Co znaczy to wszystko? Do czego zmierza Stapleton? Jaki jego cel?

— Morderstwo, Watsonie, — odpowiedział Holmes zniżonym głosem — wyrafinowane, rozmyślne, z zimną krwią wykonane morderstwo. Nie żądaj odemnie szczegółów. Zasnuwam sieć dokoła mordercy, podobnie, jak on dokoła sir Henryka, a dzięki twojej pomocy, mam go już prawie w ręku. Jedno tylko grozi nam niebezpieczeństwo: może nas zaskoczyć i wymierzyć cios, zanim będziemy gotowi do walki. Jeszcze dzień jeden, dwa najwyżej, a będę miał wszystkie dowody; tymczasem zaś ty czuwaj nad baronetem równie troskliwie, jak czuwa kochająca matka nad chorem dzieckiem. Twój wyjazd dzisiejszy był konieczny, a mimo to wolałbym, ażebyś nie był opuszczał sir Henryka. Słyszysz!...

Okropny krzyk — krzyk trwogi śmiertelnej i przerażenia rozdarł panującą dokoła na moczarach ciszę. Krew w żyłach ścięła mi się lodem.

— Och, Boże! — wyjąkałem. — Co to jest? Co to znaczy?

Holmes zerwał się na równe nogi. Olbrzymia postać jego zarysowała się w otworze pieczary, z pochylonemi barkami, z głową naprzód wysuniętą stał, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności.

— Cicho! — szepnął. — Cicho.

Krzyk dobiegł nas dlatego, że był taki gwałtowny, ale pochodził z odległej głębi równiny. Teraz rozległ się znów bliżej, głośniejszy, bardziej naglący niż poprzednio.

— Gdzie to jest? — szepnął Holmes, a drżenie jego głosu wykazywało, że ten człowiek z żelaza jest poruszony do głębi. — Gdzie to jest, Watsonie?

— Zdaje mi się, że tam — odparłem, wskazując w ciemność.

— Nie, tam.

I znów ten okrzyk trwogi, głośniejszy i znacznie nas bliższy, rozbrzmiał śród ciszy nocnej...

Ale tym razem przyłączył się do niego dźwięk inny — głuche warczenie, rytmiczne, a jednak groźne, które wzmagało się i cichło, jak nieustający szum fal morskich.

— Pies! — krzyknął Holmes. — Pójdź, Watsonie, pójdź, co tchu! Boże wielki, bylebyśmy nie przyszli zapóźno!

I popędził naprzód, a ja biegłem tuż za nim. Naraz, gdzieś z pośród skał, przed nami, wybiegł ostatni rozpaczliwy wrzask, a potem rozległ się głuchy łoskot. Stanęliśmy, nasłuchując. Żaden inny dźwięk nie przerwał już przytłaczającej ciszy tej nocy, której spokoju nie zamącał najlżejszy powiew wiatru.

Holmes przycisnął dłoń do czoła, jak człowiek nieprzytomny; po chwili tupnął nogą niecierpliwie.

— Pobił nas, Watsonie. Spóźniliśmy się.

— Nic, nie... niepodobna!

— Co za szaleniec ze mnie, dlaczegom ja go oszczędzał! Patrz, Watsonie, jakie skutki z tego, żeś opuścił zamek! Ale, przysięgam, jeżeli stało się to, co mogło się stać najgorszego, morderca nie ujdzie naszej zemsty.

Pędziliśmy naoślep śród ciemności, potykając się o głazy, przedzierając się przez krzaki jałowca, wdrapując się na wzgórza, to znów zbiegając ze stoków, a ciągle dążąc w stronę, skąd dobiegały nas straszne odgłosy. Z każdego szczytu Holmes rozglądał się chciwie dokoła, ale nieprzenikniony mrok zalegał moczary i nic nie poruszało się śród rozległego pustkowia.

— Czy dostrzegasz co?

— Nic.

— Ale... słuchaj... co to jest?

Cichy jęk doleciał naszych uszu. I znów z lewej strony! Szereg skał kończył się tu nagle, tworząc urwistą pochyłość, u której stóp leżała jakaś czarna, bezkształtna masa.

W miarę, jak torując sobie drogę śród głazów, zbliżaliśmy się do tego przedmiotu, przybierał kształty określone. Był to mężczyzna, leżący twarzą ku ziemi; kark miał zgięty w kabłąk, głowa leżała pod nim, ramiona były podniesione, a cały korpus skurczony jak do skoku. Postawa ta była taka dziwaczna, że na razie nie mogłem sobie uprzytomnić, iż w owym jęku uleciała

dusza tego człowieka. Teraz ciemna postać, nad którą pochyliliśmy się obaj, nie wydawała już najlżejszego szeptu.

Holmes przesunął ręką po leżącym i podniósł ją wnet z okrzykiem zgrozy. Blask zapałki, którą zaświecił, padł na jego zakrwawione palce i na strumień krwi, który broczył z roztrzaskanej czaszki ofiary. Blask oświecił coś więcej — zwłoki sir Henryka Baskerville'a! Skamienieliśmy z przerażenia, dech zamarł nam w piersi. Nie zapomnieliśmy obaj owego cudackiego garnituru barwy ceglastej, w którym ujrzeliśmy go po raz pierwszy na ulicy Baker. Zdążyliśmy go dostrzec tylko i zapałka zgasła, podobnie jak zagasła nadzieja w duszach naszych.

Holmes odetchnął głęboko i, mimo ciemności, widziałem, że pobladł.

— Podły! nikczemnik! — syknąłem przez zaciśnięte zęby. — Nie daruję sobie nigdy, że dopuściłem do tego nieszczęścia!

— Moja wina większa od twojej. W pogoni za drobnemi szczegółami, chcąc mieć szereg dowodów niezbitych, pozwoliłem zabić swego klienta. Jest to najcięższa porażka, jaka mnie spotkała w ciągu mojej karjery. Ale skąd mogłem przewidzieć, że sir Henryk, pomimo moich przestróg, zechce narażać życie i będzie sam chodził po moczarach? Tak, skąd mogłem to przewidzieć?

— I pomyśleć, że słyszeliśmy jego krzyki... Boże, co za krzyki!... i nie zdołaliśmy go ocalić! Gdzież ten okropny pies, który go o śmierć przyprawił? Włóczy się pewnie jeszcze śród skał. A Stapleton? Gdzie się kryje? Zapłaci on za tę zbrodnię.

— Zapłaci. Już ja się o to postaram. Stryj i bratanek zamordowani... jeden umarł z przerażenia na sam widok zwierzęcia, które uważał za coś nadprzyrodzonego, drugi znalazł śmierć, uciekając przed ową bestją. Ale teraz musimy jeszcze dowieść wspólnictwa między człowiekiem a zwierzem. A nie możemy nawet zapewnić, że istnieje, skoro słyszeliśmy tylko szczekanie i warczenie, a sir Henryk zmarł widocznie skutkiem upadku. Ale przysięgam na wszystkie świętości, że, jakkolwiek ten Stapleton jest przebiegły i mądry, znajdzie się w mojej mocy, zanim dzień minie.

Ze ściśniętem sercem staliśmy nad okaleczonem ciałem, poruszeni nagłą i nieodwołalną katastrofą, która zakończyła tak smutnie naszą długą i mozolną pracę.

Księżyc powoli wysuwał się z za chmur. Weszliśmy na skały, z których spadł nasz biedny przyjaciel i ze szczytu spoglądaliśmy na moczary w połowie już osrebrzone blaskiem księżyca, w połowie jeszcze tonące w mroku.

W dali, w kierunku wioski Grimpen, jaśniało jedno żółte światełko. Mogło płonąć jedynie w samotnej siedzibie Stapletonów. Zakląwszy wściekle, podniosłem pięść groźnie i spytałem Holmesa:

— Dlaczego nie mielibyśmy schwytać go odrazu?

— Nie mamy jeszcze wystarczających dowodów. Ten łotr jest zręczny i przebiegły do najwyższego stopnia. W sądzie nie chodzi o to, co się wie, ale czego można dowieść. Jeden fałszywy krok z naszej strony, a łotr może nam się jeszcze wymknąć.

— Cóż zatem poczniemy?

— Będziemy mieli dosyć zajęcia jutro, bądź spokojny. Tymczasem zaś oddajmy ostatnią posługę naszemu biednemu przyjacielowi.

Zeszliśmy z urwistego stoku i zbliżyliśmy się do zwłok, zarysowujących się teraz wyraźnie w świetle księżyca. Na widok pokrzywionej w przedśmiertnym skurczu postaci serce ścisnęło mi się boleśnie, a oczy moje mgłą zaszły.

— Trzeba wezwać pomocy, Holmesie. Sami nie zdołamy zanieść go do zamku... Wielkie nieba, człowieku, czyś ty oszalał?

Holmes krzyknął, pochylił się nad zwłokami, a teraz skakał, śmiał się i ściskał moją rękę. Nie poznawałem swego poważnego, panującego nad sobą przyjaciela!

— Broda!... Broda!... Ten człowiek ma brodę!...

— Brodę?

— To nie baronet... to... ależ tak!... to mój sąsiad, zbiegły więzień!

Z gorączkowym pośpiechem odwróciliśmy zwłoki i broda, krwią zbroczona, ukazała nam się w blasku księżyca.

Niepodobna było omylić się na widok tego wystającego czoła, zapadłych zwierzęcych oczu. Poznałem istotnie tę samą twarz, którą dostrzegłem owej nocy nad świecą w szczelinie skały — twarz zbrodniarza Seldena.

I w jednej chwili wyjaśniła mi się rzecz cała. Przypomniałem sobie, że baronet mówił mi, iż darował swoją starą garderobę Barrymore'owi. Barrymore zaś dał ją Seldenowi, chcąc mu dopomóc do ucieczki. Buty, koszula, czapka — wszystko było własnością sir Henryka.

Wypadek był bardzo smutny, niewątpliwie, ale sądy i tak skazały na śmierć nieszczęśliwego. Z sercem, przepełnionem radością, opowiedziałem Holmesowi historję garderoby Seldena.

— W takim razie to ubranie stało się przyczyną śmierci nieboraka — rzekł. — Rzecz to już teraz oczywista, iż do wytresowania psa Stapleton użył jakiegoś przedmiotu, należącego do sir Henryka; według wszelkiego prawdopodobieństwa, posłużył mu do tego ów but, który zginął w hotelu; pies tedy pogonił za Seldenem. Jedna rzecz wszakże pozostaje niewyjaśniona: skąd on mógł w ciemnościach rozpoznać, że pies go ściga?

— Słyszał go prawdopodobnie.

— Człowiek takiej twardej natury, jak ten morderca, nie wpada dlatego, że usłyszał szczekanie psa na moczarach, w taki paroksyzm trwogi, że krzyczy, jak warjat, o pomoc, narażając się na zaaresztowanie. Sądząc z jego krzyków, biegł widocznie długo, spostrzegłszy, że zwierzę go ściga. Skąd jednak wiedział o tem?

— Niezrozumialszy jeszcze jest dla mnie fakt, dlaczego ten pies, przypuściwszy, że wszystkie nasze wnioski są słuszne...

— Ja nic nie przypuszczam.

— Otóż dlaczego ten pies został wypuszczony dzisiaj? Sądzę, że nie wałęsa się zawsze swobodnie po moczarach. Stapleton nie puściłby go na wolność, gdyby nie miał powodu spodziewać się, że sir Henryk wyjdzie dziś wieczorem.

— Trudniej jest odpowiedzieć na moje pytanie, niż na twoje, które, sądzę, będzie niebawem wyjaśnione, gdy moje pozostanie na

zawsze otoczone tajemnicą. Kwestja teraz, co poczniemy ze zwłokami tego nieszczęsnego łotra? Nie możemy ich zostawić na żer lisom i krukom.

— Proponuję, żeby je złożyć w najbliższej pieczarze, dopóki nie zawiadomimy policji.

— Doskonale. Myślę, że damy sobie radę sami... Watsonie, a to co? Patrz, to on... co za piekielna odwaga! Słuchaj, żebyś mi jednem słowem nie zdradził swoich podejrzeń... ani słówka, inaczej wszystkie moje plany runą.

Postać jakaś, idąca ścieżką przez moczary, zbliżała się ku nam; niebawem dostrzegłem gorejący krążek zapalonego cygara, a blade światło księżyca pozwoliło mi rozróżnić drobną figurkę i skaczący chód przyrodnika. Dostrzegłszy nas, przystanął, poczem szedł znowu ku nam.

— Co, doktorze Watson, to pan? Ze wszystkich ludzi na świecie pana najmniej spodziewałem się zastać tu, śród moczarów, o takiej późnej godzinie. Ale, mój Boże, co to? Jakiś raniony? Nie... powiedz mi pan, że to nie nasz przyjaciel sir Henryk!

Minął mnie z pośpiechem i pochylił się nad zmarłym. Słyszałem, jak zaczerpnął głęboko powietrza, cygaro wypadło mu z dłoni.

— Kto... kto to jest?

— Selden, więzień, który uciekł z Princetown.

Stapleton zwrócił ku nam twarz śmiertelnie bladą, lecz najwyższym wysiłkiem woli pokonał zdumienie swoje i rozczarowanie. Bystrym wzrokiem spoglądał kolejno na mnie i na Holmesa.

— Mój Boże! Jakie to smutne zdarzenie!... Co spowodowało jego śmierć?

— Zdaje mi się, że roztrzaskał sobie głowę, spadając z tych skał. Przechadzałem się z przyjacielem po moczarach, gdy nagle usłyszeliśmy krzyk.

— Ja również usłyszałem krzyk i to mnie zniewoliło do wyjścia. Byłem niespokojny o sir Henryka.

— Dlaczego właśnie o sir Henryka?

Nie mogłem się powstrzymać od tego pytania.

— Dlatego, że prosiłem go, by spędził wieczór u nas i byłem zdziwiony, że nie przyszedł. Gdy zaś usłyszałem krzyki na moczarach, ogarnął mnie niepokój o niego. Ale — i przenikliwe oczy przyrodnika znów biegały od mojej twarzy ku twarzy Holmesa — czy nie słyszeliście panowie nic innego, oprócz krzyku?

— Ja nie — odparł Holmes — a ty?

— I ja nie!

— Ale dlaczego zadaje pan to pytanie? — rzekł Holmes.

— O, tak tylko... panowie znają przecież baśnie, krążące tu śród chłopów, o jakimś olbrzymim psie, który straszy... Utrzymują, że wyje niekiedy nocami. Zastanawiałem się tedy nad tem, czy nie odezwał się tej nocy jaki odgłos, który mógłby usprawiedliwić te opowiadania.

— Nie słyszeliśmy nic podobnego — rzekłem.

— A czemu pan przypisuje śmierć tego nieboraka?

— Jestem pewien, że trwoga, w jakiej żył nieustannie, obawiając się wykrycia, zaćmiła

mu umysł. W przystępie obłędu tedy biegł po moczarach, dostał się bezwiednie na te skały i, spadłszy, roztrzaskał sobie czaszkę.

— Przypuszczenie pańskie wydaje mi się wielce prawdopodobne — rzekł Stapleton i odetchnął głęboko, co świadczyło, iż doznał wielkiej ulgi. — A jakie zdanie pana, panie Sherlocku Holmesie?

Przyjaciel mój złożył lekki ukłon.

— Jaki pan bystry w poznawaniu ludzi — rzekł.

— Spodziewaliśmy się pana w tych stronach od czasu przyjazdu doktora Watsona. Przyszedł pan w porę, by zostać świadkiem tragedji.

— Tak, istotnie. Nie wątpię, że wyjaśnienia mego przyjaciela okażą się zgodne z prawdą. Niemiłe wspomnienie zabiorę z sobą jutro do Londynu.

— A... pan wyjeżdża jutro?

— Taki mój zamiar.

— Spodziewam się, że pobyt pana wyświetlił nieco wypadki, które nas tak zaniepokoiły?

Holmes wzruszył ramionami.

— Nie zawsze zdobywamy to powodzenie, jakiego się spodziewamy. Badaczowi trzeba faktów, nie zaś legend i pogłosek. Dotąd nie wykryłem nic w tej sprawie.

Mój przyjaciel mówił tonem zupełnej szczerości, z całą swobodą. Niemniej Stapleton patrzył na niego bystrym wzrokiem. Po chwili zwrócił się ku mnie:

— Radbym przenieść tego biedaka do mego domu, ale moja siostra przeraziłaby się nie-

słychanie, tak, że się obawiam. Sądzę, że jeśli zakryjemy mu twarz, może tu poleżeć bezpiecznie do jutra rana.

Tak też uczyniliśmy. Poczem, nie przyjąwszy ofiarowanej przez Stapletona gościnności, ruszyliśmy z Holmesem do Baskerville Hallu. Przyrodnik pozostał sam. Odwróciliśmy się idąc i widzieliśmy, jak szedł wolnym krokiem w głąb moczarów, a za nim, na osrebrzonym blaskiem księżyca stoku, wielka czarna plama wskazywała, gdzie leżał człowiek, który zginął taką niespodziewaną śmiercią.

— Dobiegamy do chwili krytycznej — rzekł Holmes po dłuższem milczeniu. — Ależ ten człowiek ma nerwy! Jak on się trzymał na widok, że ktoś inny padł ofiarą jego spisku! Nie każdy zdołałby tak zapanować nad sobą. Powiedziałem ci już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz, że nie mieliśmy godniejszego wroga.

— Żałuję, że cię widział.

— I ja również żałowałem na razie. Ale niepodobna było uniknąć tego spotkania.

— Cóż on teraz, zdaniem twojem, pocznie, skoro wie, że jesteś tutaj?

— Stanie się może ostrożniejszy, a może też przedsięweźmie odrazu jaki krok rozpaczliwy. Jak większość wytrawnych przestępców, zaufa może zbytnio własnej mądrości i wyobrazi sobie, że nas podszedł najzupełniej.

— Dlaczego nie mielibyśmy zaaresztować go odrazu?

— Mój drogi, tyś się urodził na człowieka czynu. Wrodzony popęd nakłania cię zawsze

do energicznej działalności. Przypuśćmy na przykład, że zaaresztowalibyśmy Stapletona dzisiejszej nocy; jaka z tego korzyść? Nie moglibyśmy dowieść mu niczego. I na tem właśnie polega jego piekielna przebiegłość! Gdyby działał przy pomocy innego człowieka, moglibyśmy wykryć tego wspólnika i zyskać świadka, ale jeśli nawet wydobędziemy owego olbrzymiego psa na światło dzienne, nie dopomoże nam to do zarzucenia stryczka na kark jego pana.

— Możemy przecież wytoczyć sprawę.

— Ani myśli... na jakiej podstawie? samych tylko podejrzeń i przypuszczeń? Wyśmialiby nas w sądzie, gdybyśmy poszli z taką bajką i z takiemi dowodami.

— A śmierć sir Karola?

— Znaleziono go nieżywego, bez najmniejszej oznaki gwałtu. Ty i ja wiemy, że umarł ze strachu i wiemy też, co go tak przeraziło; ale w jaki sposób przekonamy o tem dwunastu ograniczonych sędziów przysięgłych? Gdzie ślady psa? Jakie znaki jego kłów? Wiemy, oczywiście, że pies nie tyka zmarłego i że sir Karol skonał, zanim to bydlę go doścignęło. Ale musimy tego wszystkiego *dowieść*, a to niemożliwe.

— No, a wypadek dzisiejszej nocy?

— Na nic nam się nie przyda. Znów bowiem nie było bezpośredniego związku między psem a śmiercią tego człowieka. Nie widzieliśmy psa. Słyszeliśmy go, ale nie moglibyśmy dowieść, że ścigał właśnie tego więźnia. Bo i z jakiego powodu? Nie, mój drogi; musimy pogodzić się z tem, że dotąd nie mamy żadnej podstawy do wytoczenia sprawy i że warto jest dołożyć

wszelkich usiłowań, by znaleźć niezbite dowody, pozwalające wnieść skargę do sądu.

— A w jaki sposób zabierzesz się do tego?

— Pokładam wielkie nadzieje w pani Laurze Lyons; może nam być bardzo użyteczna, skoro jej wyświetlimy całe położenie. Mam też swoje własne plany. Kto wie, co nam jutro przyniesie. Ale mam nadzicję, że będę ostatecznie górą, zanim dzień jutrzejszy minie.

Nie mogłem nic więcej dowiedzieć się od niego i, zatopieni w myślach, doszliśmy do bramy zamku.

— Wejdziesz ze mną? — spytałem.

— Wejdę; nie widzę potrzeby dalszego ukrywania się... Jeszcze jedno słowo, Watsonie. Nie wspominaj sir Henrykowi o psie. Niechaj myśli o przyczynie śmierci Seldena to, co Stapleton chce, żebyśmy myśleli. Będzie odporniejszy wobec próby, która go czeka jutro; wszak, jeśli się nie mylę, doniosłeś mi w raporcie, że jest zaproszony na obiad do Merripit House?

— Tak, i ja również.

— Ty wymówisz się czemkolwiek, a on pójdzie sam. Wymyślimy dla ciebie jaki powód. A teraz, skoro spóźniliśmy się na obiad, sądzę, że dostaniemy przynajmniej kolację.

XIII.

ZARZUCANIE SIECI.

Sir Henryk bardziej się uradował niż zdziwił widokiem Sherlocka Holmesa, gdyż od dni kilku spodziewał się jego przybycia z powodu ostatnich wypadków. Niemniej otworzył wielkie oczy, spostrzegłszy, że mój przyjaciel nie ma wcale ze sobą kuferka i że się z tego nie tłómaczy. Zaopatrzyliśmy go niebawem we wszystko, czego potrzebował i, zasiadłszy do spóźnionej kolacji, opowiedzieliśmy baronetowi nasze przygody o tyle, o ile uznaliśmy za stosowne.

Poprzednio jednak spełniłem przykry obowiązek: zawiadomiłem Barrymore'a i jego żonę o śmierci Seldena. Nowina przyniosła kamerdynerowi wielką ulgę, ale żona rozpłakała się żałośnie. Dla całego świata zmarły był człowiekiem, dopuszczającym się gwałtów, nawpół zezwierzęconym; dla niej wszakże pozostał zawsze samowolnym chłopcem, dzieckiem, które czepiało się jej spódnicy, gdy była młodą dziewczyną.

— Nudziłem się piekielnie przez cały dzień w domu, od wyjazdu Watsona dziś rano — rzekł baronet. — Sądzę, że będziecie mi panowie już teraz ufali, gdyż dotrzymałem obietnicy. Gdy-

bym nie był przysiągł, że sam wychodzić nie będę, mógłbym przyjemniej spędzić wieczór, gdyż miałem zaproszenie od Stapletona.

— Nie wątpię, że spędziłby pan wieczór przyjemniej — odparł Holmes sucho. — Ale nie domyśla się pan nawet, żeśmy już opłakiwali zgon pana.

Sir Henryk spojrzał na nas ze zdumieniem.

— A to dlaczego?

— Ten nieszczęsny zbrodniarz ubrany był w pański garnitur. Obawiam się, że lokaj pana, który mu go dał, będzie miał do czynienia z policją.

— Nie przypuszczam. O ile pamiętam, ubranie nie było znaczone mojemi cyframi.

— Tem lepiej dla niego... a faktycznie tem lepiej dla was wszystkich, bo wszyscy postąpiliście wbrew przepisom prawa. Nie jestem pewien, czy, jako sumienny ajent śledczy, nie powinienem przedewszystkiem zaaresztować całego domu. Raporty Watsona są bardzo obciążającemi dokumentami.

— A jak tam stoi nasza sprawa? — spytał baronet. — Czy udało się panu wpaść na jaki trop? Bo, co do nas, nie jesteśmy obaj z Watsonem o wiele mędrsi niż z początku, choć siedzimy tutaj.

— Zdaje mi się, że niezadługo będę mógł wyświetlić panu dokładnie całe położenie. Sprawa jest ciężka i niesłychanie zawikłana. Niektóre punkty są jeszcze zupełnie ciemne, ale światło, które nam je rozjaśni, już się zbliża.

— Watson powiedział panu niewątpliwie, że stwierdziliśmy jeden fakt napewno: słyszeliśmy

psa na moczarach, mogę zatem przysięgnąć, że owa legenda nie jest czczym zabobonem. Miałem niemało do czynienia z psami na Dalekim Zachodzie w Ameryce, i wycie psa rozpoznam napewno. Jeśli pan zdoła temu nałożyć kaganiec i uwiązać go na łańcuchu, gotów jestem ogłosić pana za największego na świecie ajenta śledczego.

— Sądzę, że ubiorę go w kaganiec i uwiążę na łańcuchu bez wielkich trudności, jeżeli pan mi dopomoże.

— Zrobię wszystko, co mi pan każe.

— Doskonale; zażądam jednak, żeby pan był mi ślepo posłuszny i nie pytał o powód moich poleceń.

— Dobrze; jak pan zechce.

— Jeśli pan słowa dotrzyma, mamy najlepsze widoki rozwiązania naszej zagadki niezadługo. Nie wątpię...

Urwał nagle i patrzył uparcie ponad moją głowę w próżnię. Światło lampy padało prosto na jego twarz, która przybrała wyraz takiej natężonej uwagi i tak skamieniała, że stała się podobna do oblicza klasycznego posągu, wyobrażającego uosobienie zdumienia i wyczekiwania.

— Co się stało? — krzyknęliśmy obaj z baronetem.

Gdy Holmes zwrócił wzrok ku nam, widziałem, że pokonywa jakieś silne wzburzenie. Twarz miał spokojną, ale w oczach jego jaśniała uciecha

— Proszę wybaczyć podziw znawcy — rzekł, wskazując ręką szereg portretów, zawieszonych na ścianie przeciwległej. — Watson twierdzi wprawdzie, że nie mam pojęcia o sztuce, ale to

prosta zazdrość dlatego, że nasze zapatrywania się różnią. Ma pan tu istotnie zbiór bardzo pięknych portretów.

— Rad jestem, że je pan chwali — odparł sir Henryk, spoglądając z pewnem zdumieniem na mego przyjaciela. — Nie znam się na tem, co prawda, i umiałbym lepiej ocenić konia lub byka, niż obraz. Nie wiedziałem, że pan i na takie rzeczy czas znajduje.

— Umiem ocenić dzieło dobre, gdy je widzę, a tu znajduję niejedno. Przysięgne, że ta pani tam w niebieskim jedwabiu, to Kneller, a ten otyły dżentlmen, w peruce, to niechybnie Reynolds. Domyślam się, że to portrety rodzinne, co?

— Tak jest, wszystkie.

— A czy pan też zna imiona tych swoich przodków?

— Barrymore kładł mi je w uszy i sądzę, że potrafię powtórzyć lekcję.

— A więc kto jest ten dżentlmen z teleskopem?

— To wiceadmirał Baskerville, który służył pod Rodney'em w Indjach Zachodnich. A ten w błękitnym stroju, ze zwitkiem papierów w ręku, to Sir William Baskerville, prezes komisji izby gmin za Pitta.

— A ten kawaler wprost mnie... w czarnym aksamicie i koronkach?

— O, do poznania się z tym jegomością ma pan specjalne prawo, gdyż on jest powodem całego nieszczęścia. To ów wyklęty Hugon, który wywołał z piekieł psa Baskerville'ów. Nie zapomnimy go chyba.

Spoglądałem na portret z zajęciem i z pewnem zdziwieniem.

— Rzecz szczególna, — rzekł Holmes — ma pozór człowieka spokojnego, skromnego... chociaż co prawda djabeł patrzy mu z oczu. Wyobrażałem go sobie mężczyzną barczystym, o powierzchowności brutalniejszej.

— Autentyczność portretu nie ulega wątpliwości, bo na odwrotnej stronie płótna jest imię i data 1647.

Holmes mówił już niewiele — portret starego rozpustnika miał dla niego widocznie niezwykłą siłę pociągającą, gdyż do końca wieczerzy przyjaciel mój nie odrywał prawie wzroku od płótna. Później dopiero, gdy sir Henryk udał się na spoczynek, Holmes podzielił się ze mną swemi domysłami. Zaprowadził mnie napowrót do sali jadalnej i, trzymając lichtarz ze świecą w ręku, oświetlił zniszczony przez czas portret na ścianie.

— Czy ty tu co dostrzegasz? — spytał.

Wpatrzyłem się w ściągłą, surową twarz, w długie loki, które ją okalały, w szeroki kapelusz z piórem i w biały kołnierz koronkowy. Ta twarz wymuskana nie miała wprawdzie zwierzęcego wyrazu, ale była ponura i harda, miała zaciśnięte wąskie usta i zimne, nieubłagane spojrzenie.

— Czy podobny jest do którego z twoich znajomych?

— Zdaje mi się, że dolna część twarzy przypomina sir Henryka.

— Suggestja, nic więcej. Ale poczekajno chwilę.

Holmes wszedł na krzesło i, trzymając świecę w lewej ręce, zaokrąglił prawą tak, że zakrył kapelusz i długie loki.

— Boże wielki! — krzyknąłem zdumiony.

Na płótnie ukazało się oblicze Stapletona.

— A co, teraz widzisz! Moje oczy przywykły badać twarze, nie zaś akcesorja. Pierwszym warunkiem na badacza kryminalnego jest umiejętność przenikania wszelkich przebrań.

— Niesłychane... istotnie. Możnaby to wziąć za portret Stapletona.

— Tak, stoimy wobec ciekawego przykładu atawizmu, zarówno, zdaje się, fizycznego, jak i umysłowego. Studjowanie portretów rodzinnych wzbudzi w każdym wiarę w teorję odradzania się. Stapleton pochodzi z rodu Baskerville'ów, to rzecz oczywista, nie ulegająca dla mnie wątpliwości.

— I może mieć widoki odziedziczenia spadku.

— Właśnie. Ten portret dostarczył nam przypadkowo jednego z najważniejszych ogniw, którego nam dotąd brakło. Mamy go, Watsonie, mamy go! Odważam się przysięgnąć, że, zanim minie dzień jutrzejszy, łotr będzie się trzepotał w naszej sieci równie rozpaczliwie, jak jego własne motyle. Szpilka, korek i kartka z napisem, a możemy go dołączyć do zbioru przy ulicy Baker.

Holmes, oddalając się od portretu, wybuchnął śmiechem, co zdarzało mu się rzadko; ilekroć zaś słyszałem ten śmiech, bywał on zawsze dla kogoś złą przepowiednią.

Nazajutrz rano wstałem wcześnie, ale Holmes był jeszcze wcześniej na nogach, gdyż, ubierając się, widziałem, jak szedł główną aleją parkową.

— Tak, będziemy mieli dziś gorący dzień — rzekł, gdyśmy się spotkali i zatarł ręce z uciechy, na myśl o bliskiej chwili działania. — Sieci zarzucone w odpowiedniem miejscu i niebawem

zacznie się połów. Zanim noc zapadnie, będziemy wiedzieli. czy schwytaliśmy naszego wielkiego, żarlocznego szczupaka, czy też wymknął się z sieci.

— Byłeś już na moczarach?

— Wysłałem z Grimpen do Princetown raport o śmierci Seldena. Zdaje mi się, że mogę zapewnić, iż nikt z was nie będzie niepokojony tą sprawą. Doniosłem też memu wiernemu Cartwrightowi, co się ze mną stało; chłopiec byłby lamentował przed moją jaskinią, jak pies nad grobem pana, gdybym go nie zapewnił, że jestem bezpieczny.

— A teraz, co zamierzasz?

— Zobaczyć się z sir Henrykiem. A... oto jest!

— Dzień dobry panu! — rzekł baronet. — Wyglądasz, jak generał, układający plan bitwy z dowódcą sztabu.

— Porównanie pańskie zupełnie trafne. Watson pyta mnie właśnie o rozkazy.

— I ja również po to przychodzę.

— Doskonale. Jesteś pan zaproszony na obiad do naszych przyjaciół Stapletonów, prawda?

— Spodziewam się, że i panowie pójdziecie ze mną. Stapletonowie są bardzo gościnni i będą wam radzi.

— Obawiam się, że będziemy musieli pojechać z Watsonem do Londynu.

— Do Londynu?

— Tak, zdaje mi się, że w obecnem położeniu rzeczy będziemy tam potrzebniejsi.

Twarz baroneta spochmurniała.

— Myślałem, że pozostaniecie tu ze mną, dopóki się wszystko nie wyświetli. Pobyt w zamku

śród moczarów niebardzo przyjemny, gdy człowiek pozostanie sam.

— Mój kochany panie, musisz mi ufać i spełniać ściśle wszystkie moje polecenia. Niech pan powie Stapletonom, że bylibyśmy z całą chęcią przyszli z panem, ale niecierpiące zwłoki interesy wezwały nas do Londynu; spodziewamy się jednak, że wkrótce powrócimy do Devonshire'u. Czy nie zapomni pan im tego powiedzieć?

— Jeśli pan chce koniecznie...

— Zapewniam pana, że to nieodzowne.

Zasępione czoło baroneta wykazywało mi jasno, że był przykro dotknięty naszą dezercją — za dezercję bowiem uważał nasz wyjazd.

— Kiedyż panowie chcą jechać? — spytał sucho.

— Zaraz po śniadaniu. Pojedziemy powozem do Coombe Tracey, ale Watson pozostawi swoje rzeczy tutaj, jako zakład, że wróci. Watsonie, napiszesz do Stapletona bilecik, że żałujesz, ale być na obiedzie nie możesz.

— Mam wielką ochotę pojechać z wami do Londynu, — rzekł baronet. — Dlaczego mam tu sam zostać?

— Bo obowiązek panu tak nakazuje. Bo dałeś słowo, że będziesz mi posłuszny, a ja każę panu zostać.

— A więc dobrze, zostanę.

— Jeszcze jedno polecenie. Chcę, żebyś pan pojechał do Merripit House. Odeślesz jednak konie i powiesz Stapletonom, że wrócisz do domu piechotą.

— Piechotą. przez moczary?

— Tak.

— Ależ przecie tyle razy upominał mnie pan, żebym tego nie robił!

— Tym razem może się pan przespacerować bezpiecznie. Gdybym nie miał takiego zaufania do pańskich silnych nerwów i pańskiej odwagi, nie pozwoliłbym panu, ale tak być musi.

— Dobrze, a zatem pójdę.

— Jeśli zaś cenisz pan własne życie, idź przez moczary tylko prostą drogą, prowadzącą z Merripit House do gościńca Grimpeńskiego. Jest to zresztą najbliższa droga do domu.

— Będę we wszystkiem posłuszny.

— Wyśmienicie. Radbym bardzo wyjechać zaraz po śniadaniu, żeby stanąć w Londynie po południu.

Byłem zdumiony tym programem, jakkolwiek pamiętałem, że Holmes powiedział Stapletonowi poprzedniego wieczora, iż wyjedzie nazajutrz. Nie przyszło mi do głowy wszakże, że zechce, bym mu towarzyszył, ani też mogłem zrozumieć, dlaczego mamy obaj być nieobecni w chwili, którą on sam nazwał krytyczną.

Musiałem jednak zamilczeć i być mu posłuszny. Pożegnaliśmy się tedy z naszym zasmuconym przyjacielem i w dwie godziny później staliśmy na dworcu w Coombe Tracey, odesławszy powóz do zamku. Na peronie młody chłopak zbliżył się do Sherloka Holmesa. Był to Cartwright.

— Czy pan ma dla mnie jakie polecenia? — zapytał.

— Pojedziesz najbliższym pociągiem do Londynu i wyślesz niezwłocznie do sir Henryka Baskerville'a depeszę w mojem imieniu, prosząc go

aby, jeżeli znajdzie pugilares, który zgubiłem, odesłał go, jako paczkę rekomendowaną, na ulicę Baker.

— Słucham, panie.

— A teraz idź do biura stacyjnego i spytaj, czy niema depeszy dla mnie.

Chłopiec powrócił z telegramem, a Holmes, przeczytawszy, podał mi go.

Brzmiał jak następuje:

„Depeszę otrzymałem. Przyjeżdżam z niepodpisanym rozkazem uwięzienia piąta czterdzieści

Lestrade".

— To odpowiedź na moją ranną depeszę. Ten Lestrade jest, mojem zdaniem, najlepszym z agentów policyjnych i może nam się przydać. A teraz, Watsonie, myślę, że nie możemy zrobić nic lepszego, jak złożyć wizytę naszej znajomej, pani Laurze Lyons.

Zaczynałem pojmować plan kampanji Holmesa. Postanowił użyć baroneta do przekonania Stapletonów, że wyjechaliśmy istotnie, a wrócić wraz ze mną w chwili, w której obecność nasza okaże się potrzebna. Depesza z Londynu, wrazie, gdyby sir Henryk wspomniał o niej Stapletonom, rozproszyłaby ich ostatnie podejrzenia. I w myśli już widziałem sieć naszą zacieśniającą się coraz mocniej dokoła żarłocznego szczupaka.

Pani Laura Lyons była w biurze, a Sherlock Holmes rozpoczął rozmowę z obcesową szczerością, która narazie zbiła ją zupełnie z tropu.

— Usiłuję wyśledzić okoliczności, które towarzyszyły śmierci Karola Baskerville'a — rzekł.

— Obecny tu mój przyjaciel, doktór Watson, powiedział mi wszystko, czego dowiedział się od pani, jak niemniej i to, co pani przed nim ukryła.

- A cóż ja ukryłam? —spytała wyzywająco.

— Wyznałaś pani, że zażądałaś, aby sir Karol stawił się u furtki o godzinie dziesiątej. Wiemy, że w tem właśnie miejscu i o tej godzinie zaskoczyła go śmierć. Zamilczała pani zatem, jaki zachodził związek między temi wypadkami.

— Nie było żadnego.

— W takim razie zbieg okoliczności jest istotnie osobliwy. Ale, zdaje mi się, że, mimo wszystko, zdołamy wykazać łączność tych faktów. Chcę być z panią zupełnie szczery. Uprzedzam tedy, że, zdaniem naszem, popełniono tu morderstwo, a śledztwo może pociągnąć do odpowiedzialności nietylko przyjaciela pani, pana Stapletona, ale i jego żonę.

— Jego żonę! — krzyknęła.

— Nie stanowi to już dzisiaj tajemnicy dla nikogo, że osoba, która uchodziła za jego siostrę, jest w istocie jego żoną.

Pani Lyons usiadła. Objęła dłońmi poręcze fotelu, a palce jej wpiły się z taką siłą, że różowe paznogcie zbielały od nacisku.

— Jego żona! — powtórzyła. — Jego żona! Kiedy on nie był żonaty...

Sherlock Holmes wzruszył ramionami.

— Dowodów! Daj mi pan dowody! A jeśli pan może mi ich dostarczyć...

Urwała — złowrogi błysk w jej oczach był wymowniejszy od wszelkich słów.

— Przybyłem z tym zamiarem — odparł Holmes, wydobywając paczkę papierów z kieszeni.—

Oto fotografja tej pary, robiona w Yorku przed czterema laty. Napis brzmi: „Państwo Vandeleur“, ale pani pozna jego z łatwością, i ją również, jeśli ją pani zna z widzenia. A tutaj są trzy, skreślone przez osoby wiarogodne, rysopisy państwa Vandeleurów, którzy, w owym czasie utrzymywali szkołę prywatną St Olivera. Niech je pani przeczyta, a pewien jestem, że nie będzie pani już wątpiła o tożsamości tych ludzi.

Pani Laura spojrzała na dokumenty, a potem zwróciła ku nam surową, skamieniałą twarz kobiety zrozpaczonej.

— Panie Holmes — rzekła po chwili — ten człowiek oświadczył mi się i zapewniał, że się ze mną ożeni, jeśli dostanę rozwód z mężem. Podły! okłamał mnie w niesłychany sposób. Nie powiedział mi nigdy słowa prawdy. I dlaczego?... Dlaczego?... Zdawało mi się, że działał jedynie w moim interesie, a teraz widzę, iż byłam tylko narzędziem w jego ręku. Dlaczego miałabym być wspaniałomyślna względem tego, który mnie tak niecnie oszukał? Dlaczego miałabym ochraniać go od skutków jego własnych występnych czynów?... Niech mnie pan pyta o wszystko, a odpowiem szczerze, nic nie ukrywając. Przysięgam panu tylko, że, gdy pisałam ów list, nie miałem żadnych złych zamiarów względem sir Karola Baskerville'a, który był mi najżyczliwszym przyjacielem.

— Wierzę pani najzupełniej — odparł Sherlock Holmes. — Opowiadanie tych wydarzeń musi być pani bardzo przykre. Ułatwię to pani zatem: będę mówił, co zaszło, a pani może mnie

poprawiać, gdy się w czem pomylę. Wysłanie owego listu do sir Karola nastąpiło z namowy Stapletona?

— On mi go dyktował.

— Przypuszczam, że podsunął pani myśl, iż sir Karol dopomoże pani i da pieniądze na przeprowadzenie rozwodu?

— Tak jest.

— A potem, gdy list był wysłany, namówił panią, żebyś nie chodziła na schadzkę?

— Powiedział mi, że ubliżyłoby to jego miłości własnej, gdyby jaki inny mężczyzna dał pieniądze na ten cel i że, jakkolwiek jest człowiekiem ubogim, poświęci ostatni grosz dla usunięcia przeszkód, które nas dzielą.

— A potem nie słyszała pani nic, aż dopiero przeczytała pani w dzienniku wiadomość o śmierci sir Karola?

— Tak.

— Stapleton kazał pani przysięgnąć, że nie wspomni pani nikomu o zamierzonej schadzce z sir Karolem.

— Tak. Powiedział, że śmierć jego jest bardzo tajemnicza i że, jeśli powiem o liście, padnie na mnie podejrzenie. Przestraszył mnie, żeby mnie zniewolić do milczenia.

— Oczywiście. Niemniej jednak miała pani wątpliwości?

Zawahała się i spuściła oczy.

— Znałam go — odparła. — Ale, gdyby nie był postąpił tak haniebnie ze mną, nie byłabym go nigdy zdradziła.

— Mojem zdaniem, cudem jakimś uszła pani cało — rzekł Sherlock Holmes. — Miała go pani

w swej mocy, on wiedział o tem, a mimo to żyje pani jeszcze. Stała pani przez kilka miesięcy nad brzegiem przepaści. Teraz musimy panią pożegnać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszy pani znów o nas niezadługo.

— Sprawa nasza wyświetla się i jedna trudność za drugą usuwa nam się z drogi — rzekł Holmes, gdy staliśmy na dworcu, czekając na pociąg z Londynu. — Niezadługo będę mógł opowiedzieć dokładnie szczegóły jednej z najosobliwszych i najsensacyjniejszych zbrodni współczesnych. Ci, którzy zajmują się kryminalistyką, pamiętają niewątpliwie analogiczne wypadki w Grodnie w roku 1866; mamy też morderstwa Andersona w Karolinie północnej, ale ta sprawa tutaj ma niektóre odrębne zupełnie szczegóły. Nawet teraz jeszcze nie posiadamy w ręku żadnego dowodu przeciw temu nikczemnikowi. Ale, zdaje mi się, że dziś wieczór jeszcze, zanim udam się na spoczynek, wina jego stanie się jawna i oczywista.

Pociąg londyński wpadł z łoskotem na stację, a z wagonu pierwszej klasy wyskoczył niski, barczysty mężczyzna. Zamieniliśmy z nim uścisk dłoni i spostrzegłem odrazu, po pełnem szacunku zachowaniu się Lestrade'a względem mego towarzysza, że nauczył się wielu rzeczy od czasu, kiedy zaczęli pracować wspólnie. Pamiętałem dobrze, z jaką pogardą Lestrade, jako praktyk, przyjmował wywody teoretyka, Sherlocka Holmesa.

— Porządna sprawa, co? — spytał.

— Od lat nie zdarzyło się nic podobnego — odparł Holmes. — Mamy jeszcze dwie godziny do

odjazdu. Skorzystamy z tego czasu i zjemy obiad, a potem wypędzisz z twego gardła, Lestrade, mgłę londyńską, wdychając pełną piersią czyste powietrze wieczorne w Dartmoor. Nie byłeś nigdy w tej okolicy?... Nie?... No, sądzę, że nie zapomnisz tej pierwszej wizyty.

XIV.

PIES BASKERVILLE'ÓW.

Jedną z wad Holmesa — jeśli to wadą nazwać można — była niesłychana powściągliwość w zwierzaniu się komukolwiek z powziętych planów. Wynikało to w części z jego despotycznej natury, skutkiem której lubił mieć przewagę i sprawiać otoczeniu niespodzianki: w części zaś z podejrzliwości zawodowej, która nakazywała mu nie zaniedbywać żadnej ostrożności.

Wynik tej właściwości Holmesa był wszakże bardzo niemiły dla tych, którzy mu pomagali w jego przedsięwzięciach. Ja sam doznawałem już niejednokrotnie przykrości z tego powodu, lecz nigdy tak silnej, jak podczas tej długiej jazdy śród ciemności. Zbliżała się chwila stanowcza; mieliśmyześrodkować wszystkie nasze usiłowania w ostatecznej próbie, a Holmes dotąd nic nie powiedział i mogłem tylko domyślać się, co czynić zamierzał.

Dreszcz oczekiwania przebiegł po mnie, gdy nareszcie lodowaty wicher, który nam smagał twarze i ciemne rozległe przestrzenie po obu stronach wąskiej drogi, wskazały mi, że znajdujemy się znów śród moczarów. Każdy krok koni, każdy obrót kół zbliżał nas do rozstrzygającego zajścia.

Obecność woźnicy wynajętego pojazdu krępowała nas w rozmowie, tak, że byliśmy zmuszeni mówić o rzeczach obojętnych, pomimo wewnętrznego wzburzenia i podniecenia. Odetchnąłem swobodniej po tym długim przymusie, gdy nareszcie minęliśmy dom Franklanda i skierowaliśmy się w stronę zamku — ku widowni działania. Nie zajechaliśmy przed bramę, lecz wysiedliśmy w pobliżu furtki, wiodącej do szpaleru. Holmes zapłacił woźnicy i kazał mu wracać niezwłocznie do Coombe Tracey, my zaś skierowaliśmy nasze kroki do Merripit House.

— Lestrade, masz broń przy sobie?

Agent śledczy uśmiechnął się.

— Dopóki będę miał spodnie, każę wszywać kieszeń do broni, a dopóki będę miał tę kieszeń, zawsze się w niej coś znajdzie.

— Dobrze! Mój przyjaciel i ja jesteśmy również przygotowani na wszelkie niespodzianki.

— Pan jest tym razem bardzo tajemniczy, panie Holmes. Cóż mamy teraz robić?

— Czekać.

— Dalibóg, niewesoła tu okolica — rzekł Lestrade, wzdrygając się i spoglądając dokoła na ciemne stoki pagórków i na olbrzymie obłoki mgły, unoszące się nad trzęsawiskiem Grimpeńskiem. — Zdaje mi się, że widzę przed nami światła w jakimś domu.

— To Merripit House, kres naszej wędrówki. Proszę chodzić na palcach i mówić tylko szeptem.

Szliśmy ostrożnie ścieżką, prowadzącą ku siedzibie Stapletonów; o jakie dwieście metrów przed domem Holmes zatrzymał nas.

— To wystarczy — rzekł. — Te skały na prawo zasłonią nas wyśmienicie.

— Tutaj zatem mamy czekać?

— Tak, tutaj urządzimy małą zasadzkę. Lestrade, wejdź do tego zagłębienia. Watsonie, wszak byłeś w tym domu? Czy możesz mi wskazać położenie pokojów? Co jest za temi zakratowanemi oknami?

— Zdaje mi się, że to okna od kuchni.

— A to dalej, tak jasno oświetlone?

— To pewnie od jadalni.

— Rolety są podniesione. Ty znasz najlepiej terytorjum, podejdź więc zcicha i zobacz, co robią... ale, na miłość Boską, nie zdradź się, niech się nie domyślą, że ich kto śledzi!

Idąc na palcach po ścieżce, dostałem się pod niski mur, okalający sad, i już bezpieczniejszy pod tą osłoną, zakradłem się chyłkiem do miejsca, z którego mogłem patrzeć wprost przez niezasłonięte okno.

W pokoju byli tylko dwaj mężczyźni — sir Henryk i Stapleton. Siedzieli zwróceni do mnie profilem, po obu stronach okrągłego stołu. Obaj palili cygara, przed nimi stała kawa i wino. Stapleton mówił z ożywieniem, ale baronet wydawał się blady i roztargniony. Być może, iż myśl o przechadzce samotnej śród zaklętych moczarów przejmowała go niepokojem.

Po chwili Stapleton wstał i opuścił pokój; sir Henryk napełnił kieliszek, wsunął się w fotel i puścił obłok dymu z cygara. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i odgłos butów na żwirze. Kroki dążyły ścieżką, z tamtej strony muru, pod którym czatowałem. Wyjrzałem z za muru i zobaczyłem, że

przyrodnik zatrzymał się u drzwi pawilonu, w kącie sadu.

Klucz zgrzytnął w zamku, a gdy Stapleton wszedł, z wnętrza pawilonu dobiegł mnie szczególny odgłos — jakby trzaskanie z bicza. Przyrodnik zabawił nie dłużej nad minutę, poczem dosłyszalem znów zgrzyt klucza. Stapleton minął mnie i wszedł do domu. Widziałem, jak usiadł znów przy gościu, poczem z całą ostrożnością, pocichu, powróciłem do swoich towarzyszów i opowiedziałem im, co zobaczyłem.

— A więc mówisz, Watsonie, że pani tam niema? — spytał Holmes, gdy skończyłem raport.

— Nie.

— Gdzież może być zatem, jeśli w żadnym innym pokoju, oprócz kuchni, niema światła?

— Nie mam pojęcia.

Wspominałem, że nad wielkiem trzęsawiskiem Grimpeńskiem zawisła fala gęstej, białej mgły. Posuwała się zwolna ku nam, jak mur ruchomy, niski, ale nieprzenikniony. Oświetlona blaskiem księżyca, z przedzierającemi jej powierzchnię w dali szczytami skał, robiła wrażenie bezbrzeżnego, lśniącego się pola lodowego.

Holmes stał zwrócony twarzą ku mglistej fali i, patrząc, jak rozwłóczyła się leniwie, lecz nieprzerwanie, mruknął coś niecierpliwie.

— Idzie ku nam, Watsonie.

— Czy widzisz w tem jaką przeszkodę?

— Bardzo poważną... jest to jedyna rzecz na świecie, mogąca pokrzyżować moje plany. Sir Henryk napewno wyjdzie wkrótce. Już dziesiąta. Nasze powodzenie, a nawet jego życie

zależy od tego, żeby wyszedł, zanim mgła rozłoży się na ścieżce.

Ponad nami noc była cicha i pogodna. Gwiazdy migotały chłodnym blaskiem, a półksiężyc oblewał cały krajobraz łagodnem, bladem światłem. Przed nami wznosiła się ciemna masa domu, z dachem najeżonym kominami, odcinającemi się ostro na tle osrebrzonego nieba. Szerokie smugi świetlane padały z okien parterowych na sad i wydłużały się od moczarów. Nagle jedna z nich zgasła. To służba opuściła kuchnię. Pozostała tylko lampa w jadalni, gdzie dwaj mężczyźni, gospodarz-morderca i gość, nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, gawędzili jeszcze, paląc cygara.

Z każdą minutą białe obłoki, zakrywające połowę moczarów, przysuwały się bliżej domu. Już pierwsze cienkie płatki waty kłębiły się dokoła padającej z okna smugi świetlanej. Dalsza część muru była już niewidzialna, a drzewa zaczynały znikać za białym tumanem.

Niebawem obłoki mgły podpełzły z dwóch stron pod oba rogi domu i złączyły się, tworząc gęstą falę, na której wyższe piętro i dach unosiły się, niby dziwaczny okręt na mistycznem morzu.

Holmes uderzył pięścią w skałę, która nas zasłaniała, i tupnął niecierpliwie.

— Jeśli sir Henryk nie wyjdzie za kwadrans, ścieżka zniknie we mgle. Za pół godziny nie zdołamy już dojrzeć własnych rąk przed oczami.

— Możebyśmy cofnęli się nieco dalej na wzgórze?

— Dobrze... tak będzie istotnie lepiej.

Tak więc w miarę, jak morze mgły płynęło dalej, cofaliśmy się przed niem, aż wreszcie by-

liśmy już o pół mili od domu. A gęsta biała fala, osrebrzona światłem księżycowem, posuwała się leniwie, lecz nieubłaganie.

— Cofamy się za daleko, — rzekł Holmes. — Baronet może być zaskoczony, zanim zdoła dojść do nas. Musimy bezwarunkowo pozostać gdzie jesteśmy.

Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

— Bogu dzięki! zdaje mi się, że nadchodzi.

Odgłos przyśpieszonych kroków przerwał ciszę panującą na moczarach. Ukryci śród głazów, patrzyliśmy z wytężeniem przed siebie, usiłując wzrokiem przebić wznoszący się biały mur. Odgłos stawał się coraz głośniejszy i poprzez mgłę, jak z poza zasłony, ukazał nam się ten, na którego czekaliśmy.

Znalazłszy się śród jasnej atmosfery, pod wyiskrzonem gwiazdami niebem, sir Henryk obejrzał się ze zdumieniem dokoła, a potem szybkim krokiem dążył ścieżką, przeszedł tuż obok naszej kryjówki i zaczął wchodzić na stok wzgórza, wznoszącego się za nami. Idąc, zwracał głowę to w lewo, to w prawo, rozglądając się, jak człowiek zaniepokojony.

— Baczność! — zawołał Holmes, i dobiegł mnie suchy dźwięk kurka od rewolweru. — Strzeżcie się! Idzie!

Gdzieś z głębi pełznącego ku nam morza mgły dobiegł lekki nieustający tętent. Już tylko pięćdziesiąt jardów oddalało nas od białych tumanów — patrzyliśmy w nie wszyscy trzej, niepewni jaka groza się z nich wyłoni. Klęczałem tuż przy Holmesie; rzuciłem wzrokiem na twarz jego.

Była blada, ale ożywiał ją wyraz niesłychanego podniecenia, oczy gorzały w blasku księżyca. Nagle wszakże rozwarły się szeroko, patrząc z osłupieniem, a usta jego rozchyliły się, drgając. W tej samej chwili Lestrade krzyknął przeraźliwie i padł twarzą na ziemię.

Zerwałem się na równe nogi; zdrętwiała dłoń moja zacisnęła się dokoła rękojeści rewolweru, czułem, że umysł odmawia mi posłuszeństwa, na widok strasznego widma, które wyskoczyło z mglistej fali.

Był to pies — pies czarny jak węgiel, olbrzymi, taki, jakiego dotąd nie widziały oczy żadnego śmiertelnika. Otwarta jego paszcza zionęła ogniem, ślepie iskrzyły się, jak gorejące głownie, z nozdrzy buchały płomienie, a migocące płomyki strzelały z sierści na całym grzbiecie.

Nigdy rozgorączkowane majaki chorego umysłu nie mogły spłodzić nic równie dzikiego, przerażającego, szatańskiego, jak ten czarny potwór, który wypadł z poza tumanów mgły.

Olbrzymie zwierzę długiemi skokami pędziło ścieżką, tropiąc ślad naszego przyjaciela. Widok tego zjawiska tak nas oszołomił, że zdrętwieliśmy zupełnie i fantastyczne zwierzę minęło nas, zanim odzyskaliśmy przytomność.

Holmes i ja daliśmy ognia jednocześnie, a zwierzę zawyło straszliwie, co było dowodem, że jeden z nas przynajmniej strzelił celnie. Wszelako nie zatrzymało się, lecz pędziło dalej w szalonych skokach. Wtem spostrzegliśmy w blasku księżyca, jak sir Henryk odwrócił się, stanął, wzniósł ręce w górę, ruchem przerażenia i wpatrzył się w straszliwe widmo, które go ścigało.

Krzyk, jaki ból wydarł psu, rozproszył wszystkie nasze obawy. Jeśli można go było zranić, był śmiertelny, a skoro zadaliśmy mu ranę, mogliśmy go zabić.

Nigdy w życiu nie widziałem człowieka biegnącego takim szalonym pędem, jak biegł Holmes owej nocy. Mam, jak to już zaznaczyłem, sławę pierwszorzędnego szybkobiegacza, ale prześcignął mnie z taką łatwością, z jaką ja prześcignąłem małego Lestrade'a. Biegnąc, słyszeliśmy krzyki sir Henryka i głuche warczenie psa. Nadbiegłem w chwili, gdy potwór skoczył na swą ofiarę, powalił ją na ziemię i już miał chwycić za gardło, lecz Holmes wpakował mu w bok pięć kul rewolwerowych.

Z ostatnim śmiertelnym skowytem, wyszczerzywszy kły, jakby chwytał żer jakiś w powietrzu, pies powstał na dwie łapy, runął na wznak, drgnął kilka razy konwulsyjnie i przewrócił się na bok. Pochyliłem się nad nim, cały drżący. przyłożyłem rewolwer do ohydnego łba, lecz kurka już nie spuściłem. Olbrzymi pies nie żył.

Sir Henryk leżał zemdlony tam, gdzie upadł. Rozerwaliśmy mu kołnierzyk i Holmes odetchnął głęboko, przekonawszy się, że niema śladu rany i że ratunek przyszedł w porę. Powieki naszego przyjaciela zaczęły drgać — usiłował je otworzyć. Lestrade wlał mu kilka kropli koniaku przez zaciśnięte zęby i niebawem dwoje wylękłych oczu spoglądało na nas.

— Boże wielki! — szepnął. — Co to było? Co to było, na miłość Boską?

— Cokolwiek było, już nie istnieje — odparł Holmes. — Zabiliśmy raz na zawsze widmo, prześladujące ród Baskerville'ów.

Zwierzę, które leżało przed nami, przerażało rozmiarami i siłą. Był to mieszaniec ogara i brytana, smukły, dziki, wielki, jak młoda lwica. Teraz nawet, gdy leżał martwy, z olbrzymiego pyska unosił się błękitnawy płomyk, a ogniste pierścienie jaśniały dokoła małych, głęboko osadzonych, okrutnych ślepiów. Przesunąłem dłonią po gorejącym pysku; gdy ją podniosłem, palce moje zaświeciły w ciemności.

— Fosfor — rzekłem.

— I jak sprytnie spreparowany — rzekł Holmes, — wąchając nieżywe zwierzę. — Nie wydaje żadnej woni, którąby mogła stępić węch zwierzęcia. Sir Henryku, zawiniliśmy bardzo, narażając pana na taki przestrach, i przepraszamy najmocniej. Byłem przygotowany ujrzeć psa, ale nie podobnego potwora. A nadto mgła nie pozwoliła nam przyjąć go tak, jak zamierzaliśmy.

— Ocaliliście mi życie.

— Naraziwszy je najpierw na niebezpieczeństwo. Czy może pan utrzymać się na nogach? Ma pan tyle siły?

— Dajcie mi jeszcze łyk koniaku, a będę gotów do wszystkiego. Tak! A teraz pomóżcie mi się podnieść. Cóż panowie zamierzacie teraz?

— Zostawić pana tutaj. Na dzisiaj już dosyć dla pana przygód. Poczekaj pan tu chwilę, a potem jeden z nas powróci z panem do zamku.

Sir Henryk usiłował stanąć; chwiał się jeszcze na nogach i był bardzo blady. Doprowadziliśmy go do skały, na której usiadł, drżąc na całem ciele i ukrył twarz w dłonie.

— Teraz musimy rozstać się z panem — rzekł Holmes. — Trzeba dzieło doprowadzić do

końca, a każda chwila jest cenna. Zbrodnię już mamy, brak nam tylko jeszcze zbrodniarza.

Zawróciliśmy tedy i śpiesznym krokiem schodziliśmy ścieżką ze wzgórza.

— Postawiłbym tysiąc przeciw jednemu — odezwał się Holmes — że nie zastaniemy go już w domu. Strzały nasze były dla niego znakiem, że przegrał sprawę.

— Byliśmy dosyć daleko od jego domu, a mgła mogła stłumić odgłos.

— Szedł za psem, żeby go podszczuwać... możesz być pewny. Nie, nie, umknął już niechybnie! Niemniej przeszukamy dom, żeby się upewnić.

Drzwi wejściowe były otwarte; wpadliśmy tedy i biegali z pokoju do pokoju, ku zdumieniu starego służącego, którego spotkaliśmy w korytarzu. Nigdzie nie było światła, prócz w jadalni; Holmes schwytał lampę i zaglądał do najskrytszych zakątków domu. Nigdzie jednak nie znaleźliśmy śladu tego człowieka, którego ścigaliśmy. Na pierwszem piętrze wszakże drzwi od jednego pokoju były zamknięte na klucz.

— Tam jest ktoś! — krzyknął Lestrade. — Słyszę jakiś ruch. Otwórzcie te drzwi!

Z wnętrza dobiegł nas jęk stłumiony i szelest. Holmes z całą siłą pchnął nogą w drzwi tuż nad klamką — otworzyły się naoścież. Z rewolwerami w ręku wpadliśmy we trzech do pokoju.

Nigdzie wszakże nie było śladu nikczemnego łotra, którego spodziewaliśmy się zastać. Natomiast znaleźliśmy się wobec czegoś takiego osobliwego i takiego niespodziewanego, że staliśmy przez chwilę w osłupieniu.

Pokój przerobiony był na małe muzeum; na ścianach wisiały przymocowane pudełka oszklone, a w nich rozpięte motyle i ćmy, których zbieranie stanowiło rozrywkę tego niezwykłego i niebezpiecznego człowieka.

Na środku tego pokoju znajdowała się belka prostopadła, postawiona dla podtrzymania starego, nadgniłego belkowania dachowego. Do tego słupa przywiązana była postać tak spowita w prześcieradła, że w pierwszej chwili nie mogliśmy poznać, czy mamy przed sobą mężczyznę, czy kobietę. Jeden ręcznik, okręcony dokoła szyi ofiary, przymocowany był do słupa z tyłu, drugi zakrywał niższą część twarzy i usta; wielkie ciemne oczy były odsłonięte i spoglądały na nas z wyrazem rozpaczy, trwogi i jakby wstydu.

W mgnieniu oka zerwaliśmy ręczniki i prześcieradło i pani Stapleton padła przed nami na ziemię. Gdy piękna jej głowa pochyliła się na piersi, dostrzegłem na karku świeżą czerwoną pręgę od uderzenia szpicruty.

— Ach, łotr!... — krzyknął Holmes. — Lestrade, prędko, dawaj butelkę! Trzeba ją posadzić na krześle! Zemdlała z wyczerpania i bólu.

Po chwili otworzyła oczy.

— Czy ocalony? — spytała. — Zdołał uciec?

— Nie wymknie się nam, może pani być pewna.

— Nie, nie, nie mówię o moim mężu. Sir Henryk czy ocalony?

— Ocalony.

— A pies?

— Zabity.

Odetchnęła głęboko.

— Dzięki Ci, Boże. Dzięki Ci! Och, ten nikczemnik! Patrzcie, panowie, jak on się ze mną obchodził!

Wysunęła ręce z rękawów i ujrzeliśmy z oburzeniem, że były całe sine od razów.

— Ale to nic jeszcze... nic! Katował i poniewierał moją duszę. Mogłam znieść wszystko: znęcanie się, osamotnienie, złamane życie, dopóki łudziłam się nadzieją, że mnie kocha, ale teraz wiem, że i w miłości podszedł mnie, że byłam dla niego igraszką...

Mówiąc to, wybuchnęła namiętnem łkaniem.

— Wszak pani niema powodu go oszczędzać— rzekł Holmes. — Niechże nam pani tedy powie, gdzie możemy go znaleźć. Jeżeli pani dopomogła mu w złem, dopomóż teraz nam, a będzie to pokuta za winę.

— Mógł się tylko schronić w jedno miejsce — odparła. — Na samym środku wielkiego trzęsawiska jest wyspa, a na niej sławna kopalnia ołowiu. Tam trzymał psa i tam urządził sobie kryjówkę, na wypadek potrzeby. Nigdzie zatem schronić się nie mógł, tylko tam!...

Holmes wziął lampę i oświetlił okno — tumany mgły, jak wielkie arkusze waty rozpościerały się przed szybami.

— Patrzcie — rzekł. — Nikt dzisiaj nie odnajdzie drogi do trzęsawiska.

Pani Stapleton roześmiała się i klasnęła w ręce. W oczach jej zabłysła ponura radość.

— Dojść, dojdzie do trzęsawiska, ale już z niego nie wyjdzie — zawołała. — Bo jakże dojrzy żerdzie, które mają mu być drogowskazem? Powtykaliśmy je razem, on i ja, żeby oznaczyć ścieżkę

przez trzęsawisko. Ach! gdybym mogła była powyrywać je dzisiaj! Byłby może już w waszych rękach.

Uznaliśmy oczywiście, że wszelka pogoń jest niemożliwa, dopóki mgła nie opadnie. Pozostawiliśmy tedy Lestrade'a na straży w Merripit House, a Holmes i ja powróciliśmy z baronetem do Baskerville Hall.

Niepodobna było dłużej ukrywać przed sir Henrykiem historji Stapletonów; zniósł cios mężnie, ze spokojem przyjął wiadomość, kim była właściwie kobieta, którą pokochał. Ale, spowodowane przygodą nocną wstrząśnienie nerwów było takie silne, że o świcie leżał w gorączce i majaczył, a doktór Mortimer siedział przy łóżku.

Lekarz postanowił, że jedynie podróż naokoło świata powróci sir Henrykowi siły moralne i fizyczne. Ofiarował się towarzyszyć mu i przywieźć go takim, jakim był, zanim został właścicielem złowróżbnej posiadłości.

* *
*

Dobiegam szybko do zakończenia tej osobliwej opowieści, którą usiłowałem wzbudzić w czytelniku te same obawy i podejrzenia, jakie przez czas pewien zakłócały nam spokój i skończyły się tak tragicznie.

Nazajutrz rano po zabiciu psa mgła ustąpiła i pani Stapleton zaprowadziła nas do miejsca, skąd wytknęli razem z mężem ścieżkę przez trzęsawisko. Skwapliwość i radość, z jaką ta kobieta naprowadziła nas na ślad męża, były nam aż nadto wymownym dowodem cierpień, jakie przechodziła za jego sprawą.

Pozostawiliśmy ją na wąskim cyplu, którym grunt stały wrzynał się w rozległe trzęsawiska. Począwszy od tego punktu, żerdzie powtykane tu i ówdzie wskazywały ścieżkę, wijącą się od jednej kępy sitowia do drugiej, pomiędzy napełnionemi zieloną pleśnią dołami i grzązkiemi bagnami, które zagradzały drogę każdemu obcemu. Uschnięta trzcina i oślizgłe rośliny wodne rozlewały wstrętną woń zgnilizny, a ciężkie, pełne trujących miazmatów wyziewy, utrudniały nam oddech.

Za lada fałszywem stąpnięciem wpadaliśmy powyżej kolan w błoto lepkie, drgające, które, pod naciskiem naszych stóp, falowało na przestrzeni kilku jardów, przylegało do naszych podeszew, a gdy wpadliśmy w kałużę, zdawałoby się, że jakaś złowroga ręka ciągnie nas w ohydne głębie, taka była moc uścisku tej czarnej toni, która nas obejmowała.

Raz jeden tylko znaleźliśmy dowód, że ktoś przed nami przebył tę niebezpieczną drogę. Śród kępy sitowia dostrzegliśmy wystający ze szlamu jakiś czarny przedmiot.

Holmes zeskoczył ze ścieżki na kępę i ugrzązł po pas w błocie; wyciągnęliśmy go z trudnością, a gdyby nas nie było, nie postawiłby już z pewnością nigdy nogi na twardym gruncie. W ręku trzymał stary czarny but — na skórze wewnątrz wydrukowana była firma: „Meyers Toronto“.

— Kąpiel błotna opłaciła się — rzekł Holmes — to but skradziony naszemu przyjacielowi, sir Henrykowi.

— Rzucony przez Stapletona śród ucieczki.

— Naturalnie. Zużytkowawszy go do wprowadzenia psa na trop baroneta, Stapleton trzymał but jeszcze w ręku, gdy przekonał się, że wszystko stracone. Uciekł zatem i tutaj but cisnął. Wiemy przynajmniej, że dotąd doszedł bezpiecznie.

Więcej wszakże nie było nam dane wykryć. Jak zresztą odnaleźć ślady kroków na trzęsawisku, skoro powierzchnia błota ruchomego zlewała się znów niezwłocznie po przejściu człowieka?

Gdy nareszcie dotarliśmy do stałego gruntu, tworzącego rodzaj wyspy za trzęsawiskiem, rozpoczęliśmy na nowo usilne poszukiwanie, ale — daremnie. Oczy nasze nie spotkały nigdzie śladu najlżejszego. Jeśli ziemia nie kłamała, Stapleton nie zdołał dojść do tego schronienia na wyspie, ku któremu dążył, walcząc z falą mgły. Ten człowiek zimny i okrutny leży gdzieś w głębi wielkiego trzęsawiska Grimpeńskiego, przytłoczony cuchnącem błotem, które go wchłonęło.

Na okolonej bagnem wyspie, gdzie ukrył swego dzikiego sprzymierzeńca, odnaleźliśmy liczne ślady jego pobytu. Wielkie stare koło i wózek, nawpół napełniony gruzami, wskazywały położenie opuszczonej kopalni. Obok istniały jeszcze szczątki chat górników, wypędzonych stąd niewątpliwie trującemi wyziewami z okalającego bagniska.

W jednej z tych chat przytwierdzony do haka łańcuch, a nadto stos kości ogryzionych świadczył, że służyła zwierzęciu za kryjówkę. Na kościach dostrzegliśmy szkielet, z kępką ciemnej sierści na łbie.

— Pies! — zawołał Holmes. — Dalibóg, wyżeł! Biedny Mortimer nie ujrzy już nigdy swego ulubieńca. Nie przypuszczam, ażeby ta miejscowość zawierała jeszcze nieznane nam tajemnice. Stapleton mógł ukryć swego psa, ale nie mógł zagłuszyć jego głosu i stąd owo wycie, takie przerażające nawet w biały dzień. W ostatecznym razie mógł trzymać psa w pawilonie przy Merripit House, ale było to zawsze ryzykowne i dlatego dopiero ostatniego dnia, gdy mniemał, że już dobiega celu wszystkich swoich wysiłków, odważył się psa tam sprowadzić. Maść w tej puszce ołowianej jest niewątpliwie ową świecącą mieszaniną, którą pies był wysmarowany. Pomysł ten poddała Stapletonowi legenda rodzinna o psie piekielnym i chęć wzbudzenia w sir Henryka takiego przestrachu, któryby go o śmierć przyprawił. Nic dziwnego, że ten nieborak Selden uciekał i krzyczał, podobnie jak nasz przyjaciel, gdy ujrzał takiego potwora pędzącego jego śladem; i my zrobilibyśmy to samo. Pomysł był rzeczywiście genjalny, bo, pominąwszy możność doprowadzenia ofiary do śmierci, zapobiegł ściganiu psa. Któryż chłop bowiem, ujrzawszy go na moczarach, a zdarzyło się to niejednemu, odważyłby się podejść do takiego potwora? Powiedziałem już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz tutaj, że nigdy jeszcze nie urządzałem pościgu na człowieka niebezpieczniejszego, niż ten, który leży tam.

To mówiąc, wskazał ręką rozległe, zasiane zielonemi kępami trzęsawisko, które zlewało się wdali z rdzawemi stokami wzgórz na moczarach.

X.

RZUT OKA WSTECZ.

W ostatnich dniach listopada, w zimny, mglisty wieczór, Holmes i ja siedzieliśmy w bawialni przy ulicy Baker, przed kominkiem, na którym płonął wesoły ogień.

Od czasu tragicznego zakończenia naszego pobytu w Devonshire, Holmes zajęty był przeprowadzaniem dwóch spraw niezmiernej wagi. W jednej wykrył ohydne postępowanie pułkownika Upwooda w związku z głośnym skandalem karcianym w klubie „Nonpareil"; w drugiej zaś uwolnił nieszczęśliwą panią Montpensier od zarzutu morderstwa, jaki na niej ciążył w związku z śmiercią pasierbicy, panny Carère, młodej osoby, którą w pół roku później odnaleziono w Nowym Jorku nietylko żywą ale i zamężną.

Pomyślny wynik obu tych spraw, trudnych i ważnych, wprawił mego przyjaciela w wyśmienity humor, tak, że mogłem zaryzykować rozmowę o szczegółach, dotyczących tajemnicy Baskerville'ów. Czekałem cierpliwie na odpowiednią sposobność, wiedziałem bowiem, że Holmes nie lubi, aby mu przeszkadzać w pracy i odrywać jego umysł, jasny i metodyczny, od zajęć nowych wspomnieniami przeszłości.

Ale sir Henryk i doktór Mortimer bawili w Londynie, wybierając się w ową długą podróż, zaleconą baronetowi dla wzmocnienia nadwerężonych nerwów; a że odwiedzili nas popołudniu, przeto rozmowa o tragicznych zajściach na moczarach nasunęła się sama przez się.

— Cały bieg wypadków — mówił Holmes — był, z punktu widzenia człowieka, który nazwał siebie Stapletonem, jasny i zrozumiały, jakkolwiek nam, którzy nie znaliśmy początkowo pobudek jego czynów i znaliśmy tylko część faktów, sprawa wydawała się niesłychanie zawikłana. Miałem sposobność rozmawiać dwukrotnie z panią Stapleton; wyświetliła mi ona różne szczegóły tak jasno, że zdaje mi się, iż niema już dla mnie w sprawie tej tajemnic. Pod literą B znajdziesz w moich aktach różne dotyczące jej notatki.

— Możebyś zechciał z pamięci opowiedzieć mi pokrótce ważniejsze szczegóły.

— Owszem, chociaż nie mogę ręczyć, czy zapamiętałem wszystkie. Natężone wysilanie umysłu ma ten ciekawy skutek, że zaciera zupełnie w pamięci naszej przeszłość. Tak np. adwokat, znający sprawę swoją na wylot i rozprawiający swobodnie z każdym świadkiem o najdrobniejszych szczegółach, spostrzega, że w tydzień lub dwa po obronie nic już nie pamięta. Tak samo też ostatnia moja sprawa zaciera zawsze w mym umyśle przedostatnią, a panna Carère zastąpiła w mej pamięci sir Henryka Baskerville'a. Jutro przyjdzie mi znów rozstrzygnąć nowe zadanie, które z kolei zatrze wspomnienie pięknej panny i nikczemnego Upwooda.

Sprawa psa wszelako utkwiła mi lepiej w pamięci i postaram się opowiedzieć z możliwą dokładnością bieg wypadków; gdybym zaś zapomniał jakiego szczegółu, przyjdziesz mi z pomocą.

Otóż, poszukiwania moje wykazały niezbicie, że portret nie kłamał. Stapleton pochodził istotnie z rodu Baskerville'ów. Był on synem młodszego brata sir Karola, owego Rogera Baskerville'a, który, skutkiem skandalicznych postępków, uciekł do Ameryki południowej i tam umarł, jak mówiono, kawalerem. Tymczasem stwierdziłem na pewno, że był żonaty i miał jedno dziecko, tego nędznika, który nazywał się oczywiście jak ojciec.

Syn poślubił pannę Beryl Garcia, znaną piękność z Costa Rica, a ukradłszy znaczną sumę z funduszów publicznych, zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglji, gdzie założył szkołę w małej miejscowości zachodniego Yorkshiru. Do obrania tego właśnie zawodu nakłoniła go znajomość, zawarta w podróży z powracającym do kraju nauczycielem suchotnikiem. Wyzyskał tedy na swoją korzyść jego naukę, ale Fraser, ów nauczyciel, umarł, i szkoła, która miała początkowo powodzenie, upadała coraz niżej, aż w końcu miała najgorszą sławę.

Vandeleur uznał za stosowne przybrać znów nazwisko Stapleton i przeniósł resztki majątku, plany na przyszłość, oraz upodobanie do owadoznawstwa na południe Anglji. Dowiedziałem się w Muzeum Brytyjskiem, że był on uznaną powagą w tej dziedzinie i że nazwisko Vandeleura przywiązano na zawsze do pewnego gatunku

ćmy, którą pierwszy opisał podczas pobytu w Yorkshire.

Teraz przechodzimy do tej części jego życia, która swego czasu pochłaniała całą naszą uwagę. Przeprowadził widocznie poszukiwania i dowiedział się, że tylko dwa życia ludzkie stały między nim a znaczną fortuną. Zdaje mi się, że, gdy przybył do Devonshire, plany jego były jeszcze bardzo mgliste, ale fakt, że zabrał z sobą żonę w charakterze siostry, dowodził jasno, że odrazu miał złe zamiary. Myśl użycia jej, jako przynęty, skrystalizowała się wyraźnie w jego mózgu, chociaż nie wiedział jeszcze dokładnie, jak przeprowadzi ten spisek.

Był zdecydowany zagarnąć majętność i gotów do użycia wszelkich sposobów, do narażania się na wszelkie niebezpieczeństwa, byle ten cel osiągnąć. Przedewszystkiem więc zamieszkał jaknajbliżej siedziby swoich przodków, a następnie nawiązał przyjazne stosunki z sir Karolem Baskerville'm i sąsiadami.

Baronet sam opowiedział mu legendę o psie i tem przygotował niejako drogę własnej śmierci. Stapleton — będę go dalej tak nazywał — wiedział, że sir Karol ma wadę serca i że gwałtowne wstrząśnienie zabije go niechybnie. Powiedział mu to doktór Mortimer. Słyszał również, że baronet jest przesądny i że bierze zupełnie na serjo ponurą legendę. Wielce pomysłowy z natury, obmyślił tedy sposób sprowadzenia śmierci na baroneta, tak jednakże, iżby niepodobieństwem było dowieść winy istotnemu mordercy.

Powziąwszy tę myśl, zabrał się do wprowadzenia jej w czyn z niesłychanym sprytem. Po-

spolity zbrodniarz zadowoliłby się użyciem dzikiego psa. Zastosowanie sztucznych środków dla nadania zwierzęciu pozorów jakiegoś piekielnego potwora, było z jego strony błyskiem genjalnym.

Kupił psa w Londynie u Rossa i Manglesa, handlarzy zwierząt na Fulham Road. Był to największy i najdzikszy, jakiego mieli na razie. Przywiózł go koleją do North Devon i szedł kawał drogi przez moczary piechotą, aby dostać się do domu nie zwracając uwagi. Podczas pogoni za owadami odkrył ścieżkę przez trzęsawiska Grimpeńskie i znalazł bezpieczną kryjówkę dla psa. Tam też uwiązał go na łańcuchu i czekał na odpowiednią sposobność.

Czekanie trwało dość długo. Niepodobna było wywabić starego dżentlmena nocą poza obręb parku. Stapleton włóczył się kilkakrotnie wraz z psem w pobliżu, ale napróżno. Podczas tych bezskutecznych wędrówek chłopi dostrzegli jego towarzysza, co wskrzesiło na nowo legendę.

Stapleton spodziewał się, że żona dopomoże mu doprowadzić sir Karola do zguby, ale najniespodziewaniej spotkał się z oporem. Nie chciała wikłać starego dżentlmena w sidła miłosne i wydać go tym sposobem w ręce nieprzyjaciela. Ani groźby, ani nawet, wstyd mi to powiedzieć, plagi nie zdołały złamać jej oporu. Nie chciała się w to wdawać pod żadnym pozorem i przez pewien czas Stapleton nie wiedział, co począć.

Sir Karol, który powziął do niego żywą sympatję, sam wybawił go z kłopotu, powierzając mu zapomogi, przeznaczone dla tej nieszczęśliwej pani Laury Lyons. Przedstawiwszy się jej

jako kawaler, Stapleton opanował ją zupełnie i dał biednej kobiecie do zrozumienia, że, gdyby uzyskała rozwód, ożeniłby się z nią. Skoro tylko dowiedział się, że sir Karol ma wyjechać z porady doktora Mortimera, którego zdanie pozornie popierał gorąco — Stapleton postanowił działać bez zwłoki, w obawie, że ofiara wymknie mu się na zawsze. Nakłonił tedy panią Lyons, by napisała ów list, błagający starego dżentlmena o chwilę rozmowy w przeddzień wyjazdu do Londynu. Następnie obłudnym argumentem powstrzymał ją od pójścia i w ten sposób wytworzył sposobność, na którą czekał.

Powracając wieczorem z Coombe Tracey, zdążył zabrać swego psa, wysmarować go tą piekielną mieszaniną i zaprowadzić pod furtkę, gdzie stary dżentlman miał czekać.

Pies, poszczuty przez pana, przeskoczył przez furtkę i ścigał nieszczęśliwego baroneta, który, krzycząc, uciekał szpalerem cisowym. Straszny musiał być istotnie w tym ciemnym szpalerze widok olbrzymiego, czarnego zwierzęcia, z gorejącym pyskiem, ze ślepiami w ogniu, pędzącego za ofiarą. Baronet padł martwy na końcu szpaleru; przerażenie przyspieszyło śmiertelny atak sercowy.

Pies leciał po trawniku, gdy baronet biegł ścieżką, tak, że tylko ślady człowieka pozostały widoczne. Widząc go leżącego, zwierzę prawdopodobnie zbliżyło się, by go obwąchać, a przekonawszy się, że nie żyje, zawróciło się. Wówczas to pozostawiło owe ślady, które dostrzegł doktór Mortimer. Stapleton przywołał psa i zaprowadził śpiesznie do legowiska na trzęsawisku,

a śmierć baroneta pozostała niewyjaśnioną zagadką dla policji, przeraziła całą okolicę i ostatecznie sprawa dostała się w nasze ręce.

Tyle, co do śmierci sir Karola Baskerville'a. Rozumiesz teraz całą przebiegłość tego szatańskiego podstępu — niepodobna było znaleźć podstawy do oskarżenia istotnego mordercy. Jedyny jego wspólnik nie mógł go nigdy zdradzić, a sposób użyty przez zabójcę był tak potworny, tak niesłychany, że już to samo wzmagało jego skuteczność.

W obu kobietach, wplątanych w sprawę, pani Stapleton i pani Laurze Lyons, obudziło się silne podejrzenie przeciw Stapletonowi. Pani Stapleton wiedziała o jego zamiarach względem baroneta i o istnieniu psa. Pani Lyons zaś nie wiedziała, ale głębokie wrażenie wywarł na nią fakt śmierci, zaszły właśnie w porze wyznaczonej a nieodwołanej schadzki. Obie kobiety wszakże były pod jego wpływem i nie miał potrzeby ich się obawiać. Pierwszą połowę zadania spełnił zatem z powodzeniem, pozostała wszakże druga — trudniejsza.

Być może, iż Stapleton nie wiedział o istnieniu spadkobiercy w Kanadzie. W każdym razie dowiedział się o tem bardzo prędko od swego przyjaciela doktora Mortimera, który wtajemniczył go też we wszystkie szczegóły przybycia Henryka Baskerville'a. Zrazu Stapleton myślał, że będzie można tego młodego przybysza z Kanady sprzątnąć ze świata w Londynie, zanim zdąży dojechać do Devonshire.

Od czasu, gdy żona odmówiła mu pomocy w zastawieniu sideł na sir Karola, nie ufał jej

i nie zostawiał jej samej na czas dłuższy w obawie, żeby nie stracił nad nią wpływu. Dla tej to przyczyny zabrał ją z sobą do Londynu. Wykryłem, że mieszkali w hotelu Mexbourough, przy ulicy Craven, jednym z tych, które zwiedzał mój agent, szukając dowodów. Tam Stapleton zamykał żonę w pokoju, sam zaś, przyprawiwszy brodę, jeździł za doktorem Mortimerem na ulicę Baker, a potem na dworzec i do hotelu Northumberland.

Pani Stapleton domyślała się potrosze planów męża, ale bała go się do tego stopnia, — obawa ta wynikała stąd, że obchodził się z nią tak brutalnie — iż nie miała odwagi napisać do człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdyby list wpadł w ręce Stapletona, nie byłaby pewna własnego życia. Tak więc, jak wiemy, wpadła na pomysł wycięcia wyrazów z dziennika i zaadresowała list zmienionem pismem. List doszedł do baroneta i był pierwszem ostrzeżeniem przed grożącem niebezpieczeństwem.

Bardzo ważną rzeczą dla Stapletona było dostanie jakiejkolwiek części ubrania sir Henryka, tak, aby w danym razie mieć w ręku środek naprowadzenia psa na jego trop. Z charakterystyczną szybkością i śmiałością przedsięwziął odpowiednie kroki i nie możemy wątpić, że przekupił w tym celu numerowego albo pokojówkę w hotelu. Przypadkiem wszakże pierwszy but, który mu przyniesiono, był nowy, a stąd zupełnie nieużyteczny. Zwrócił go zatem i otrzymał inny — ten szczegół był dla mnie bardzo cenny, gdyż dowiódł mi, że mamy do czynienia z psem z krwi i kości, inaczej bowiem nie-

podobna było sobie wytłómaczyć tych starań o stary but i tej obojętności dla buta nowego.

Im szczegół jakiś jest błahszy i śmieszniejszy, tem więcej zasługuje na dokładne zbadanie, a to samo zajście, które zdawałoby się, wikła sprawę, rozważone bacznie i wyzyskane umiejętnie, najprawdopodobniej posłuży do jej wyświetlenia.

Potem, następnego dnia rano, mieliśmy wizytę naszych przyjaciół, szpiegowanych ciągle przez Stapletona w dorożce. Wnosząc z tego, że wiedział gdzie mieszkam i znał mnie z widzenia, przypuszczam, że zbrodnicza karjera Stapletona nie ogranicza się bynajmniej tym jednym zamachem na Baskerville'ów. W przeciągu ostatnich trzech lat popełniono cztery znaczne kradzieże na zachodzie Anglji, a sprawcy żadnej z nich nie schwytano. Ostatnia z tych kradzieży, w Folkestone Court, w maju, zdumiewała zimną krwią, z jaką zamaskowany złoczyńca zastrzelił służącego, który go schwytał na gorącym uczynku. Jestem prawie pewny, że Stapleton zasilał w ten sposób swoje, zmniejszające się z każdym dniem, środki materjalne i że od at wielu należał do rzędu najśmielszych, nie cofających się przed niczem, łotrów.

Mieliśmy przykład jego sprytu i pomysłowości owego ranka, kiedy wymknął nam się tak szczęśliwie, a dał nam dowód nietylko odwagi, ale wprost bezczelności, przesyłając mi przez dorożkarza moje własne nazwisko. Zrozumiał wówczas, że wziąłem w ręce sprawę w Londynie i że tu nic już zrobić nie zdoła. Powrócił tedy do Dartmoor i czekał na przyjazd baroneta.

— Przepraszam, pozwól chwilę, — rzekłem. — Opowiedziałeś bieg wypadków bardzo ściśle, ale jednego punktu nie wyświetliłeś wcale. Co się działo z psem podczas pobytu jego pana w Londynie?

— Usiłowałem zbadać i tę sprawę, niezaprzeczenie ważną. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton miał powiernika, jakkolwiek pewien jestem, że nie zwierzył mu się nigdy z wszystkich swoich planów, nie chcąc być od niego zależnym. Był w Merripit House stary służący, imieniem Antoni. Stosunki jego ze Stapletonami datują się od lat kilku, z czasów, kiedy Stapleton był przełożonym szkoły, tak, że ów służący musiał wiedzieć, iż jego pan i pani są małżeństwem. Człowiek ten zniknął i uciekł z kraju.

Otóż Antoni nie jest to imię tak pospolite w Anglji, jak Antonio w całej Hiszpanji lub w krajach hiszpańskich Ameryki południowej. Ów służący, podobnie jak pani Stapleton, mówił dobrze po angielsku, ale dziwacznym cudzoziemskim akcentem. Widziałem sam, jak szedł przez trzęsawisko Grimpeńskie ścieżką, którą wytknął Stapleton. Stąd prawdopodobne jest, że podczas nieobecności pana żywił psa, nie wiedząc wszelako, do jakich celów zwierzę służyło.

Stapletonowie powrócili zatem do Devonshire, gdzie niebawem przybył sir Henryk z tobą. A teraz kilka słów o tem, co ja wówczas robiłem. Przypominasz sobie prawdopodobnie, że, oglądając papier, na którym nalepione były drukowane wyrazy wycięte z *Timesa*, badałem ściśle znak wodny. Trzymałem przytem kartkę bardzo blisko oczu i zaleciała mnie słaba woń białego jaśminu.

Agent śledczy, zajmujący się sprawami kryminalnemi, powinien umieć rozróżnić siedemdziesiąt pięć gatunków perfum; niejednokrotnie, wiem to z własnego doświadczenia, wyświetlenie sprawy zależy od szybkiego rozpoznania woni. Zapach ów dowiódł mi, że wchodzi tu w grę kobieta, a podejrzenia moje już wtedy skierowały się na Stapletonów. Tak więc przed wyjazdem do Devonshire byłem już pewien, że jest pies i wpadłem na trop przestępcy.

Moje zadanie polegało na śledzeniu Stapletona. Jasne było oczywiście, że miałbym związane ręce, gdybym był z wami, bo on strzegłby się wówczas pilnie. Dlatego też wyprowadziłem w pole wszystkich, nie wyłączając ciebie, i gdy myśleliście, że jestem w Londynie, przyjechałem potajemnie do Dartmoor. Niewygody, jakie znosiłem, nie były takie straszne, jak sobie wyobrażałeś, jakkolwiek podobne błahostki nie powinny nigdy być przeszkodą w prowadzeniu śledztwa.

Mieszkałem przeważnie w Coombe Tracey, a z pieczary na moczarach korzystałem tylko wtedy, gdy moja obecność w pobliżu widowni akcji była potrzebna. Wziąłem z sobą Cartwrighta, który, w przebraniu wieśniaczem, był mi wielką pomocą. Zaopatrywał mnie w żywność i czystą bieliznę, a gdy ja śledziłem Stapletona, Cartwright miał ciebie na oku, tak, że mogłem trzymać w ręku wszystkie nici.

Powiedziałem ci już, że twoje raporty dochodziły mnie szybko, bo wysyłano je niezwłocznie z ulicy Baker do Coombe Tracey. Były mi bardzo pożyteczne, a zwłaszcza ten, który zawierał przypadkowo prawdziwe szczegóły biografji Staple-

tona. Pozwoliło mi to stwierdzić tożsamość ich obojga i, dzięki temu, wiedziałem, czego się trzymać. Sprawa powikłała się bardzo, skutkiem zajścia ze zbiegłym więźniem i jego stosunków z Barrymore'ami. Ale wyświetliłeś i to w sposób bardzo skuteczny, jakkolwiek doszedłem do tego samego wniosku na zasadzie własnych spostrzeżeń.

Gdy odnalazłeś mnie na moczarach, wiedziałem już o wszystkiem, nie mając wszakże dowodów, wystarczających do oddania Stapletona pod sąd. Nawet zamach jego na sir Henryka tej samej nocy, zakończony śmiercią nieszczęśliwego więźnia, nie dostarczył nam dowodu wyraźnego winy mordercy. Nie pozostało zatem nic innego, tylko schwytać go na gorącym uczynku, a chcąc tego dopiąć, trzeba było użyć sir Henryka samego, napozór bezbronnego, jako przynęty.

Tak też uczyniliśmy i, kosztem gwałtownego wstrząśnienia nerwów naszego klienta, wykryliśmy ostatecznie wszystko i doprowadziliśmy Stapletona do zguby.

Wyznaję, że robię sobie wyrzuty, iż naraziłem na to baroneta, ale nie mogliśmy przecież przewidzieć przerażającej postaci, pod jaką ukazało się zwierzę, ani też przeczuć mgły, która uniemożliwiła nam dostrzeżenie go zdaleka. Osięgnęliśmy cel kosztem zdrowia sir Henryka, lecz zarówno wezwany specjalista, jak i doktór Mortimer zapewnili mnie, że choroba minie szybko. Długa podróż wyleczy nietylko nerwy, ale i serce naszego przyjaciela. Miłość jego dla pani Stapleton była głęboka i szczera, a najsmutniejszą stroną całej tej ponurej sprawy jest dla niego to, że zawiódł się na ukochanej kobiecie.

Pozostaje mit tylko wykazać rolę, jaką ona w tem wszystkiem odegrała. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton wywierał wpływ na nią, bądź miłością, bądź strachem, a może obu uczuciami, skoro jedno nie wyłącza bynajmniej drugiego Na jego żądanie zgodziła się uchodzić za jego siostrę; wszelako władza jego nad nią skończyła się, gdy usiłował uczynić z niej bezpośrednie narzędzie zbrodni. Ostrzegała sir Henryka i to niejednokrotnie, jednakże o tyle tylko, o ile się dało bez narażenia męża.

Stapleton ze swej strony zdolny był widocznie do zazdrości; skoro bowiem spostrzegł, że baronet stara się o względy jego żony, nie mógł, choć to wchodziło w zakres jego planów, powstrzymać się od namiętnego wybuchu, który odsłonił całą gwałtowność jego charakteru, tak umiejętnie pokrywaną pozornym chłodem i powściągliwością. Zachęcając oboje do poufałości, zapewnił sobie częste odwiedziny sir Henryka w Merripit House, a tem samem, prędzej czy później, sposobność upragnioną.

W dniu stanowczym wszakże żona nagle zajęła wrogie stanowisko. Słyszała coś o śmierci więźnia i wiedziała, że pies był w pawilonie w ogrodzie tego dnia, kiedy sir Henryk miał przyjść na obiad. Obwiniła męża, że zamierza popełnić zbrodnię i nastąpiła scena straszna, podczas której mąż dał jej poraz pierwszy do zrozumienia, że ma rywalkę . W jednej chwili wierność jej zamieniła się w namiętną nienawiść i Stapleton pojął, że żona go zdradzi. Dlatego to, żeby nie mogła ostrzec sir Henryka, związał ją i zamknął. Spodziewał się niewątpliwie, że gdy cała okolica

przypisywałaby śmierć baroneta klątwie, ciążącej na rodzinie — co nastąpiłoby niewątpliwie — zdołałby nakłonić żonę do pogodzenia się z faktem dokonanym i zamilczenia o wszystkiem.

Zdaje mi się, że co do tego przerachował się w każdym razie i że nawet bez naszego wmieszania się, los jego był postanowiony. Kobieta z krwią hiszpańską w żyłach nie przebacza tak łatwo podobnej zniewagi.

A teraz, mój drogi, nie mógłbym opowiedzieć ci więcej szczegółów tej ciekawej sprawy bez uciekania się do pomocy swoich notatek. Myślę jednak, że żadnego główniejszego zajścia nie pominąłem.

— Chyba jednak Stapleton nie spodziewał się, że sir Henryk padnie trupem, jak stryj, ze strachu na widok tego piekielnego psa?

— Zwierzę było dzikie i zgłodniałe. Jeśli sam widok psa nie przyprawiłby ofiary o zgon ze strachu, to byłby niezawodnie uniemożliwił wszelki opór.

— Niewątpliwie. Pozostaje jednak jeszcze jedna trudność. Gdyby Stapleton został spadkobiercą tego majątku, w jaki sposób wytłómaczyłby fakt, że mieszkał tak długo pod zmienionem nazwiskiem w najbliższem sąsiedztwie posiadłości Baskerville'ów? W jaki sposób mógłby zgłosić swoje prawa do tego majątku, nie budząc podejrzeń?

— Byłaby to istotnie sprawa bardzo trudna; żądasz doprawdy zawiele odemnie, chcąc, żebym ci rozwiązał to zagadnienie. Przeszłość i teraźniejszość wchodzi w zakres moich badań, ale powiedzieć, co człowiek może uczynić w przy-

szłości, to ciężkie zadanie. Pani Stapleton słyszała niejednokrotnie, jak mąż rozważał tę kwestję. Trzy drogi mogły go doprowadzić do celu. Albo upomniałby się o spadek z Ameryki południowej, stwierdziłby swoją tożsamość tam przed władzami brytyjskiemi i otrzymałby majątek, nie przyjeżdżając wcale do Anglji; albo w umiejętnem przebraniu zamieszkałby na czas potrzebny w Londynie; albo wreszcie znalazłby wspólnika, zaopatrzyłby go w dowody i papiery, przedstawiające go jako spadkobiercę i wynagrodziłby go następnie pewną cząstką swoich dochodów. Sądząc z tego, co wiemy o Stapletonie, nie możemy wątpić, że dałby sobie radę.

A teraz, mój drogi, mieliśmy kilka tygodni ciężkiej pracy i sądzę, że mamy prawo skierować myśli nasze na weselsze tory. Mam lożę na „Hugenotów". Słyszałeś Reszków?... Czy mogę cię zatem prosić, żebyś był gotów za pół godziny? Wstąpimy po drodze na obiad do Marcini'ego.

KONIEC.

SPIS RZECZY.






BOOKKEEPER 2011
0010137931